

# Almanach

## PROWINCJONALNY

### Wewnątrz m.in.:

Nowa Fala po latach  
Julian Kornhauser, Adam Zagajewski,  
Jerzy Gizella

Pozornie na wolności  
ze wspomnień por. Stala - cz. 4

ks. Jerzy Szymik  
wierszem i prozą

Czeskie słowa - czeskie obrazy II  
L. Martinek, P. Borkovec, V. Burian

Krzysztof Lisowski, Jan Kondrak  
wierszem i prozą

Janusz Szuber  
wierszem

Paweł Newerla, Beno Benczew  
z historii Raciborza

Karolina Staniecsek  
grafiki

Z dorobku PWSZ w Raciborzu

Gabriela Habrom-Rokosz  
fotografie

Raciborskie Centrum Kultury  
Racibórz – Listopad 2006



\*\*\*

Inne

mogą zarosnąć, lecz ta jedna, bezcielesna,  
najboleśniej obnażona,  
nie dająca ci żyć - i wciąż  
utrzymująca przy życiu, ta jedyna, na  
zawsze nie zasklepiona, tobie jedynie  
dana, niech pozostanie

otwarta

(Z tomu Kamień, szron, 2005)  
**RYSZARD KRYNICKI**



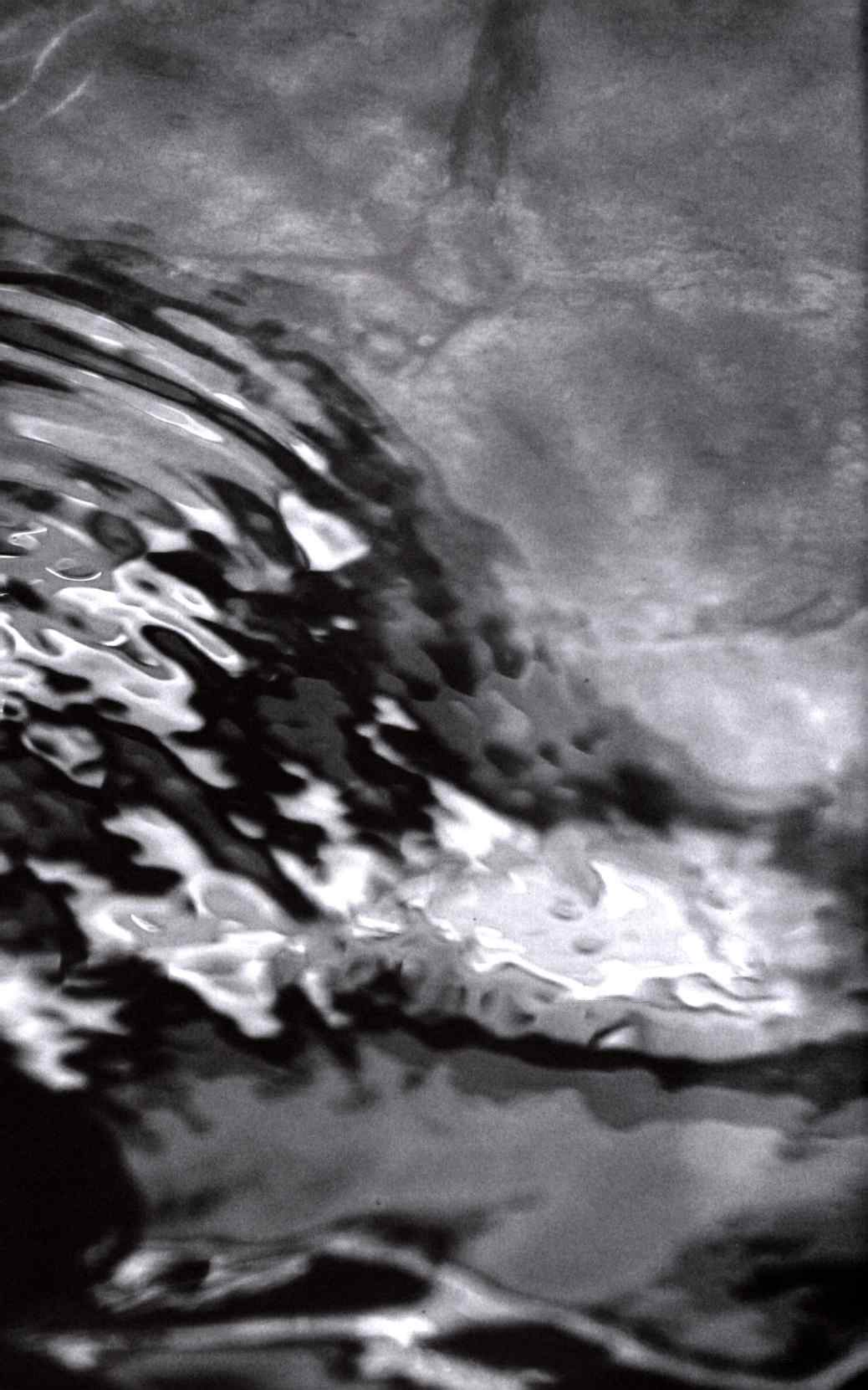
# W NIESPIESZNYM RYTMIE

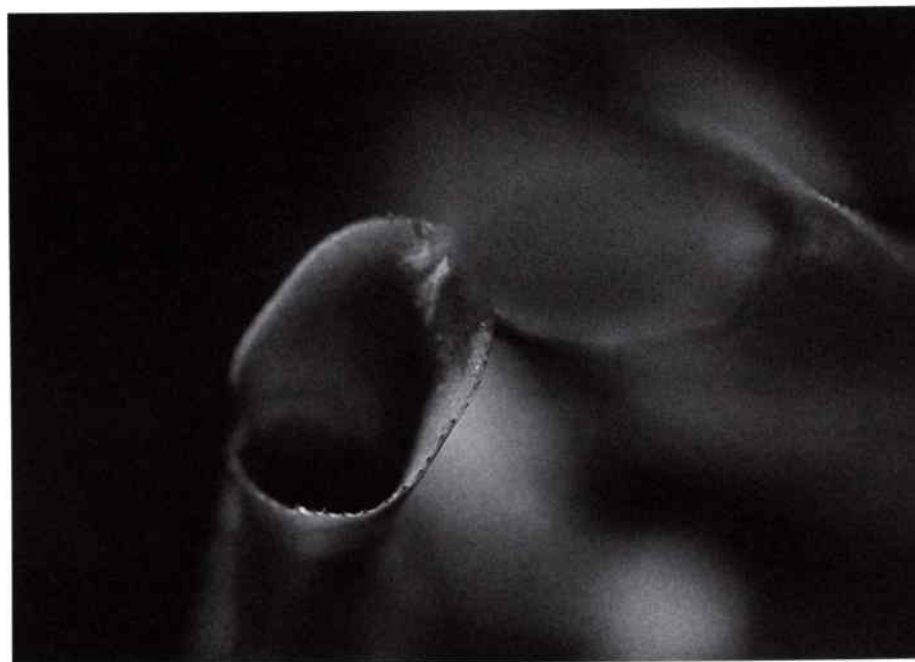
**W**ciąż żyjemy w czasach gwałtownego przyspieszenia objawiającego się w różnych sferach naszego bytowania. Dynamika życia politycznego i społecznego jest wprost gigantyczna. Nawet prasa codzienna z trudem nadąza za lawinowo narastającymi wydarzeniami, cóż dopiero mówić o półroczniku, jakim jest „Almanach Prowincjonalny”. Rytm ukazywania się naszego periodyku na rynku wydawnictw implikuje – wypada dodać, że na szczęście – przyjęcie specyficznej perspektywy w oglądzie zjawisk. Jest to perspektywa naznaczona skłonnością do syntezy, do odkrywania głębszych mechanizmów rządzących wielorakim funkcjonowaniem jednostek i społeczeństwa. Jesteśmy w tej komfortowej sytuacji, iż nie musimy kurczowo trzymać rąk na pulsie szaleńczo tętniących zdarzeń, ślizgać się po ich powierzchni, możemy natomiast – i staramy się to robić najrzetelniej – poddawać analizie to, co znajduje się pod zewnętrzną warstwą codziennego szumu i zgiełku.

Oto oddajemy do rąk Państwa czwarty już numer „Almanachu Prowincjonalnego”. Głównym jego motywem jest charakter obecności w dzisiejszym życiu kulturalnym przedstawicieli dawnej Nowej Fali – ruchu zrodzonego na fali kontestacji symbolizowanej datą 1968 roku. Liderzy Nowej Fali są obecnie twórcami posiadającymi status klasyków w najszerszym tego słowa znaczeniu. To poetyccy mistrzowie i przewodnicy. Czy pragną wciąż mówić do nas „wprost”, jak przed ponad trzydziestoma laty? A może uciekają w „jeszcze nowszą” prywatność, udają się na dumne wygnanie duchowe, nie chcąc mieć nic wspólnego z coraz mniej estetyczną rzeczywistością? Jesteśmy wdzięczni najwybitniejszym reprezentantom tej sławnej generacji za to, że zechcieli przyjąć nasze zaproszenie. Ich obecność w naszym czasopiśmie kapitalnie puentuje esej ks. prof. Jerzego Szymika o Słowie i odpowiedzialności.

W nowym, jesiennym numerze „Almanachu” znajdziecie Państwo, jak zwykle, wiele dobrej poezji, eseistyki i publicystyki. Są twórcy uznani i debiutanci. Wymowa tekstów została spotęgowana, znów jak w każdym numerze, precyzyjnie dobraną ikonografią. Zgodnie z obietnicą zacieśniamy współpracę z raciborską Państwową Wyższą Szkołą Zawodową – widać to wyraźnie na stronach nowego numeru.

„Almanach Prowincjonalny” „klasycznieje”, zdobywa coraz szersze uznanie, o czym świadczą bardzo pochlebne recenzje (m.in. w miesięczniku „Śląsk”). Chcemy, aby ten ambitny projekt wciąż się rozwijał, aby owoce jego realizacji wzbogacały duchowo nasze miasto i region. Wierzymy, że tak będzie, bowiem odczuwamy wsparcie wciąż rosnącego liczebnie grona sprzymierzeńców, z patronatem Raciborskiego Centrum Kultury na czele. Wszystkim przyjaciółom naszego pisma i jego współpracownikom z serca dziękujemy za ofiarowany wysiłek. Jednocześnie prosimy o podtrzymywanie owych więzów z raciborskim półrocznikiem.







## Gabriela Habrom - Rokosz

urodzona w Raciborzu, absolwentka Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach (filia w Cieszynie), Politechniki Częstochowskiej, Wyższej Szkoły Administracji w Bielsku – Białej  
Aktualnie pracownik Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Raciborzu na kierunku: Edukacja Artystyczna w zakresie sztuk plastycznych. Zajmuje się głównie fotografią klasyczną. Świat natury – jego osobliwe formy, szeroka gama barw, ulotne zjawiska oraz subtelna gra światła – stały się głównym źródłem jej twórczości. W dziedzinie malarstwa, grafiki i rysunku ulubionym tematem jest człowiek. Zrealizowała ponad 50 wystaw w kraju i za granicą. Lider ekologii. Autorka: „Kompletnej dokumentacji fotograficznej okazji przyrodniczych Raciborza ze szczególnym uwzględnieniem pomników przyrody”

### Nagrodzona:

Nagrodą Rektora Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Raciborzu za osiągnięcia dydaktyczno – naukowe.  
II nagrodą w Ogólnopolskim Konkursie Plastycznym im. Vincent'a van Gogh'a.  
Srebrnym Medalem za zasługi dla Polskiego Ruchu Olimpijskiego (15 – letnia współpraca z Klubem Olimpijczyka „Sokół” w Raciborzu oraz Polskim Komitetem Olimpijskim połączona z działalnością artystyczną).  
Nagrodą Kuratora Oświaty za wybitne osiągnięcia w pracy dydaktyczno – wychowawczej.

### Członkini:

- Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego
- Polskiego Towarzystwa Ekologicznego
- Związku Nauczycielstwa Polskiego
- Towarzystwa Miłośników Ziemi Raciborskiej
- Raciborskiego Stowarzyszenia Twórców Kultury
- Klubu Olimpijczyka „Sokół” w Raciborzu

# MODUS VIVENDI

Jej powołaniem jest bycie pedagogiem. Fotografię uważa za jeden z najważniejszych i najbardziej przydatnych wynalazków, który w bardzo dużym stopniu przyczynił się do rozwoju naszego doświadczenia i wzajemnego zrozumienia, w którym każdy fotografik może mieć swój udział. Życzenie udziału w powyższym określa jako jedną z głównych sił napędzających pewne twórcze dążenie stworzenia czegoś wartościowego, czegoś, *co pozwoli sobie o nas przypomnieć, dzięki swojej „nieśmiertelności”*. Nie ma znaczenia fakt, kto do czego się przyczynił – każdy daje z siebie to co najlepsze. Podkreśla znaczenie kultury, której dalszy los zależy wyłącznie od naszego wkładu. Jak często wspomina: *każdy uczy się od drugiego i od tych, którzy przed nami żyli; z dziedzictwa, które nam pozostawili w spadku: kultury, sztuki, nauki, filozofii. Zapominając o tych zasługach żylibyśmy nadal w jaskiniach, tworząc własne małe wynalazki, a każdy musiałby ciągle zaczynać od nowa. Żaden roztropny człowiek nie zdoła tegoż ogromnego długu zaprzeczyć, w którym stoi względem osób, od których się uczył. Jednak spłacić go może, przyczyniając się z własnej strony do tego, aby wielki nurt ludzkiego postępu nie został zatrzymany.*

Fotografia jest dla Niej formą wyzwolenia się z zamkniętego kręgu codzienności, przestrzeni przyjemnych doznań. Każde zdjęcie natomiast, które w ogóle uważa za warte pokazania innym, musi przedstawiać harmonię własnych emocji z obserwowanym obiektem. Konkretny, pojedynczy kadr – długotrwałe rozważanie nad nim – nadaje zaledwie początek całemu procesowi Jej pracy twórczej nad ulotnymi aberracjami każdego motywu, związanymi ze wzrokową interpretacją całych cykli zdjęć rodzących się w ludzkim umyśle. Niekończąca się potrzeba wizualnego drażenia najróżniejszych tematów, przypomina – w odczuciu obserwatora – nieraz próbę „malowania”, za pośrednictwem aparatu fotograficznego swoistej filozofii, którą widzi w otaczającym ją świecie.

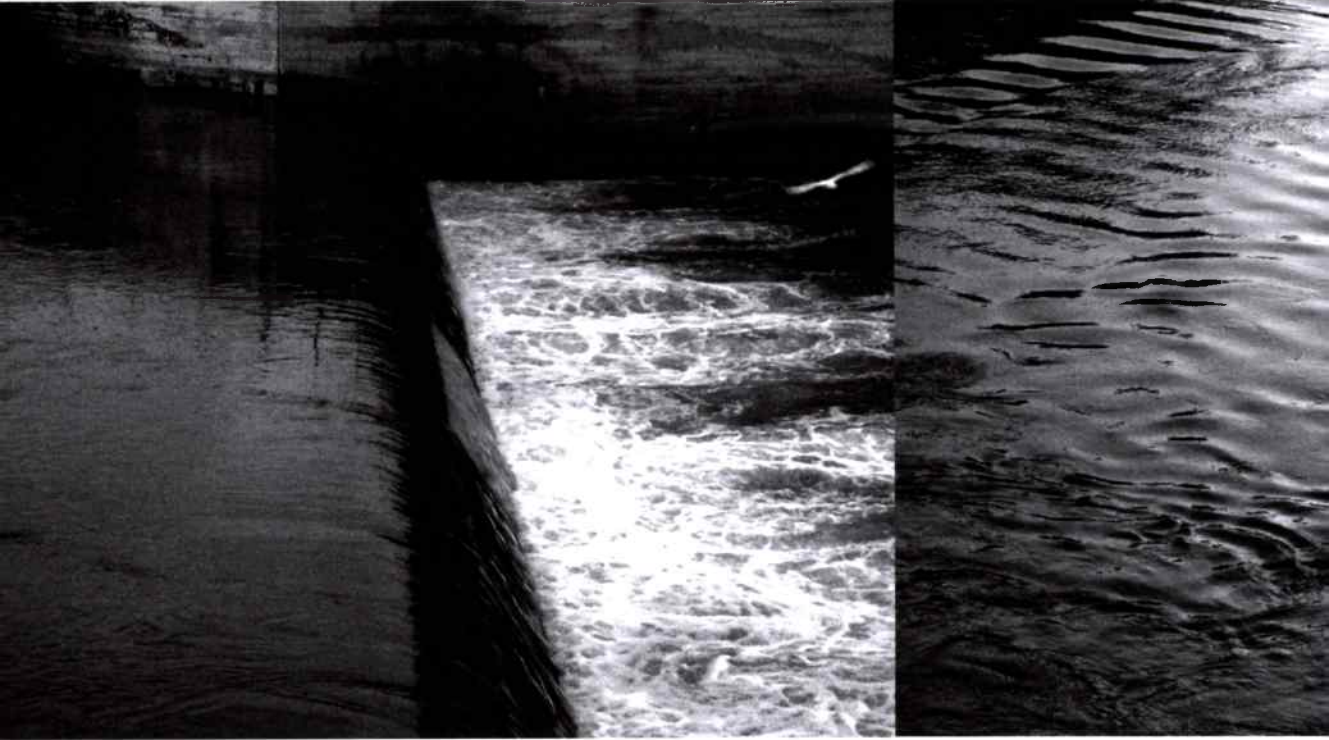
Człowiek niesłychanie skromny, mocno wierzący w sens wszystkiego, co go w życiu spotyka. To chyba miłość i wyrozumiałość względem otaczającej rzeczywistości, akceptując ją w całej swojej kompleksowości, wydaje się być nadrzędną siłą, z której czerpie naukę pojmowania istoty własnej osoby, nie ukrywając przy tym własnych słabości. *Jakimikolwiek moje błędy by nie były – nauczyłam się z nimi obchodzić, otóż w międzyczasie z własnego doświadczenia wiem, że podstaw swojego charakteru nie da się zmienić. Zamiast tego, staram się za przyczyną mojego osobistego podejścia do fotografii robić to, co najlepsze, wyrażając je jak najdokładniej na zdjęciach; udostępniając jednocześnie bliźnim, dzięki aparatowi fotograficznemu, nowy wgląd w niektóre z wielu nieskończenie zmiennych aspektów świata, w którym.*

- SYN













1912 - 2006

# NIEZŁOMNY

**B**ył niezmordowany. Kiedy trzeba było podjąć wyzwanie walki z niemieckim okupantem; kiedy po wkroczeniu w 1944 Sowieci w granice Rzeczypospolitej ratowało się, przerzucając do Kraju, resztki ludzi podziemia; kiedy trzeba było pokazać – jak nigdzie indziej – ludzką twarz w inferno komunistycznych więzień; kiedy wypadło szukać pracy, jakiegokolwiek zajęcia, by zapewnić byt rodzinie, szczerze przez UB jeszcze długo po wyjściu z więzienia.

Był niezłomny. W czasach głodnej-chłodnej galicyjskiej młodości, w chwili, gdy dowodził akcją na niemiecki pociąg z uzbrojeniem (za którą to został kawalerem Orderu Virtuti Militari), w okresie stalinowskiej Golgoty, gdzie szczytem męstwa było nie wydać swoich towarzyszy broni, tak samo bezbronnych i osaczonych, kiedy wreszcie przyszedł czas wolności i można było wesprzeć czynem i autorytetem rodzący się w 1989 roku ruch Komitetów Obywatelskich.

Powie ktoś – odważnych było wielu, zwłaszcza w Polsce (Franciszek Stal pochodził z ziemi Witosa, z matecznika polskich generałów Sikorskiego, Okulickiego, Tumidajskiego). Racja. Ale miał „dziadek Franek” jeszcze jedną, niemal nadludzką cechę: posiadał dar miłosierdzia, łaskę przebaczenia wrogom, coś, co dotyczy już naprawdę bardzo nielicznych. Nigdy nie podnosił głosu, nie pomstował na los i swoich oprawców, a kiedy prokurator III Rzeczypospolitej – co Czytelnik znajdzie w tym numerze – zapytał Go o swoich prześladowców z Mokotowa, Wronek i Katowic – nie oskarżył nikogo zdając się na sąd Boski nad, tak samo jak On, starcami z dawnej UB!

Taki był Pan Franciszek Stal – syn Ziemi Krakowskiej, kolejarz, szef Ośrodka Dywersyjnego Armii Krajowej w Ignalinie na Wileńszczyźnie, wieloletni więzień stalinowskich kazamatów, chórzysta, miłośnik książek, przyrody i pieśni! Kochali Go najbliżsi, ale też sąsiedzi, dzieci z podwórka, z których sporą gromadą wybierał się co tydzień do lasu. Kochaliśmy Go my, pracownicy Raciborskiego Domu Kultury i członkowie redakcji Almanachu – kiedy wchodził na II piętro, z coraz większym wysiłkiem, i pojawiał się w naszym pokoju, prostowali się wszyscy jak struna, niczym na wejście generała. I w istocie – był naszym najprawdziwszym idolem, był generałem, który dowodził naszymi sumieniami ucząc nas człowieczeństwa, to znaczy odwagi, ale i roztropności, mówienia prawdy, ale i miłosierdzia. Niełatwo odbierać takie lekcje, lecz On był żywym przykładem wyznawanych zasad, a także manier! Był wszakże absolwentem przedwojennego gimnazjum w Bochni! Kiedy prosiliśmy siadać, Pan Franciszek stwierdzał: -Dziękuję, dziękuję! Mam „stalowe” nogi!

Trudno było mieć po takich przejściach stalowe nogi, trudno było zachować wiarę w człowieka i uśmiech dziecka. Panu Franciszkowi to się udało. Przeszedł życie jak pan, z panów – pan, choć w skromnej marynarce; z podniesionym czołem, ale nie z zadartym nosem. Wszystkich nas osierocił, wszyscy, których obdarzał swoją przyjaźnią, pozostaniemy Jego dłużnikami. 7 lipca Racibórz stracił jednego ze swoich najwspanialszych obywateli.

# POZORNIE NA WOLNOŚCI

ZE WSPOMNIENIŃ PORUCZNIKA STALA  
– CZĘŚĆ CZWARTA

NIE MA JUŻ AUTORA WSPOMNIENIŃ WŚRÓD NAS, ALE TAK MOCNO BYLIŚMY Z NIM ŻYCI, ŻE TEJ WSPÓLNOTY STARCZY NA WIELE, WIELE LAT, TYM BARDZIEJ, ŻE POZOSTAŁY SŁOWA.... TAK SIĘ UŁOŻYŁO, ŻE Z ODEJŚCIEM PANA FRANCISZKA STALA ŁĄCZY SIĘ W TYM NUMERZE MOŻE NAJSTRASZNIJSZA CZĘŚĆ JEGO OPOWIEŚCI, KTÓRA - W GRUNCIE RZECZY - POWINNA BYĆ OPATRZONA DOPISKIEM „TYLKO DLA LUDZI O MOCNYCH NERWACH”. ALE - CZYTAJMY, CZYTAJMY TĘ SPOWIEDŹ - BY WIEDZIEĆ, JAKI LOS ZGOTOWANO PO RZEKOMO WYGRANEJ WOJNIE WIELU Z POKOLENIA NASZYCH OJCÓW I DZIADÓW; TYM BARDZIEJ, ŻE NIEKTÓRZY WCIAŻ ZALECAJĄ NAM ZAPOMNIENIE, „WYBRANIE PRZYSZŁOŚCI”? (RED.)

**W**racajmy znów na Mokotów, na celę „ogólniak”, gdzie starsi więźniowie po symptomach życia więziennego wyczuwali, że szykuje się transport do Wronek lub Rawicza, które były ciężkimi zakładami zamkniętymi dla więźniów politycznych. Z zachowaniem największych środków ostrożności, przy szczelnej obstawie, z psami i pepeszami gotowymi do strzału odwieziono nas na bocznice, gdzie czekał już na nas wagon – więźniarka. Tam poupychano nas jak zwierzaki do klatek, przy każdej takiej klatce stało dwóch strażników. Pociąg ruszył, a my głowiliśmy się, dokąd jedziemy. Dopiero na miejscu przeczytaliśmy na stacji, że jesteśmy we Wronkach. Od stacji PKP do więzienia było może z osiemset metrów. Przywieziono nas około czterdziestu. Wśród krzyków, przekleństw i popychania ustawiono nas w czwórki, a kiedy otoczył nas szczelny kordon z psami, ruszyliśmy w kierunku więzienia. Przy drodze, pamiętam stały budynki klawiszy, rodzice z dziećmi szli do miasta, uczniowie śpieszyli się do szkoły – toczyło się normalne, poranne życie miasteczka. W tę normalność wdarł się kordon skazańców wywołując agresję tłumu; ludzie pluli na nas i wygrażali nam. Nietrudno się domyśleć, jaka to była dla nas Golgota. Wreszcie osiągnęliśmy pierwszą bramę więzienia i wprowadzono nas na mały dziedziniec. Był pewnie luty lub marzec, na mokrej ziemi widać było jeszcze gdzieś tam płatki śniegu. Rozebrano nas do naga i przeprowadzono bardzo szczegółową rewizję łącznie z penetracją wszystkich otworów ciała. Potem pojedynczo, w odstępach 5-6 metrów, kierowano nas na tzw. oddział izolacyjny, o czym wtedy – rzecz prosta – nie mieliśmy pojęcia. Dalej nago, z mizernym więziennym ekwipunkiem przeszliśmy bramą do głównego budynku.

Zaraz za głównymi drzwiami stał strażnik z pasem i na powitanie bił gdzie popadło; parę kroków dalej stał następny zbir, ale dla odmiany był wyposażony w szlauch, inny kopał, następny zaś okładał nas drewniakiem, który wypadł więźniowi. Aby dostać się na trzecie piętro, trzeba było przebiec masę schodów. Młodzi przebiegali szybko, starsi wolniej i na nich właśnie skupiał się sadyzm strażników. Dużą część z nich stanowili tzw. francuzi, repatrianci z Francji, komuniści, z których zdążono już uczynić czerwonych janczarów. Zresztą, wielu z nich później otworzyły się oczy i nawet nielegalnie uciekali przez zieloną granicę.

Dobiegliśmy wreszcie do otwartych drzwi celi, przy których także stał strażnik, na pożegnanie częstując nas kopniakiem. Po każdym więźniu cela zamykała się oczekując na następnego

nieszczęśnika. Musieliśmy się ustawić pod oknem, naprzeciw drzwi; było nas już pięciu i czekał na szóstego. Ja, mając już spore doświadczenie więzienne, ostrzegłem współtowarzyszy, że na ogół szósty w celi to kapuś. Po tych słowach w otwartych drzwiach ukazał się zmasakrowany, z obłądem w oczach, Wiesław Chrzanowski. Na „ogólniaku” na Mokotowie był on osiłą, wokół której ogniskowało się całe więzienne życie i stanowił niekwestionowany autorytet. I teraz widząc go, my wszyscy pobici, pokrwawieni, cali w sińcach, wybuchliśmy gromkim śmiechem. Nagi Wiesiu stanął jak wryty, bo pomyślał, że wskutek doznanych cierpień postradaliśmy zmysły. Dopiero ja wytłumaczyłem mu, że spodziewaliśmy się właśnie kapusia.

Chrzanowski pochodził ze znanej profesorskiej rodziny, był ranny w Powstaniu Warszawskim. Należał do ludzi wielkiej prawości i charyzmy; działał kojąco na swoje otoczenie i nawet w najtrudniejszych chwilach można było na nim polegać. Ubierając się w więzienne łachy zobaczyliśmy siedzącego w kącie staruszka, był to sędzia Kuksewicz, szczuplutki mężczyzna w wieku ponad sześćdziesięciu lat, prawnik z wykształcenia. Nagle celę wypełnił rzewny płacz, a nie był to łzy bólu, lecz rozpacz nad tryumfującym bezprawiem.

Kiedy doszliśmy do siebie jako tako, uświadomiłem kolegom, że przechodzimy tzw. kwarantannę, po której zostaniemy rozbici na poszczególne cele i możemy się więcej w życiu nie spotkać. Później moje przypuszczenia potwierdziły się. Czy wszystkie transporty miały we Wronkach takie „powitanie”? Nie! Nasz transport z Mokotowa był opatrzony notą „szczególnie niepoprawni, zachować specjalną ostrożność”; widać z tego, że byliśmy wysoko notowani.

Nawiasem mówiąc, smutny los więźnia nie kończył się po opuszczeniu Wronek czy Rawicza, na tzw. wolności byliśmy narażeni na inwigilację SB, trudności z otrzymaniem pracy, a nasze rodziny na wieczne czasy zostawały pariasami. Pamiętam, że kiedy mieszkałem już w Raciborzu, na prośbę katowickiego „Sportu” pisałem relacje z meczów Unii Racibórz; na trybunach demonstracyjnie pokazywano mnie palcami, jak jakiegoś wyrzutka. Kiedyś jeden z pracowników UB przyszedł do rady zakładowej instytucji, w której pracowałem i „ogródkami” zaczął wypytywać mnie o różne sprawy. Nie wytrzymałem i zwróciłem się do niego wprost:

- Proszę pana, ja doskonale zdaję sobie sprawę z celu pańskiej wizyty. Niech pan prosto zmierza do celu, ja „po tej linii” mam wyższe wykształcenie.

Na takie dictum ubek skonfudował się nieco, ale po chwili uderzył w swój dobrze wyuczony styl:

- Ty mnie nie będziesz pouczał, jak mam postępować! My wszystko o Tobie wiemy, może lepiej niż sobie wyobrażasz!...

Widziałem później tego ubowca na ulicy Mickiewicza, kiedy sprzedawał dewizy. Ewidentnie unikał spotkania ze mną, a ja też nie miałem zamiaru zbliżyć się do takiej kreatury. W 1993 roku otrzymałem zaproszenie z prokuratury, bym zgłosił się w charakterze świadka. W odpowiednim dniu zjawiłem się u prokuratora Harupy, który przedstawił mi około 30 fotografii oficerów UB z Mokotowa. Nie wskazałem żadnego z nich... - Przecież to są dzisiaj starcy - przemknęło mi wtedy przez myśl.

Kiedy w 1956 roku znalazłem się Raciborzu, złożyłem podanie do naczelnika stacji, Jana Bednarza, z prośbą o przyjęcie mnie do pracy w charakterze zawiadowcy stacji. Trzeba wiedzieć, że stanowisko to było zawsze w PKP „deficytowe”. Naczelnik bardzo ucieszył się, że tanio i bezboleśnie zdobył nowego pracownika. – Za kilka dni zawiadomię Pana, kiedy trzeba złożyć egzamin kontrolny – powiedział. Nie zdążyłem go złożyć, gdyż przy pomocy znajomego znalazłem wcześniej pracę w Urzędzie Skarbowym. Cóż z tego, skoro niebawem ktoś życzliwy uprzedził mnie, bym się zwolnił gdyż i tak planują mnie wyrzucić. Tak więc „opieka” UB działała nadal. W związku z tym zaangażowałem się jako pracownik fizyczny do kampanii cukrowniczej i tak doczekałem do jej końca. W czerwcu 1957, poprzez mego byłego podkomendnego, żołnierza AK, wysoko ulokowanego w hierarchii PKP ponowiłem swoje podanie, tym razem już nie w

Raciborzu, lecz w Rybniku, któremu podlegało nasze miasto. Zostałem przyjęty, lecz w czasie jednego ze spotkań z naczelnikiem z Rybnika, Tadeuszem Martynem ze Lwowa, ten dobroduszenie oświadczył mi: - Franuś, miałem przez Ciebie nieprzyjemności, że Cię przyjąłem do pracy... Taki był właśnie los byłych więźniów politycznych w PRL.

Ale wracajmy do Wroniek. Po zakończeniu kwarantanny zostałem przerzucony do celi kalifaktorów, czyli więźniów funkcyjnych, którzy na ogół byli kapusiami. Razem z nimi siedział więzień T.W., zięć naukowca z Uniwersytetu Jagiellońskiego, znany w całym pawilonie jako niezła kreatura. Dostałem się do niego na dalsze rozpracowanie, ma się rozumieć, on przedstawił mi się jako ofiara stalinizmu. Jako stary wyga nie dałem się nabrać i wysiłki Tadzia spełzły na niczym. Pewnej nocy obudziło mnie kilku zbirów i już bez żadnego kamuflażu uderzyli do mnie takimi słowami:

- Ty taki - owaki ...synu, będziesz mówił czy nie!? Bo my się tu z Tobą rozprawimy! Udusiemy cię i powiemy, że umarłeś na serce.

Oblał mnie zimny pot, przecież nie miałem szans na obronę; nasza cela była na końcu korytarza i nawet krzyk nic by tu nie pomógł. Oznajmiłem napastnikom, że wszystko wyszło w procesie i za wszystko byłem sądzony. Myślę teraz, że znowu stanęła obok mnie Matka Boska Okulicka, bowiem po chwili, kiedy przeżegnałem się czekając bez słowa na rozwój wypadków, Tadzio wybuchnął sztucznym śmiechem tłumacząc, że to był tylko żart.

Po paru dniach zabrano mnie z tej celi, a Tadzio u mnie nic nie „utargował”. System kapusiów był w stalinowskich więzieniach rozbudowany do monstrualnych rozmiarów. Terror psychiczny dawał się wszystkim we znaki i osłabiał system nerwowy. W międzyczasie przeszedłem przez kilka cel, aż pewnego razu lekarz-więzień, Bruno Fiałkowski, który z braku resortowego lekarza spełniał obowiązki medyczne, spowodował, że zabrano mnie jako chorego na oddział o lżejszym rygorze, nie takim jak IIIC. Tam było już lżej, nie doświadczyliśmy takiego znęcania się. Wchodząc do nowej celi spotkałem mgr. Jerzego Redke, który przebywał na XI pawilonie, gdzie zostałem zapuszkowany zaraz po przywiezieniu z wolności. Redke przebywał już tutaj około pięciu lat. Niestety, gdzieś pod koniec 1951 lub na początku 1952 roku zostałem zabrany z tego oddziału i przeniesiony do celi pojedynczej; wiedziało się, że w tych „pojedynkach” dzieją się straszne rzeczy, nieraz słyszeliśmy dochodzące stamtąd strzały. Ma się rozumieć - nie strzelano na wiwat! Następnego ranka kazano mi zabrać swój dobytek, skuto ręce i dwóch strażników wyprowadziło mnie z terenu więzienia we Wronkach w nieznanym mi kierunku. Pod eskortą zaprowadzono mnie na stację kolejową i wsiedliśmy do pociągu zmierzającego do Warszawy. A więc stało się to, co najgorsze – znów czekał mnie Mokotów! Pod wieczór zatrzęsnęły się za mną drzwi gmachu budzącego grozę w całej Polsce.

Jak już wspominałem uprzednio, w okresie mojego pobytu w Wilnie, na polecenie Wileńskiej Komendy Okręgu AK, wysyłałem nielegalnie do Polski akowców i innych spalonych, poszukiwanych przez NKWD. Sądzę, że nie będzie przesady, jeśli powiem, że w ten sposób przynajmniej kilka setek ludzi wysłałem do Kraju. Ale niestety także kilkaset osób w 1948 roku UB aresztował w procesie Wileńskiego Ośrodka Mobilizacyjnego. Musiał zdarzyć się cud, aby moja sprawa nie ujrzała światła dziennego. Kiedy znalazłem się po raz trzeci na Mokotowie, osadzono mnie w X pawilonie, w ostatniej celi po lewej. W środku beton bez łóżka, stolika oraz kibla. Do dzisiaj nie wiem, jakie miała przeznaczenie krew na podłodze celi. Na jej widok doznałem szoku nerwowego, zacząłem wymiotować, dostałem biegunki. Na mój krzyk i kopanie w drzwi nikt się nie zjawił, uchylił się tylko wizjer, przez który od tej chwili byłem bacznie obserwowany. Byłem cały w ekskrementach i cuchnąłem niemiłosiernie. Następnego dnia rano weszli kalifaktorzy i przynieśli wodę w kiblu, abym się obmył. Cóż to mogło pomóc, skoro ja nadal wymiotowałem i miałem biegunkę. Doprowadzono mnie do „oficera śledczego”, który w obawie przed fetoem otworzył okno. W końcu wezwano do mnie lekarza więziennego, a lekarz – Żyd z pocho-

dzenia - zaaplikował mi jakieś pigułki, po których jeszcze bardziej się rozłożyłem. Po sprawdzeniu moich personaliów „oficer śledczy” odezwał się do mnie:

- No cóż, Franuś! Zakpiłeś sobie z Ministerstwa Bezpieczeństwa, ale z nas kpić nie można, sam się o tym przekonasz! Co cię za to czeka, chyba dobrze wiesz?! Czeka cię kara śmierci, ale masz jeszcze deskę ratunku. Możesz wykazać skruchę i szczerze o wszystkim mówić. A ty wiesz, o co chodzi! Daję ci ostatnią szansę. Czy wiesz, po co przywieźliśmy cię z Wronek? Odpowiadaj!

- Nie wiem – wysiliłem się na przebiegłość.
- Pracowałeś w Wilnie w PUR-ze? Odpowiedz!
- Tak, pracowałem.
- No, to chyba się dogadamy. Od kogo otrzymywałeś karty repatriacyjne?
- Od nikogo.
- Ilu akowskich bandziorów wysłałeś nielegalnie do kraju?
- Nikogo nielegalnie nie wysyłałem.
- Powtórz coś powiedział!
- Nikogo nie wysyłałem nielegalnie.
- Którym transportem nielegalnie wyjechałeś i kto ci pomagał?
- Wyjechałem legalnie i nikt mi nie pomagał.
- Powtórz to jeszcze raz!

Powtórzyłem i w tym momencie nastąpiła eksplozja furii. Mój ciemnyżyciel rzucił się na mnie, obalił na podłogę i zaczął bić i kopać, gdzie popadło. Kiedy mdlałem, polewał mnie wodą. Tu z pomocą przyszły moje dolegliwości, zapaskudziłem całą celę przesłuchań. Wezwano oddziałowego, a ten odprowadził mnie ślaniającego się na nogach do celi. Prawie nieprzytomny stanąłem w drzwiach, oddziałowy popchnął mnie do środka. Upadłem na beton. Była to duża cela, może 10 x 10 metrów; znajdowało się w niej 12 – 15 więźniów. Na szczęście działała solidarność więzienna. Podniesiono mnie z ziemi i bez obrzydzenia otoczono troskliwą opieką. Wyróżniał się w tym zwłaszcza Stanisław Miklaszewski, brat starosty z Lidy, sam człowiek ułomny, chodzący o lasce.

W celi było wśród nas także dwóch Żydów, jeden z Lublina siedzący za handel dewizami i nie swoimi domami, drugi o nazwisku Solecki (podobno krewny Dory Brystygierowej, naczelnika jednego z wydziałów Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego), który dostał wyrok za brak nadzoru przy budowie RAFAKO, gdzie zawałił się strop hali i poginęli ludzie.



FRANCISZEK STAL NA  
UROCZYSTYM SPOTKANIU  
W URZĘDZIE MIEJSKIM W  
RACIBORZU W 90. ROCZNICĘ  
URODZIN, 2.VI.2002.

Nasza cela znajdowała się w piwnicy, byli w niej więźniowie w zasadzie już po śledztwie, lecz wciąż jeszcze w dyspozycji Departamentu Śledczego. Był tu już mniejszy rygor niż w pawilonach X i XI. Jak wiemy komuniści uznawali religię za dowód obskurantyzmu i zacofania; modlitwa więźniów musiała uchodzić za groźną prowokację, ale w naszej celi znajdowało się małe kółko modlitewne, 6-7 osób, które nie kryły się z wyznawaniem swojej wiary. Przyjęto tam i mnie. Leżałem w kącie celi na sienniku i nie było mowy bym coś przełknął, do tego doszła grypa. „Oficer śledczy” nie dopuszczał do mnie lekarza i stopniowo stawałem się – mówiąc żargonem łagiernym – dochodzią. Naprawdę, dochodziłem swoich dni, a zacy Miklaszewski zastanawiał się, jak wyrwać mnie z letargu.

Było zasadą więzienną, że nikt nie pytał, za co się siedzi. Ale ja opowiedziałem Miklaszewskiemu, że zostałem przywieziony z Wroniek i należę do „sprawy wileńskiej”. Był to najcięższy proces, prowadzony pod nadzorem NKWD. Pewnego dnia Miklaszewski oświadczył oddziałowemu, że jeśli nie użyczą mi pomocy lekarskiej, to cała cela przystąpi do głodówki. Po takim oświadczeniu natychmiast zabrano go do karceru, pozostali przyjęli obiad. Po kilku dniach Miklaszewski wrócił do celi, a chyba nazajutrz zaniesiono mnie do lekarza; ten naskoczył na mnie, dlaczego tak późno się zgłosiłem. Faktem jest jednak, że już nie wróciłem do celi, lecz na noszach trafiłem do szpitala więziennego, znajdującego się na terenie więzienia. Znalazłem się na sali, w której było około dwunastu łóżek. Warunki były bez porównania lepsze, o czym świadczyły materace na łóżkach oraz woda w kranie. Jedzenie było znośne i codziennie mieliśmy obchód lekarski. Okna zamalowane były na biało, byśmy nie widzieli podwórka.

I znów szczęście w nieszczęściu miało dla mnie twarz człowieka wysokiej klasy. Był nim Józef Stemler, ps. Dąbski, wiceminister Propagandy na Kraj, uczestnik „Procesu 16-u” w Moskwie. Do 1939 roku był prezesem Macierzy Polskiej i chyba z tego tytułu posiadał bliskie kontakty z Polonią amerykańską. Erudyta, znający siedem języków. Pochodził z Doliny w Stanisławowskim; syna jedynaka stracił w Powstaniu. W latach 70-tych odwiedził mnie w Raciborzu, gdy był w gościnie u szwagra w Opolu. Do dziś przechowuję jego kartkę z życzeniami Wielkanocnymi. Zaprzyjaźniliśmy się, chociaż był starszy ode mnie o blisko dwadzieścia lat. Raz odwiedziłem go w Józefowie koło Warszawy, gdzie miał piękną willę. Nim właśnie posłużył się Wszechmogący ratując mnie z mokotowskiej kaźni, ale o tym później.

Lekarzem przychodzącym do nas z wolności była dr Kamińska, Żydówka, bardzo elegancka kobieta w wieku około czterdziestu pięciu lat. Była ona dobrym duchem szpitala i może dlatego zawsze chodziła w obstawie szpicla; do pomocy miała lekarza-więźnia o indyjskim nazwisku Parapura. Zdarzyło się kiedyś, że dr Kamińska została na chwilę bez asystenta-szpicla; Stemler niepostrzeżenie poprosił ją o opiekę nad moim łóżkiem. Było się nad czym pochyłać, bowiem popadłem w psychonerwicę najwyższego stopnia; mijały miesiące, a mnie nadal prześladowały wymioty, ważyłem 49 kg. Wkrótce zabrano ze szpitala Stemlera, ale jego łóżko stało puste tylko kilka dni.

\* \* \*

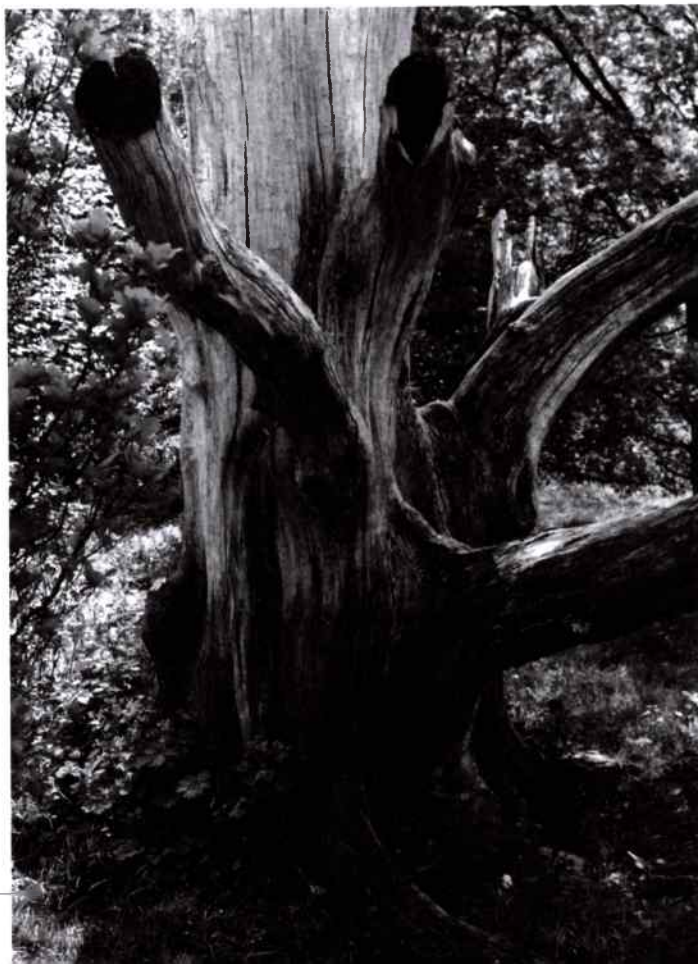
Było to w godzinach przed obiadem, kiedy nagle otworzyły się drzwi do naszej sali i kalfaktorzy wytrzasnęli z koca człowieka. Chory leżał na podłodze przy drzwiach. Żaden z nas nie chodził, byliśmy ruinami ludzkimi, z byle powodu stalinowscy oprawcy nie kierowali do szpitala, zresztą oprócz skierowania lekarskiego delikwent musiał otrzymać zgodę „oficera śledczego”. Wyrzucony więzień leżał dalej na podłodze i do naszych uszu dochodziło od niego jakby kwilenie. Zareagowałem jako pierwszy: trzymając się łóżek dotarłem do leżącego, po chwili dołączył do mnie drugi więzień i tak za ręce dociągnęliśmy ofiarę do łóżka. Był to szczupły mężczyzna, ale ze względu na nasz stan i tak o wiele za ciężki. W końcu z trzecim kolegą nadludzkim wysiłkiem stopniowo wtaszczyliśmy nowego na łóżko. Zobaczyliśmy makabryczny widok. Człowiek ten był cały w konwulsjach, jednego oka nie było wcale widać, na głowie czerwona rana po wydartych

włosach, cały w sińcach, dłonie też miał posiniaczone. Znałem te metody: „oficer śledczy” deptał po rękach, kiedy ofiara była już nieprzytomna. Choć na Mokotowie widzieliśmy już niejedno, ten obraz poraził nas.

Po paru godzinach drżenia ustały, ale naszą salę wypełnił spazmatyczny szloch, że łóżko wprost trzęsło się pod ofiarą przesłuchań. W międzyczasie obmyłem jego twarz wodą, a kiedy zaczął odzyskiwać przytomność, byłem przy nim. Kiedy uznałem, że może mnie słyszeć, szepnąłem mu po cichu do ucha: - Uspokój się, gówniarzu! Obserwują Cię!

Na te słowa otworzył drugie oko i popatrzył na mnie. Musiałem nim wstrząsnąć, bo roztkliwienie się nad sobą mogło delikwenta jeszcze bardziej pogрузić. Chyba odniosłem zamierzony efekt, bo ranny uspokajał się. Przed kolacją zabrano go do łazienki, umyto, zmieniono pokrwanioną bieliznę i po dłuższej chwili wrócił na naszą salę, podtrzymywany przez funkcyjnych. Po paru dniach kiwnął na mnie, a kiedy znów opierając się na łózkach zbliżyłem się do niego, powiedział tylko jedno słowo – dziękuję...

Dopiero teraz mogliśmy się zorientować, kim jest nasz nowy towarzysz niedoli. Był to człowiek ponad sześćdziesięcioletni, szczupłej budowy ciała, z rzadką czarną czupryną zaczesaną do góry, o ciemnej karnacji skóry i przenikliwym, głębokim spojrzeniu. Człowiek ten okazał się płk. inż. Antonim Sanojcą, szefem I Departamentu Komendy Głównej AK. Zaprzyjaźniliśmy się i był on drugą osobą, przed którą odkryłem swoją konspiracyjną tajemnicę. W rewanżu on ujawnił mi swoje nazwisko, resztę przecież znałem. Razu pewnego przywołał mnie skinieniem dłoni i zapytał o kondycję rodziny, adres żony itp. Zgodnie z prawdą podałem wszystkie informacje (Kraków, ul. Pod Fortem 4a). Po paru miesiącach pułkownik wyszedł z więzienia. Okazało się bowiem, że ostatnie przesłuchanie, po którym przyniesiono go w kocu, było przełomowe w całym jego bardzo ciężkim śledztwie. Potem nie brano go już na przesłuchania. Wyszedł na wolność przede mną.



Po wielu latach żona opowiedziała mi następującą historię. Mój synek Staś, bardzo ładny chłopczyk, bawił się pewnego razu na ulicy z kolegami. Wtem podeszła do nich nieznana dystyngowana pani i poczęstowała wszystkich cukierkami pytając jednocześnie, który z was jest Stasiu. Pięcioletnie dziecko przyznało się do swojego imienia, a po paru dniach podczas powtórnej wizyty tajemnicza pani wzięła chłopca na spacer; Staś przyłgnął do niej. Przy którymś spotkaniu kobieta poprosiła, aby zaprowadzić ją do mamy. Nastąpiło spotkanie z moją żoną, a po wyjściu nieznajomej na stole pozostała koperta. Kobieta okazała się pracowniczką Uniwersytetu Jagiellońskiego, której Antoni Sanojca zlecił opiekę nad moją rodziną! Dopiero wtedy, po latach, zrozumiałem, dlaczego zacny, szlachetny Antoni wypytywał mnie o adres. Amicus certus in re incerta cernitur – jak mawiali Rzymianie – przemknęło mi przez myśl. A okres stalinizmu to były czasy, kiedy człowiek bez prawdziwych przyjaciół ginął „jak sól na ukropie”!

Ścianę mego pokoju zdobi do dziś zdjęcie płk. Sanojcy z odręczną dedykacją. Odwiedziłem go kiedyś na Placu Henkla w Warszawie, jego żona była asystentką profesora Romera. Sanojcowie byli bezdzietnym małżeństwem. On, do końca swych dni, zachowywał się z godnością, choć wielokrotnie nakłaniano go, by wyszedł z izolacji i włączył się w nurt oficjalnego, reżimowego życia kombatanckiego.

Tymczasem było już po śmierci Stalina i po ucieczce płk. Światły na Zachód. My, żyjąc w ścisłej izolacji, nie mieliśmy o tym pojęcia, ale intuicja podpowiadała nam, że idą zmiany. Nagle pojawiły się komisje prokuratorów, a my, o dziwo, otrzymaliśmy szlafroki i lepsze jedzenie. Przebywałem w szpitalu już blisko rok, w czym była duża zasługa dr Kamińskiej. W czasie jednej z wizytacji prokuratorów i lekarzy spoza więzienia zostałem sprowadzony do kancelarii szpitalnej. Przeglądali moją historię choroby, którą jednocześnie referowała pani doktor. W tym czasie posługiwałem się tylko lewą ręką, gdyż prawa mocno drżała. Nawet w czasie tego przesłuchania dostałem silnej biegunki i szybko wyprowadzono mnie z kancelarii. Po jakimś tygodniu zabrano mnie ze szpitala, ale nie był to „ogólniak”, na którym przebywałem wcześniej. W celi, do której trafiłem, było około piętnastu więźniów. Tu dopiero dowiedziałem się o śmierci Stalina, choć minął już blisko rok. Nadal dostawałem różne leki dla uspokojenia systemu nerwowego.

Kiedy jeszcze przebywałem w szpitalu razem ze Stemlerem, a było to w czasie apogeum mojej choroby. Razu pewnego otwieram oczy, a nade mną stoi właśnie on:

- Franiu, co ci się śniło?

- Tylko powiedz szczerze!

- Dlaczego Pan pyta?

- Stojąc nad Tobą, kiedy spałeś, widziałem Twoją uśmiechniętą twarz i pierś falującą ze wzruszenia. Miałeś jakiś piękny sen! Pamiętaj, że nie każdy sen jest „sen – mara, Bóg wiara”; są też sny prorocze, jak np. sen Józefa w Egipcie.

- Stałem przy końcu naszego pola w Borku, gdzie był mój dom rodzinny. Jasny błękit lazurowego nieba, bez żadnej chmurki. Na nieboskronie widzę ogromny wizerunek Matki Boskiej Okulickiej, uśmiechniętej i wyciągającej do mnie zapraszająco dłoń, w której trzymała różaniec, a pod nią arabska cyfra 2.

Pamiętam dobrze, że ten zacny człowiek pochylił się nade mną pocałował w policzek i powiedział: - Czyż Matka Boska Okulicka może Ci zwiastować coś złego, zwłaszcza, gdy jest uśmiechnięta!? To sen na pewno proroczy i dobry, pamiętaj, Franiu! Nie wiem czy ja wyjdę z tej karni, ale sobie przypomnij com powiedział: cyfra 2 znaczy termin, może znaczyć 2 dni, 2 tygodnie, może 2 miesiące, w najgorszym razie 2 lata, ale ja całym jestestwem zaświadczam Ci, że wyjdiesz, wyjdiesz na pewno!

Słowa tego szlachetnego człowieka stały się dla mnie potężnym zastrzykiem nadziei. W celi, do której mnie przerwano ze szpitala, dowiedziałem się, że sprawy AK zostały definitywnie zamknięte. Nie brano mnie już na przesłuchania. Podświadomie czułem, że wokół mnie coś się

dzieje, ale czy coś dobrego? Bóg raczy wiedzieć! Fakt, że po ucieczce Świątły stosunek do więźniów zmienił się radykalnie. Nadal jednak nie wiedzieliśmy, że stołki pod Różańskim, Mietkowskim, Fejginem, katami Polskiego Podziemia chwieją się.

Był dzień 22 grudnia 1954 roku, rano po śniadaniu, kiedy chodziliśmy w tzw. kieracie, gęsiego, jeden za drugim (przeważnie odmawiało się wtedy po cichu modlitwy). Nagle otworzyły się drzwi i oddziałowy zapytał:

- Czy ktoś jest na „S”?
- Stal – odpowiedziałem.
- Pakować się!

Ręce mi się zatrzęsły z wrażenia, bo nie wiedziałem, co się za tym kryje. Oddziałowy poprowadził mnie do części administracyjnej, a tam znów:

- Nazwisko, imię ojca, data i miejsce urodzenia.

Oddziałowy wyprowadził mnie na podwórze, skąd skierowaliśmy się do magazynu. Tam magazynier podał mi moje cywilne ubranie każąc mi się przebrać. Co jest grane? – czy to znów jakaś szatańska, podstępna gra? Przebrany po cywilnemu zostaję wprowadzony do celi, gdzie urzęduje tzw. spec-ubowiec od spraw wychowawczych, zbir, kanalia. Ku memu zdumieniu po raz pierwszy słyszę na Mokotowie „wersal”:

- Proszę siadać. Słuchajcie Stal, wiecie jakiej zbrodni dopuściliście się przeciwko naszej Ludowej ojczyźnie. Macie rodzinę, tam żona i synek czekają na was. My jesteśmy za silni, my możemy sobie pozwolić nawet na gest i wypuścić was. Co wy na to?

- To będzie dla was z pożytkiem – odparłem spokojnie. - W szpitalu przebywałem ponad pół roku. Dopłacaliście do mnie. Wychodząc na wolność może będę mógł wrócić do równowagi i podjąć jakąś lekką pracę...

- Gdybyśmy was wypuścili to ani mru mru, coście tu widzieli! Bo my o wszystkim będziemy wiedzieć, o każdym waszym kroku! Zrozumieliście!?

Słuchając drania cały czas zastanawiałem się, czy w tej rozmowie nie ma jakiegoś podstępu.

- Podpiszcie, co wam tu powiedziałem... że przyjmujecie do wiadomości!

Podpisałem podany dokument, raczej przewidując, że to podstęp.

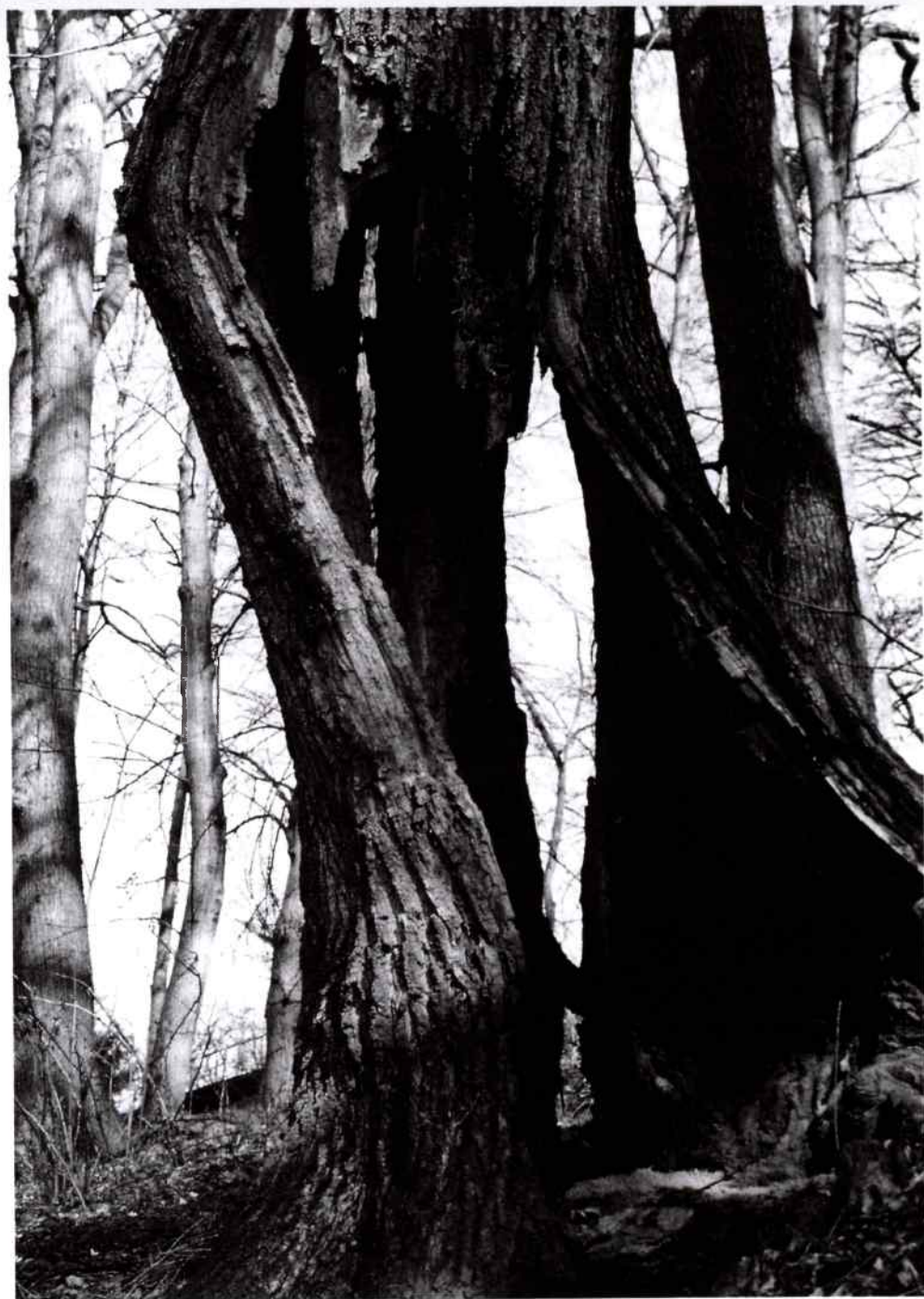
- Otóż tu jest wasze zwolnienie na roczną przerwę z więzienia.

Coś się musiało wtedy ze mną stać, bo przestraszony ubek zapytał:

- Co wam jest?

Zerwałem się z krzesła, chwyciłem je i z całej siły rzuciłem w ubeka, który tylko zdążył się schować za biurkiem. W tej samej chwili straciłem przytomność. Kiedy wróciłem do rzeczywistości, nade mną stali lekarz i siostra, byłem po zastrzyku uspokajającym. Podano mi obiad, którego nie mogłem nawet ruszyć, wypilem jakiś płyn. Kazano mi wstać z kozetki i przejść się po pokoju. Po chwili wszedł oddziałowy, podparł mnie ramieniem i tak po raz drugi znalazłem się w kancelarii więziennej. Tu z depozytu wypłacono mi jakąś sumę, podpisałem odbiór pisma zwalniającego mnie na przerwę w odbyciu kary. Wyprowadzono mnie na korytarz i jak zwykle, więziennym zwyczajem stanąłem głową do ściany - obok mnie przeszła dr Kamińska. Odważyłem się szepnąć do niej tylko „Bóg zapłać”. Ku mojemu zdumieniu odpowiedziała mi!

Oszołomiony i nafaszerowany pastylkami wyszedłem przez pierwszą bramę więzienną a nade mną zobaczyłem duży zegar, którego wskazówki pokazywały punktualnie cyfrę 2!! I tak uświadomiłem sobie, że mój niedawny sen okazał się „wiarą”, a nie „marą”. Prawie nieprzytomny uczyniłem pierwsze kroki na ziemi poza murami więzienia. Zaraz pojawiła się jakaś „litościwa dusza” z zapytaniem: - Co Pan taki blady, czy czasem nie siedział Pan u tych zbirów? Podejrzewając prowokację, ordynarnie odprawiłem pytającego i tramwajem dojechałem do dworca kolejowego. Za parę godzin miałem pospieszny do Krakowa; dojechałem tam przed północą. Żona w owym czasie mieszkała u mego brata w dzielnicy Krowodrza, dobre dwa i pół kilometra od dworca



ca, a ja nie miałem pieniędzy na taksówkę. Czekala mnie więc droga przez mękę; przecież przez sześć i pół roku poza dziesięciominutowym spacerem w „kieracie” nie ruszaliśmy się z miejsca, nasze mięśnie były w stanie zaniku! Idąc ślaniałem się, upadałem i podnosiłem się znów, przecież tam w domu czekała na mnie żona i mój ukochany synus, Stasiu, tam był mój brat i rodzina! Droga dłużyła się w nieskończoność. Kiedy znalazłem się pod domem było po szóstej, znaczy to, iż te dwa i pół kilometra szedłem około sześciu godzin! Żona mieszkała dosłownie w piwnicy w pomieszczeniu o wymiarach 1,5 x 3 metry, piwniczne okienko a trzy metry od niego ustępy w podwórku. Całe podwórze brata otaczał dwumetrowy płot. I tu pojawił się następny problem dla mojej kondycji. Obok torów znalazłem stare wiadro i po kilku próbach pokonałem przeszkodę.

I oto jak zbrodniarz, czy banita, nie mając odwagi zapukać, stanąłem przy małym piwnicznym okienku; serce podeszło mi do gardła. W końcu drżącą ręką zapukałem. Na stereotypowe „Kto tam?” odpowiedziałem „Ja – tatuś!” cisza była zupełna, nikt się nie poruszył, po chwili ponowiłem pukanie i znów usłyszałem „Kto tam?”, więc ja znowu to samo: tatuś. Wtedy usłyszałem przeraźliwy krzyk, którego nie zapomnę do końca życia:

- Stasiu! Tatuś wrócił!

Ze ściśniętym sercem wszedłem do izby, żona zapaliła światło. Przywitaliśmy się we łzach. Synek miał opory zbliżyć się do nieznaney osoby, ale jego serduszko też wyczuło ojcowskie ciepło. Żona skoczyła do brata, Jana; i tam usłyszałem krzyk i płacz, domownicy zbiegli na dół. Nie będę dalej tego opisywać, gdyż nikt nie jest w stanie tego opisać. W domu zastałem biedę z nędzą, żona niemal nie miała butów.

Na drugi dzień musiałem się zameldować na posterunku Milicji Obywatelskiej. Nie było daleko, więc przy pomocy żony i brata jakoś tam doszedłem. Jan natychmiast zorganizował mi leczenie u doktora Tadeusza Muszyńskiego, neurologa, który po ojcowsku zajął się mną. Mój młodszy brat, Stanisław, który też był aresztowany, już dawno wyszedł, gdyż odbył tylko 4 lata w Rawiczu, chyba tylko za to, że był moim bratem. Muszyński zalecił mi lekką pracę, jako najlepszą terapię na moje schorzenia nerwowe, więc Stanisław zorganizował mi pracę pomocnika magazyniera w Mostostalu, przy budowie elektrowni w Skawinie. Mój szef, mgr inż. Ludwik Siwek, zabierał mnie ze sobą, a wieczorem po pracy odwoził do domu. Mały Staś, który przez dłuższy czas zwracał się do mnie „stryjciu”, w końcu odważył się nazwać mnie tatusiem. Pan Siwek przypisał mnie do przodującej brygady, która bardzo dobrze zarabiała, co automatycznie podbudowało naszą sytuację rodzinną. Pamiętam, że z pierwszej pensji były buty dla żony, bo ubieraniem synka zajęli się już przedtem bracia.

Rzeczywiście, taka praca była dla mnie dobrą terapią. Doktor Muszyński, któremu opowiedziałem o moich przejściach, stał się dla mnie opiekuńczym duchem i robił wszystko, by mnie postawić na nogi. Stopniowo wracałem do równowagi. W połowie przerwy w karze, pod dyktando prawnika, który za kilka zdań kazał sobie słono zapłacić, wysłałem pismo do naczelnej prokuratury o przedłużeniu mi zwolnienia; do tego dołączyłem zaświadczenie doktora Muszyńskiego o stanie mojego zdrowia i wynikach leczenia, a inżynier Siwek wydał zaświadczenie o mojej pracy czyniąc mnie jej przodownikiem! W odpowiedzi otrzymałem przedłużenie urlopu zdrowotnego o dalsze pół roku i równoczesne skierowanie na badania do Wojskowego Szpitala Okręgowego w Krakowie. Zjawiłem się tam i od razu trafiłem do kapitana – internisty, traf chce, że znowu Żyda. Badał mnie bardzo dokładnie, sprawdzał wyniki laboratoryjne, a kiedy zostaliśmy sami w gabinecie zapytał, dlaczego ja – cywil jestem tu badany. Otworzyłem się przed nim, w końcu niczym nie ryzykowałem. Od tego spotkania został on moim aniołem stróżem przekazując mnie później innym lekarzom wojskowym. Do dzisiaj pamiętam moje zaświadczenie o moim stanie zdrowia ppłk. Wojciechowskiego. Ja sam sobie bałbym się wystawić takie zaświadczenie! Kiedy nieśmiało zwracałem mu uwagę, by się sam nie narażał, odpowiedział mi mniej więcej tak:

- Ja wiem, co robię. W swoim fachu jestem specjalistą. Niech mnie zwolnią!

W ten oto sposób doczekałem Polskiego Października. Role się pozmieniały, teraz Różański, Fejgin i spółka trafili do więzień. Ja nadal pracowałem w Mostostalu. Czasami trafiał mi się dyżur nocny i to były dla mnie ciężkie chwile. Dostawałem bowiem takie oto telefony: - Franuś, tu Wacek Walicki, jestem przejazdem w Krakowie, gdzie się spotkamy? Ja natomiast dobrze wiedziałem, że Wacek został na Mokotowie w 1951 roku rozstrzelany! Nie muszę dodawać, że takie nocne rozmowy podkopywały moje zdrowie.

Wróć jeszcze do mojego powrotu z więzienia. Jestem już z żoną, synkiem oraz braćmi, ale przecież w Borku nadal lzy wylewa moja ukochana Mama (liczyła wtedy ponad siedemdziesiąt lat). Stanisław pojechał z misją, by ją przygotować na spotkanie ze mną, my zaś podążyliśmy innym pociągiem kilka godzin za nim. Trzeba przyznać, że brat mistrzowsko wywiązał się z zadania. Jako pierwszy wszedłem do izby, Mama stała na środku, padłem do jej nóg. Nasze lzy były tym razem łzami szczęścia. Potem powiedziała mi, że nie uwierzyłaby nikomu, że można wylać w życiu tyle łez... Po moim powrocie z więzienia Mama żyła jeszcze dwadzieścia lat. Odeszła w wieku dziewięćdziesięciu sześciu lat, a przecież życie miała ciężkie, bo po śmierci naszego taty wychowywała sześcioro dzieci zupełnie sama. W wiosce cieszyła się autentycznym autorytetem, choć byli i tacy, co złorzeczyli jej, że wychowała bandytów...

[CAŁOŚĆ OPRACOWAŁ MAREK RAPNICKI]



RODZINA STALÓW: Z LEWEJ MATKA ZE STANISŁAWEM NA KOLANACH, Z PRAWIEJ OJCIEC NA PRZEPUSTCE Z ARMII AUSTRIACKIEJ OBEJMUJĄCY SZESZCIOLETNIEGO FRANKA (CZERWIEC 1918 R.)

# WIERSZE PSZOWSKIE

„czyż miś ten nie jest przepiękny?”

(MARYSIA, 8 LAT)

czym jest wszystko  
wobec tamtej sceny,  
tego zdania?

## TO PRAWDA

### BOŻENCE

„Wytrzymać tydzień  
wytrzymać rok  
wytrzymać tydzień a potem siedemdziesiąt lat

Ale były lata, których nikt nie liczył  
królewskie  
kiedy bawiliśmy się pod starymi dębami  
i wieczność była przy nas”

(JULIA HARTWIG, BEZCZAS)

To prawda.

Były takie lata.  
Za oknem  
w listopadowe wieczory  
rzęziły drzewa,  
ale pewnego poranka  
spadł śnieg  
i na białych łapach  
stanął u drzwi grudzień.

Płakaliśmy często, to prawda,  
ale z nieznanym już dziś przyczyn.  
W każdym razie na pewno nie z nieszczęścia.

Przebywaliśmy w jasnej dolinie.  
Jej wrót strzegły karminowe róże z ogródka.  
sam Jezus je sadił, głosiła legenda.

Czekaliśmy co będzie dalej.  
Do naszych stóp lasiła się odwaga.  
Potem odeszła. Niewierny był z niej pies.

Ale wieczność, która była przy nas już wtedy,  
jest teraz znacznie bliżej.  
To prawda.



PSZÓW, 14 WRZEŚNIA 2006 R.

## NOWE PRZYGODY MIKOŁAJKA

BOŻENIE I TADEUSZOWI

Dziewczynka  
mieszkająca w tym domu  
jeszcze śpi.  
Dziś są jej ósme urodziny.

W jasnym powietrzu kuchni  
zapach kawy, frezji i spalin  
(kuchnia przylega do garażu,  
z którego przed chwilą wyjechał samochód).

Mama i brat dziewczynki skończyli przed minutą śniadanie,  
a teraz jadą do Rybnika fiestą w kolorze leżącej w zlewie łyżki.  
Jest siódma zero siedem, promienie słońca (okno kuchni jest wschodnie)  
sięgają stołu w jadalni.

Znalazłem się tu i teraz nie przypadkiem:  
zostałem wybrany; jestem świadkiem.

Na stole, w tekturowej torebce,  
położyli książkę „Nowe przygody Mikołajka” Sempęgo i Gościnnego  
i o nią opartą kartkę z życzeniami dla Marysi (kulfoniaste litery:  
tak matka, jak syn, raczej bazgrzą niż piszą).

Dziewczynka przebudzi się za godzinę, zachłyśnie radością,  
potem przez kilka miesięcy nie będzie się z książką rozstawać.  
A jeszcze potem będzie szczęśliwa tą chwilą poranną do samej śmierci.  
Nikt i nic już jej tej radości nie odbierze.  
Ale na razie trwa ranek kwietniowy  
i tylko ja widzę to, co widzi Bóg:  
tę miłość bez domieszek, tę ulgę Jego serca  
(a jednak warto było stworzyć świat).

W tej chwili porannej Go rozumiem,  
widzę rewers Jego cierpliwości,  
Jego wiarę w nas,  
ufność z jaką powierzył ludziom ludzi.

Że też mogę to widzieć,  
zapamiętać, opisać.  
Opłakać

Pszów – LUBLIN, 20 KWIETNIA – 29 CZERWCA 2006 R.

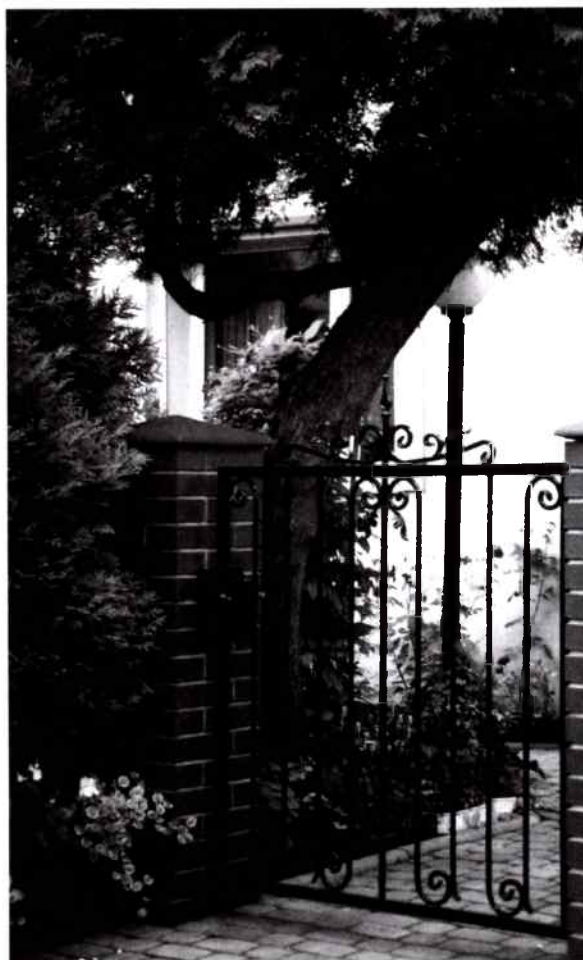
## DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT KAPŁAŃSTWA

teraz, z wiosną,  
w skrawku kwietniowego światła,  
objawiło się czym jest,  
życie moje:

jest liściem oderwanym z wysokiej gałęzi;  
w dół, w górę, tańczy, dygoce;  
ciemnieje, drży.  
Uspokoi się, kiedy dotknie ziemi.

Skąd to jest, pytam po tych latach,  
osłupiały, to coś spoza mnie, w mojej  
krwi obecne bardziej niż ja sam?  
Skąd jest to przeczucie szczęścia,  
że będzie dobrze kiedy dotknę? Ta radość większa niż  
cokolwiek?  
Skąd?

PSZÓW, 12 KWIETNIA 2004 R.



## ZDARZENIE LOSOWE. TELEFONY

to się dzieje zazwyczaj  
nad ranem, w bladym początku dnia  
kiedy trwa owa „chwila” (z Szyborskiej)  
Uporczywy dzwonek telefonu  
wrywa cię z baśni, bądź z koszmaru

albo nieco później,  
kiedy skowyt telefonu nęka cię pod  
prysznicem albo z golarką w dłoni  
co kilka minut, monotonna, do skutku.

Nie masz wątpliwości, że chodzi o złą wiadomość  
Mokrą dłonią podnosisz słuchawkę i  
słyszysz to, czego się spodziewałeś.

Potem list, męskie pismo: nie odbiorę sobie życia. Jeszcze nie teraz  
Potem telefon, kobiecy głos: śniłam, że miłość jest wieczna.  
Potem straszny, wielki krzyk:  
Jezu, Jezu, Jezu...  
Jak byśmy żyli i umierali bez Ciebie...

PSZÓW – KOKOSZYCE, 9 MAJA 2005 R.

## ELEGIA NA ODEJŚCIE

„Bóg (...) odbiera nam tych,  
których kochamy”  
(KRZYSZTOF BOCZKOWSKI)

Utracę was  
i zapewne dam radę  
płynąć jeszcze czas jakiś.  
I będę dobry dla ludzi,  
zapamiętam jak to się robi,  
podpatrywałem wasze dłonie,  
predylekcję do przebywania w półcieniu,  
pogardę dla sceny i reflektorów.

Ale w gruncie rzeczy  
wy pływam na wody gorzkie i słone;  
turkusowe zatoki zostały za nami.

Choć może kiedyś, kto wie...

PSZÓW, 14 WRZEŚNIA 2006 R.

## GRA W PIŁKĘ. WCZESNY WIECZÓR, LATEM

MARYSI

Masz osiem lat,  
koński ogon *à la Camoranesi*  
i podrabianą koszulkę reprezentacji Brazylii na sobie.  
I wszystko przed sobą.

Strzelam na Twoją bramkę.  
Zaśmiewamy się oboje.  
Nadaję piłce rotację, celuję w okienko,  
dbam o to, żebyś się nie bała.  
Ani piłki,  
ani utraty gola,  
ani niczego.

Nad nami dogasają lipcowe zorze  
(pomyśl, jacy byliśmy wtedy szczęśliwi).  
Moje myśli są daleko stąd,  
ale moje serce jest ufne, przy Tobie.

Widzę jak pewnego dnia  
dotykasz jedwabistej miękkości białej sukni  
albo szorstkiego brzegu habitu.  
Jak On zechce, bądź wolna.

Widzę też jak  
dotykasz tych, których Ci powierzy.  
Jak dobrą będziesz kobietą.

I widzę jak  
dotykasz mojego policzka w chwili, kiedy odchodzę.  
Będziesz wtedy blisko, wiem.  
Bywam nie najgorszym prorokiem, zobaczysz.

Ale teraz trwa ten wieczór na naszym boisku.  
I zaśmiewamy się oboje.  
Do utraty tchu

WOODINVILLE, 8 SIERPNIĄ 2006 R. – BRENNĄ, 6 WRZEŚNIA 2006 R.

# „ONA, MĄDRA”

— ROZWAŻANIA NAD JEDNYM WIERSZEM  
KSIĘDZA JERZEGO SZYMIKA

## MATYLDA<sup>1</sup>

„trudniej runąć w nicość, gdy w dole rozciąga się wiersz”

S. HEANEY

Niech będzie dla ciebie święto:  
zobaczysz swoją niespełna dwudziestoletnią babcię.  
Toż to prawie podlotek.  
Ta chwila, kiedy ją przydybał fotograf,  
zmusiła rodzina: uśmiechnij się, bądź ładna, nadszedł czas.  
Ona, mądra, zawsze zresztą wiedziała, że bez konwenansu,  
formy i uległości nie da się żyć. Ani dać życia innym.  
Nie byłoby ciebie, gdyby nie jej pokora wobec Mocy.

Więc to zdjęcie na czas twej dzikiej trwogi.  
Jej drobne ciało, talia osy, trzepot rzęs;  
dłonie smukłe za sprawą genów i szydełka,  
dłonie, które pamiętasz wykręcone, pokonane przez reumatyzm  
(mówiła *rajmatyka*), dłonie, które cię czule dotykały, których zapach  
tkwi w tobie jak wbity w ciebie i zrośnięty z twoim ciałem grot.

To zdjęcie ubogiej dziewczyny woła do ciebie  
z półmroku nieistniejącego już atelier w powiatowym miasteczku.  
W *Loslau* na przykład. Albo w *Ratibor*. Gdziekolwiek wówczas  
biedowali. W tamtych latach było na Śląsku sporo kurzu, nadziei  
i krwi.

Każdą plamką sepii  
woła do ciebie:  
nie żyj nadaremnie,  
umrzesz z tęsknoty jak ja.

PSZÓW, 3 LIPCA 2002 R.

MOIM PRAGNIENIEM JEST SPOTKAĆ TE DWA ŚWIATY – TEOLOGIE, KTÓRĄ UPRAWIAM I ŚLĄSK, KTÓRY CHCĘ, ŻEBY BYŁ PRZEŻYWANY ŚWIETLIŚCIE<sup>2</sup>.

ks. J. SZYMIK

Czytelnik wierszy księdza Jerzego Szymika bez trudu zauważy w nich potrójną perspektywę patrzenia – przez pryzmat księdza, poety i Ślązaka. Każde z tych spojrzeń osadzone jest według autora „w modelu, który sięga swoimi korzeniami prologu IV Ewangelii wg św. Jana”<sup>3</sup>. W każdym z nich słychać ton wyraźnej akceptacji dla świata, w jego obecnym kształcie bez złudzeń nazwanego przez poetę krainą pepsi-coli<sup>4</sup>, świata, dla którego, jak twierdzi za Janem Pawłem II, największym zagrożeniem jest pokusa rozpaczy. Poeta, nie chcąc żyć w iluzji, rozpoznaje naturę otaczającej rzeczywistości i akceptuje swoje w niej miejsce.

Przykładem skupiającym w sobie wszystkie zasygnalizowane treści jest wiersz *Matylda*, pochodzący z tomiku „Błękit”. We wstępie do tego liczącego pięćdziesiąt utworów zbioru, ksiądz Andrzej Szostek pisze: „Chce nas Autor zatrzymać przy tym, co Jego w życiu zatrzymuje”<sup>5</sup>.

Tytuł – *Matylda* – pozwala przypuszczać, że chodzi o wpisaną w biografii twórcy konkretną, bliską mu osobę. Żeńskie imię w lapidarny sposób ustawia rodzaj percepcji odbiorczej, ukierunkowuje ją na sfery delikatności i miękkości, jako że z nimi zwykło się łączyć kategorię kobiecości. Rozbudza ciekawość czytelnika tycząca rodzaju kobiecości, jaki został przypisany tytułowej Matyldzie, a także charakteru relacji łączących ją z podmiotem lirycznym. Ważną wskazówkę odbiorca otrzymuje w formie imienia, bo zostało ono przywołane w swojej oficjalnej, słownikowej formie, świadomie pozbawionej wysubtelnienia lub familiarności. Uruchomione w tym momencie zostają przestrzenie, w których funkcjonują mocne, głęboko utrwalone symbole kultury europejskiej – np. *Mysliciel* Auguste Rodina czy *Madonna del Parto* Piero della Francesca. Tytuł zawiera więc w sobie ukrytą antynomię zwiewnej, powabnej i pełnej patosu kobiecości oraz posągowej mądrości.

Cała konstrukcja wiersza oparta jest na zabiegu przeplatających się ze sobą sfer pospolitości i wyjątkowości, zwyczajności i podniosłości. Uaktywniają one sposób kreacji podporządkowany budowaniu portretu wpisanego w przestrzeń „między niebem a ziemią”<sup>6</sup>. Zabieg ów odpowiada chrześcijańskiej myśli, bliskiej nie tylko pisarstwu księdza Jerzego Szymika, ale pojawiającej się często w pisarstwie Ślązaków. Można więc mówić o niej jako o fundamencie głęboko zakorzenionym w śląskim myśleniu. Identycznego argumentu w XIX wieku używał przecież ksiądz Norbert Bończyk, kiedy kreślił arkadyjski wizerunek regionu w *Starym kościele miechowskim*<sup>7</sup>, a w okresie międzywojennym powrócili do niego ksiądz Jan Kapica i ksiądz Emil Szramek<sup>8</sup>.

Inicjalna partykuła „Niech”, ze swej natury pełniącą funkcję wzmocnienia, staje się rodzajem magicznej formuły, przywołującej święto. Semantyka rzeczownika „święto”, jak również wyrazna stylizacja biblijna, sięgająca do *Księgi Rodzaju* („Niech się stanie...”), uwznioślają, wręcz sakralizują powoływany właśnie do życia obraz.



Powstaje wówczas pytanie podstawowe: czyje to będzie święto? Apostroficzna forma zaimka „ciebie” sugerowałaby, iż świętuje sam odbiorca – czytelnik. Już jednak w drugim wersie pojawia się zaimek zwrotny „sobie”. I w tym momencie uczestnikiem święta zdaje się być sam podmiot liryczny. Czyżby więc chodziło o rodzaj gry z czytelnikiem? Odpowiedzi należy szukać w konstrukcji bohatera lirycznego wiersza. Dopiero on bowiem pozwoli określić rodzaj tożsamości we wzajemnych relacjach podmiotu, bohatera i odbiorcy.

Forma fleksyjna czasownika „zobaczysz” wprowadza efekt zakłęcia i dramatyzuje chwilę oczekiwania. Stan ten jednak jest krótkotrwały, oto bowiem wizualizuje się zapowiadana postać wywołana oksymoronicznym epitetem – „dwudziestoletnia babcia”. Magia tego zestawienia zaczyna działać, bo wprowadza w sferę kultury pamięci. „Toż to prawie podłotek”. Utrzymana w rejestrze języka potocznego – tak w warstwie semantycznej („podłotek” czy „przydybał”), jak i eliptycznej składni kolokwialnego „toż to” – powyższa fraza, wzmacnia ekspresję wyznania podmiotu, jak również wyrazistość portretu bohatera, a przy tym wywołuje jednocześnie efekt skrócenia dystansu, oswojenia postaci.

Sensualistyczna wrażliwość i wyobraźnia autora, wykorzystując wizualny skrót, wydobywa desygnaty opisu kobiecego piękna ujmowanego w formule utrwalonej już w sonetach: „talia”, „rzęsy”, „dłonie”. Opatrując je epitetami: „drobne”, „smukłe”, zmierza w stronę nowożytnych kanonów kobiecej urody. Portret na moment przybiera jednak rysy współczesnej modelki, bohaterki okładki kolorowego pisma dla kobiet. Dzieje się to za sprawą wprowadzenia bardzo współczesnych frazeologizmów: „talia osy”, „trzepot rzęs” – wchodzących w dialog ze stereotypowymi wizerunkami kobiety „ozdobnej”. Owa trywializacja wynikająca z zastosowania oklepanych komunałów nie oznacza jednak, że podłotek ów klasycznością swych kształtów nie może zostać wpisany w bogaty kontekst tradycji kulturowej, sięgającej biblijnej Estery i trojańskiej Heleny.

Wierność prawdzie nie pozwala podmiotowi nazbyt długo łudzić odbiorcę jasnym, powabnym obrazem, inicjującym myślenie w stylu: oto portret wielkiej damy. Krótki, niczym zgrzyt komunikat: „To zdjęcie ubogiej dziewczyny”, studzi wyobraźnię odbiorcy, gasi też sensualistyczno-euforyczny ton wypowiedzi samego podmiotu. Na zdjęcie, będące jak każda fotografia – zatrzymaną chwilą, nakłada się pamięć podmiotu, a z niej wylaniają się jakże inne dłonie – „wykręczone, pokonane przez reumatyzm”, a zatem takie, jakie on zapamiętał.

Krótkie, wpisane w nawias oznajmienie – „mówiła *rajmatyka*”, tyżące preferencji gwarowych języka bohaterki, pozbawia odbiorcę złudzeń. Matylda to nie tylko dziewczyna biedna, ale też dziewczyna, której nie dane było zaznać pożytku szkolnej edukacji.

Głęboko zmysłowa pamięć podmiotu lirycznego rozbudza sfery wrażliwości na dotyk, a nawet zapach, czym zbliża się do poetyki kiczu, zastępującej uczuciowość przez czułośćkowość.<sup>9</sup> Autor nie przekracza jednak dozwolonej granicy – „czuły dotyk” i „zapach [który] tkwi w tobie” – nie wyrastają z przebiegłości mistrza doskonale zorientowanego w rodzaju percepcji odbiorcy, nie służą też kokietowaniu czytelnika. Zabieg ten jest wynikiem fascynacji urodą życia, przede wszystkim jednak wyrazem głębokiej świadomości wrośnięcia w śląskość – z jej jasnymi i ciemnymi konsekwencjami, czego symbolem jest grot „wbity i zrośnięty z twoim ciałem”. Obraz ten symbolizuje ranę po przeszyciu strzałą, skrywającą tak miłość jak i ból, a nawet gniew. Zranienie jest świadectwem głębokich uczuć, ale też śladem zdrady i szorstkości, wpisanych w relacje między bohaterką fotografii a podmiotem lirycznym. Porównany do grota znak pozostawiony po czułości i zapachu dłoni, to kolejny zabieg nakierowany na uautentycznienie portretu, a wynika on z pozbawionej naiwności wiedzy, że życie boli, bo musi boleć, by było prawdziwe.

Jest to w wierszu moment, w którym następuje uniwersalizacja portretu – przyjmuje on postać Matyldy z „Loslau” albo „Ratibor”. Forma liczby mnogiej i czasu przeszłego („biedowali”) sprawia, iż los Matyldy staje się losem pokolenia; zabieg ten wzmocniony jest zaimkiem „gdziekolwiek”. W mistrzowski sposób skąpymi dopowiedzeniami, jak krótkimi pociągnięciami pędzla,

charakteryzuje i podmiot, i koleje życia pokolenia, do którego on należał: biedowali wśród „kuru, nadziei i krwi”.

Tytułowa Matylda kumuluje w sobie losy pokolenia i los konkretnej kobiety, ale też wrażliwość dziedzictwa, bo bez niej „Nie byłoby ciebie”. Cechą konstytutywną portretu czyni podmiot jedną z cnót głęboko chrześcijańskich – pokorę, którą w mentalności tutejszych ludzi utrwaliła jednak kultura mieszczańska. Wyznaczała ona kobiecie rolę strażniczki domowego ogniska w przeświadczeniu, że zapewni ona „ład aksjonormatywny” i kontynuację rodzinnych etosów. Tytułowa Matylda realizuje XIX-wieczny model kobiecości, który – dzięki temu że był upowszechniany w regionalnym piśmiennictwie – mocno wrósł w śląską tradycję. W spektakularny sposób kobiecość taką projektowano w 24 zwrotkowym *Abecadle dla kobiet*, anonimowym wierszu, opublikowanym w „Katoliku. Kalendarzu Górno-Szląskim” na rok 1887. Autor abecadłowej rymowanki stwierdza:

*Aniołem na ziemi staje się niewiasta  
Jeżeli tu w cnoty zdobi się i wzrasta;  
Jeżeli jest pomna na swe przeznaczenie,  
Jeżeli jest zawsze czyste jej sumienie.  
[...]  
Dobroć i łagodność są to dary nieba, -  
O te ci najbardziej Boga prosić trzeba;  
Niemi świat pozyskasz, osłodziśz pożycie -  
Są najpożądanse w każdej więc kobiecie<sup>10</sup>.*

Odnosząc analizowany wiersz księdza Szymika do wzorotwórczego projektu z przeszłości możemy powiedzieć, że Matylda wpisuje się w marzenie o kobiecie idealnej, w wizerunek „kobietki-aniola”, który kształtowali wychowawcy-księża, nauczyciele, dziennikarze i miejscowi literaci.

Krystyna Kossakowska-Jarosz, omawiając śląski wariant anielskiej kobiecości, pisze: „Figura prostolinijnej, skromnej, i przy tym niebiańsko dobrej dla innych Ślązaczki podtrzymywała symboliczną tożsamość zwyczajnej kobiety z Aniołem. Skupiała w sobie esencję kobiecości wyznaczonej wedle drobnomieszczańskich prawideł. Jednakże do dopełnienia harmonii prawego życia anielskiej Górnoślązaczki nieodzowny był jeszcze jeden atut – uparte trwanie przy rodzimoci<sup>11</sup>”.

Matylda zdaje się przekraczać ów XIX-wieczny stereotyp bliski „chodzącemu ideałowi” Kopciuszka<sup>12</sup>. Jej pokora bowiem rozumiana jest nie jako bezkrytyczne, wyzbyte dumy i honoru podporządkowanie się, lecz jako przymiot ewokujący wypracowany przez cywilizację europejską model mądrości, oparty o wartości zakodowane w pojęciach: konwenans, forma i uległość.

Kluczem interpretacyjnym wiersza, umożliwiającym deszyfrację najgłębszych jego pokładów znaczeniowych wydaje się być wers: „Nie byłoby ciebie, gdyby nie jej pokora wobec Mocy”. Konstatacja powyższa odsłania wyrazisty kontekst religijny i uzasadnia ostatecznie cud istnienia wpisany w relację między podmiotem, bohaterem i odbiorcą. Wartość semantyczna rzeczownika „Moc” pełni bardzo istotną funkcję w kreacji świata przedstawionego: uwzniośla postać tytułowej Matyldy oraz sakralizuje przestrzeń i czas, w które bohaterka jest wpisana. Staje się ponadto sposobem wyznania wiary samego podmiotu, wiary zakorzenionej w mądrości i pokorze babci, z której emanuje mądrość całych pokoleń przechowywana i przekazywana w czułym dotyku dłoni.

Postać bohaterki wykreowana zostaje w utworze przy wykorzystaniu rekwizytu, jakim jest stara, przywołana kolorystyką „sepii”, fotografia. Nie jest to jednak zwykła fotografia; pod wpływem zaklęć poety zaczyna bowiem żyć, upersonifikowana „woła do ciebie”. Powtórzona dwukrotnie informacja czyni wołanie donioslejszym. Treść tego wołania zawarta jest w puentującym utworze dystychu:

*Nie żyj nadaremnie  
umrzesz z tęsknoty jak ja.*

Wykładnik kategorii rozkazu ukryty w formie czasownikowej „Nie żyj”, dodaje głosowi siły imperatywu, czasownik „umrzesz” pozbawia sentymentalnej naiwności, z kolei pojęcie „tęsknota” budzi nadzieję ukierunkowaną wertykalnie. Jest to nadzieja na transcendencję.

Tak bohater wiersza, jak i podmiot mówiący, żywo odczuwają istnienie Boga, mieszczą się zatem w pełni w kategorii *homo religiosus*, jaką od dawna przypisywano Ślązakom. Potwierdzał to cytowany już Emil Szramek w swojej bardzo znanej pracy *Śląsk jako problem socjologiczny*<sup>13</sup>. Babcia Matylda sportretowana od podlotka do wołającego zza grobu głosu, wystylizowana została przez Szymika na mędrca niezwykle dyskretnie, jak dyskretnie jest sacrum ukryte w pojęciu „Moc”. Podprowadza ono wpisane w tekst wnuka-observatora zdjęcia, ale i czytelnika – duchowych dziedziców – ku transcendencji.

Swoista teologia utworu wyrasta z doświadczeń oraz etosu ludzi z powiatowych i mniejszych śląskich miasteczek i osad, dla których religia stanowiła jeden z najważniejszych elementów kształtowania tożsamości. Według Aleksandry Kunce fakt ów wpływał z chęci przekroczenia doczesności i ułudy. „Unieważnić zmienność i materialność. To taki **WYZNACZNIK DUCHOWY**, który nadaje śląskiemu stylowi myślenia inny kierunek, nie tylko skupiony wokół rzeczy, które się czci, pielęgnuje, szanuje, tworzy, unowocześnia, gromadzi, pomnaża”<sup>14</sup>.

Bohater liryczny omawianego utworu – tytułowa Matylda – wpleciony jest w biografię „ja” lirycznego, utożsamianego bezpośrednio z autorem. Wiersz ten, poprzez kreacje postaci, wpisuje się w proces budowania wizerunku regionu, owej „małej ojczyzny”.

Wyraźnie zarysowana funkcja parenetyczna, pozwala analizowany tekst, stanowiący źródło naszego namysłu, odczytać również jako głos w dyskusji nad kształtowaniem tożsamości, z której poczuciem Ślązacy mieli od zawsze spore kłopoty. Wpływały one z pogmatwanej historii Górnego Śląska, usadowienia na pograniczu trzech kultur – polskiej, niemieckiej i morawskiej – a także specyficznego miejsca regionu w dziejach powojennej Polski, które Zbigniew Kadłubek charakteryzuje następująco:

„Polacy ośmieszili niepotrzebnie śląską wielokulturowość, narzucili śląskości jakąś niemotę, niemoc, nieświadomość jej samej. Z kategorii polityki, która była zbrodnicza, bo stanowiła konsekwencję zbrodni, uczynili kategorię kultury. Z propagandy stworzyli narrację przeszłości i mity”<sup>15</sup>.

Dylematy tożsamości Ślązaków pogłębił dynamiczny proces globalizacji, wywołujący lęk przed unicestwieniem „inności”, który rodzi u mieszkańców dorzecza górnej Odry poczucie braku bezpieczeństwa. Istnieje więc wśród nich pilna, choć często nieświadomiona, potrzeba zaakceptowania miejsca wyznaczonego przez współrzędne czasu i losu. W komentarzu księdza Szymika została ona dość jednoznacznie wyartykułowana:

„Często widzę też, że nie posiadamy w wystarczającym stopniu umiejętności cieszenia się naszą ziemią i jej wartościami. To jest jakby nieustanny kompleks, [podkr. – G. P.] szukanie soków żywotnych w różnych metaforycznych „Westfalach” i „Paryżach”, tęsknota za innym miejscem. Niezgoda na śląskie «tu i teraz»”<sup>16</sup>.

Brak akceptacji ma swoje źródło w myśleniu o Śląsku jako o prowincji, o miejscu wstydlivym, oddalonym od centrum, kryjącym się pod zbanalizowanym przez kulturę masową pojęciem „mała ojczyzna”, która według Czesława Robotyckiego „w nowym wokabularzu jest też tylko słowem bez głębi, zbitką pojęciową na użytek szlachetnych dyletantów, naiwnych entuzjastów kultury ludowej i społecznej”<sup>17</sup>.

Innym źródłem postawy negacji, czy też skrywanego wstydu Ślązaków wobec własnych korzeni, jest intuicyjna często świadomość tego, co Jerzy Bartmiński werbalizuje w sposób następu-



jący: „Z perspektywy mentalności centralistycznej, stołecznej, piętnowana [mała ojczyzna – G.P.] słowami *zaścianek, świat zabity deskami*, pogardliwym słowem *zadupie*”<sup>18</sup>.

Nie można jednak pominąć faktu, że „mała ojczyzna” jest jedynym miejscem, w którym człowiek może się czuć zakorzeniony i skąd jedynie może poznawać świat, jaki go otacza. To w niej znajduje przestrzeń, do której powraca wiele razy i w różnych okolicznościach, a którą Edward T. Hall nazywa „przestrzenią trwałą”, będącą „jednym z podstawowych sposobów organizowania działalności indywidualnej i grupowej. Obejmuje ono zarówno zmaterializowane jak i niewidoczne wzorce, które kierują zachowaniem człowieka”<sup>19</sup>.

Niebagatelną rolę w procesie przywracania godności miejscom i ludziom owych „małych ojczyzn” pełni literatura, która na podstawie walorów poznawczych lub postulatywnych, a także dzięki swemu ładunkowi emocjonalnemu, buduje, tak w przypadku podmiotu autorskiego, jak odbiorcy, wzorzec kształtowania świadomości. Obecna „kariera” tematu „małych ojczyzn” w literaturze łączy się z procesami transformacji społeczno-politycznej i upadkiem PRL-u, a z drugiej strony, z metamorfozą układu komunikacyjnego wskutek postępu cywilizacyjnego i narastających możliwości przekazywania informacji wzmacnianych globalizacją świata. Zjawiska te przyczyniły się do kulturalnego i ekonomicznego odrodzenia prowincji polskiej. Najogólniej mówiąc, pojęcie jej traciło przestrzenne uzasadnienia, nabierając mentalnych znaczeń. Rosnąca aktywność społeczna przejawiająca się m.in. w zmianach gospodarczych, budowie samorządności, kształtowaniu się postaw obywatelskich – uświadomiła potrzebę podtrzymywania i kształtowania świadomości lokalnej i regionalnej. „Przekaz wiedzy o „małych ojczyznach” miał uczyć życia w ojczyznach wielkich, a przede wszystkim w ojczyźnie ludzi”<sup>20</sup>.

„Małe ojczyzny” wywoływały skojarzenia z elementarnymi doświadczeniami skupionymi wokół pojęć: „dom”, „rodzina”, „dzieciństwo”, których pola leksykalno - semantyczne nasycone są wyraźną interpretacją aksjologiczną i które stały się w ostatnich latach ważnymi wyznacznikami rozważań o tożsamości.

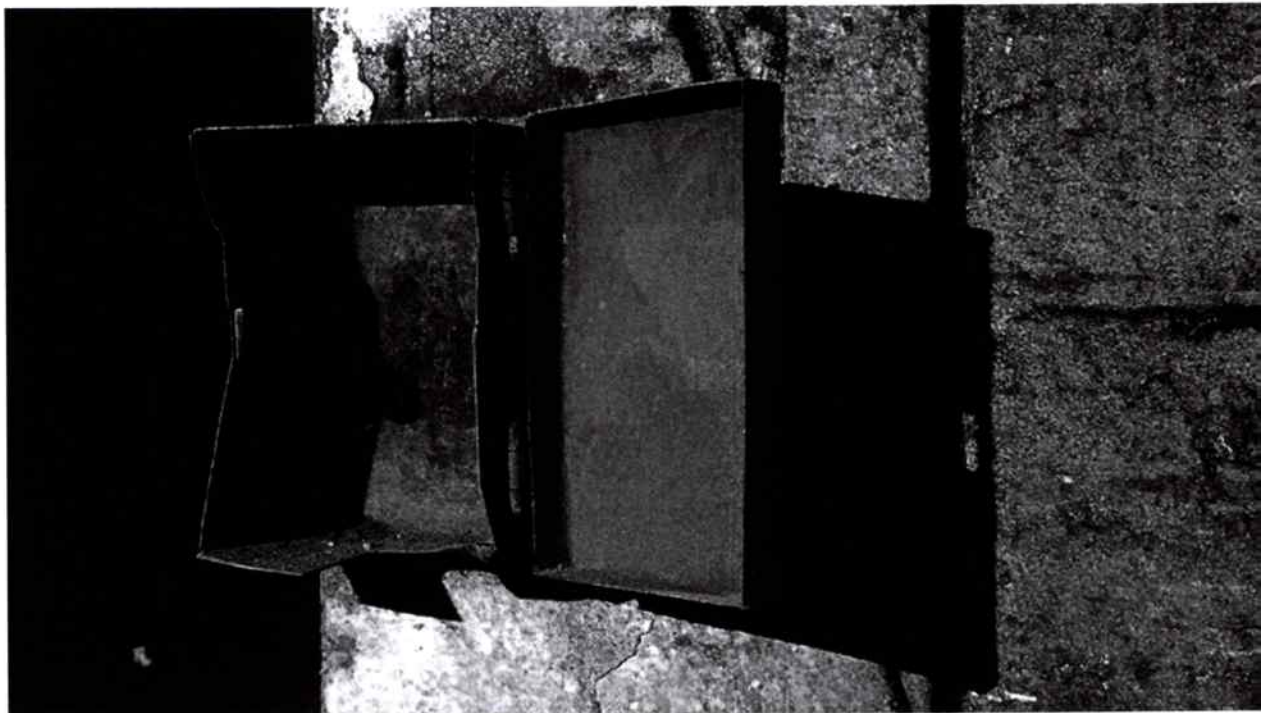
Znaczącym głosem w procesie samorozumienia, uściślenia tego, co posiada podstawowe znaczenie dla kwestii identyfikacji kulturowej, etnicznej oraz światopoglądowej Ślązaków, głosem, w którym owe słowa-symboli są bardzo wyraźnie słyszalne, jest właśnie twórczość księdza Jerzego Szymika. Autor wykorzystując różne narracje gatunkowe, szuka miejsc ocalających pamięć i historię, uświadamia sobie i czytelnikowi momenty ważne dla budowania własnej tożsamości. Według Wacława Hryniewicza „Tożsamość jest pojęciem relacyjnym. Jej punktem odniesienia jest inna rzeczywistość zewnętrzna już istniejąca. Bez tej relacji tożsamość danej osoby lub społeczności jest nie do pomyślenia. Bez relacji traci ona swoją rację bytu, podobnie jak sama osoba ludzka. Tożsamość osoby – to rzeczywistość żywa, mająca odniesienie zarówno do początku i własnej przeszłości, jak też do ustawicznego stawania się i rozwoju w czasie. Osoba zachowuje swoją ciągłość w czasie. Jej pierwotna tożsamość podlega prawom rozwoju. Tożsamość statyczna byłaby zaprzeczeniem osoby jako rzeczywistości żywej i realizującej samą siebie w relacji do innych osób”<sup>21</sup>.

Ów relacyjny charakter bardzo wyraźnie dostrzegalny jest w omawianym wierszu *Matylda*. Szymik tworzy poetycką historię Ślązaka, pozbawioną jednak nostalgicznego sentymentalizmu i podnosi ją do rangi uniwersalnej. Unika w ten sposób niebezpieczeństwa w postaci integryzmu, pokazuje, że „«mała ojczyzna» to nie tylko przeszłość, jak się zwykło uważać i praktykować, [gdyż] «mała ojczyzna» stanowi terażniejszość ukierunkowaną ku przyszłości”<sup>22</sup>. Tożsamość podmiotu lirycznego zrodzona jest nie z kryzysu i poczucia zagrożenia, lecz stanowi rzeczywistość otwartą ku przyszłości, traktującą samoidentyfikację jako zadanie, którego spełnienie realizowane będzie na podstawie wartości płynących ze starej fotografii, odzywających się „stamtąd, gdzie nie ma jeszcze podziału Na Tak i Nie, ani podziału na jest, będzie i było”<sup>23</sup>, bo głos Matyldy wołał: „nie żyj daremnie”. Pokornie słuchając go, Matylda utrwalała rodzinną tradycję, uwiarygodniając ją. Dlatego teraz sama przemawia identycznie ze starej fotografii – „nie żyj daremnie”.

Podsumowując nasze zamyślenie nad tekstem, przywołajmy jako kontekst interpretacyjny fragment wywiadu, jakiego udzielił ksiądz Jerzy Szymik Maciejowi Szczawińskiemu:

Nie ma przecież innej drogi w sztuce. Od Homera, Wergiliusza, Dantego i innych wielkich twórców europejskiej kultury, doświadczamy tego i dobrze o tym wiemy, że coś naprawdę ważne o człowieku, ba, o ludzkości – da się powiedzieć, wychodząc od konkretnego. Od szczegółu. Tylko przetworzona prowincja daje głęboki i ważny obraz treści uniwersalnych<sup>24</sup>.

**GABRIELA PARDUBICKA URODZIŁA SIĘ W ROKU 1960 W PSZOWIE,  
UKOŃCZYŁA FILOLOGIĘ POLSKĄ W OPOLU. MIESZKA I PRACUJE W RYDUŁTOWACH.**



#### PRZYPISY

1. Matylda, [w:] J. Szymik, Błękit, Katowice 2003, s.39.
2. J. Szymik, Cień rzeczy duchowych, Wrocław 2005, s. 163.
3. J. Szymik, Akropol z hołdy, Katowice 2002 s. 74.
4. Por. J. Szymik, Teologia w krainie pepsi-coli, Warszawa 1999.
5. A. Szostek, Błękit księdza Szymika [w:] J. Szymik, Błękit, Katowice 2003, s.5.
6. Por. J. Szymik, Między ziemią a niebem, Katowice 2001.
7. Por. N. Bonczyk, Stary kościół miechowski, oprac. i wstęp W. Szewczyk, Katowice 1987, s 127-128.
8. Za E. Szramek, Śląsk jako problem socjologiczny. Próba analizy, wyd. reprintowe, Opole [1991], s. 52. Na kontekst ów w śląskim myśleniu uwagę zwracała K. Kossakowska-Jarosz, „Złe miasto” – tendencyjny wizerunek przestrzeni w polskojęzycznym piśmiennictwie XIX-wiecznych Ślązaków (w druku).
9. Por. A. Banach, O kiczu, Kraków 1968, s.14.
10. Cyt. za: K. Kossakowska-Jarosz, Anielska kobieta – wariant śląski, [w:] Anioł w literaturze i kulturze, pod red. J. Ługowskiej i J. SkaWińskiego, Wrocław 2004, s. 341-342.
11. Tamże, s. 349.
12. Por. tamże, s. 345.
13. E. Szramek, dz. cyt., s. 52.
14. A. Kunce, Myśleć Śląsk, [w:] „My som tukej” Kilka szkiców o przestrzeniach Śląska, pod red. W. Kalagi, Katowice 2004, s.33.
15. Z. Kadłubek, „Vulnus”. Przepaść i tożsamość [w:] „My som tukej”..., s. 39.
16. Ks. J. Szymik, Akropol z hołdy..., s. 18.
17. Cyt. za: K. Kossakowska-Jarosz, Edukacja regionalna w kształceniu polonistycznym, „Polonistyka” 2005, nr 4, s. 12.
18. J. Bartmiński, Językowe podstawy obrazu świata, Lublin 2006, s.182.
19. E. T. Hall, Ukryty wymiar, Warszawa 2001, s. 134.
20. K. Kossakowska-Jarosz, Edukacja..., s. 11.
21. W. Hryniewicz, Tożsamość chrześcijańska dzisiaj, „Znak” 1994, nr 5, s. 6.
22. K. Kossakowska-Jarosz, Edukacja regionalna..., s. 14.
23. Późna dojrzałość, [w:] Cz. Miłosz, Druga przestrzeń, Kraków 2002, s. 8.
24. J. Szymik, Akropol z hołdy..., s 71.



# PRZY UL. CECYLII: Z WIZYTĄ W INSTYTUCIE SZTUKI PWSZ W RACIBORZU

**K**ierunek Edukacja artystyczna w zakresie sztuk plastycznych powstał wraz z utworzeniem PWSZ w Raciborzu we wrześniu 2002 roku. Początkowo wchodził w skład Instytutu Studiów Edukacyjnych. Od 1 września 2005 roku należał do Instytutu Kultury Fizycznej i Sztuki, by od 1 października 2006 roku uzyskać samodzielność dzięki zwiększeniu oferty dydaktycznej. Decyzją Senatu PWSZ w Raciborzu od 1 października 2006 roku powstał w PWSZ Instytut Sztuki. Aktualnie na kierunku Edukacja artystyczna w zakresie sztuk plastycznych kształci się w trybie stacjonarnym i niestacjonarnym ponad 200 studentów w trzech specjalnościach:

- kreacja plastyczna z grafiką użytkową,
- techniki malarskie i projektowanie witrażu,
- obraz cyfrowy i fotograficzny.

Koncepcja kształcenia pedagoga sztuki w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Raciborzu zakłada wyposażenie absolwenta w kompetencje i kwalifikacje dające mu możliwość realizacji celów dydaktycznych i wychowawczych w przyszłej pracy pedagogicznej, celów związanych z możliwością wyrażania własnego obrazu świata za pomocą języka sztuki oraz kształtowania wrażliwości na świat i ludzi wykorzystując wartości etyczne i estetyczne zawarte w dziełach sztuk plastycznych; celów wynikających z potrzeby rozumienia znaczenia kultury w dobie multimedialnej komunikacji medialnej (słownej, pisemnej, obrazowej, dźwiękowej, filmowej).

Absolwenci posiadają kwalifikacje pedagogiczne i artystyczne pozwalające im podjąć pracę w charakterze:

- nauczyciela w zakresie plastyki lub sztuki w szkołach podstawowych i gimnazjach,
- animatora działań twórczych w placówkach pozaszkolnych (muzeach, domach kultury, ogniskach plastycznych, kołach zainteresowań, galeriach itp.
- promotora twórczości plastycznej na rynku sztuki oraz w innych zawodach związanych z działalnością artystyczną.

Absolwenci posiadają kwalifikacje nauczyciela i artystyczne pozwalające im podjąć pracę w zakresie sztuk plastycznych, być świadomym i aktywnym uczestnikiem współczesnej kultury i sztuki, ze szczególnym uwzględnieniem sztuk plastycznych. Wiedza i doświadczenie artystyczne umożliwiają im efektywne funkcjonowanie w różnorodnych sytuacjach edukacyjnych, w szkole i placówkach pozaszkolnych.

Oprócz kwalifikacji pedagogicznych absolwent poszczególnych specjalności: (kreacja plastyczna z grafiką użytkową, obraz cyfrowy i fotograficzny, techniki malarskie i projektowanie witraży) zyskuje umiejętności dające mu możliwość zatrudnienia zgodnie z profilem wykształcenia.

Nawiązując do tych celów i zadań, edukacja studenta zakładająca bezpośrednią integralność artystycznych i warsztatowych doświadczeń z intelektualną refleksją, zmierza do ukształtowania

absolwenta o wysokich kwalifikacjach i kompetencjach artystycznych oraz głębokiej wiedzy humanistycznej.

Ogólnoteoretyczna, interdyscyplinarna wiedza o sztuce poparta artystycznym doświadczeniem i warsztatową sprawnością stwarza absolwentom bogate instrumentarium sprawczych działań, umożliwiające uobecnienie sztuki innym, poprzez szeroko rozumianą interpretację kultury artystycznej oraz swoistą kulturową aktywność.

Umiejętność posługiwania się wieloma urządzeniami i technikami takimi jak systemy komunikacyjne i badania operacyjne dadzą słuchaczowi wiedzę zawodową, ale umożliwiają również kształtowanie systemu wartości, co w edukacji w myśl aktualnej reformy ma szczególne znaczenie.

## OPIS SPECJALNOŚCI

### KREACJA PLASTYCZNA Z GRAFIKĄ UŻYTKOWĄ

Specjalność uzupełniająca główny kierunek kształcenia o:

- umiejętności aranżowania za pomocą artystycznej kreacji interaktywnych sytuacji (akcji) animujących i wspierających różne aspekty rozwoju człowieka oraz różne jego relacje ze środowiskiem. W efekcie kształcenia student nabędzie umiejętności między innymi konstruowania i realizacji zajęć plastycznych o charakterze happeningu, performansu, dramy (gier dydaktycznych), akcji plastycznych itp.,
- umiejętności projektowania i realizacji z zakresu szeroko pojętej grafiki użytkowej obejmującej m.in. ilustrację książkową, znak graficzny, logo, systemy identyfikacji wizualnej, plakat, folder, ulotkę, druki akcydensowe, itd.

### OBRAZ CYFROWY I FOTOGRAFICZNY

Specjalność uzupełniająca główny kierunek kształcenia o:

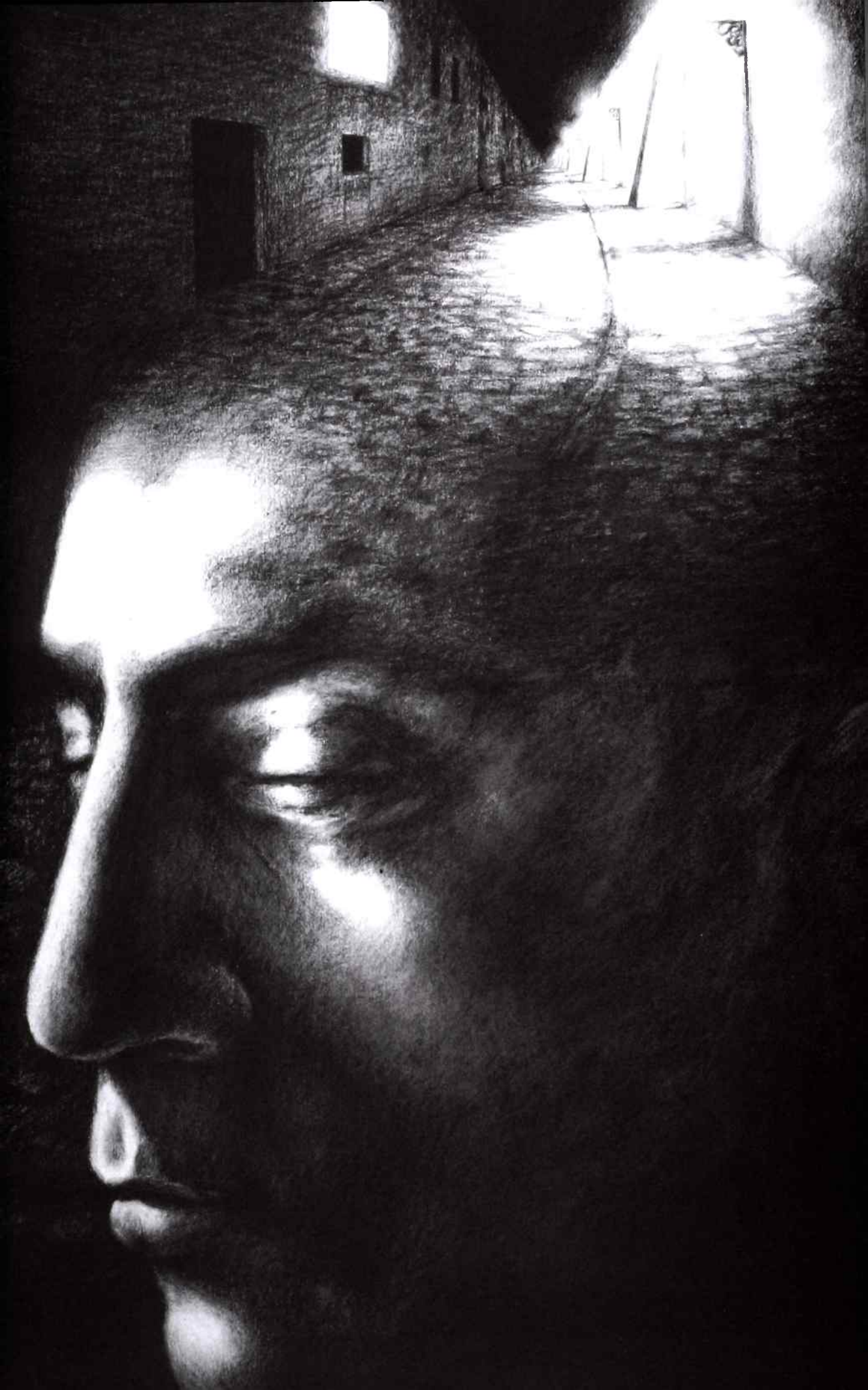
- umiejętności kształtowania obrazu cyfrowego jako autonomicznej wypowiedzi artystycznej (grafika komputerowa) oraz elementu szeroko rozumianego komunikatu wizualnego o charakterze użytkowym obejmującym m.in. obraz statyczny i animację komputerową,
- umiejętności artystycznej wypowiedzi z zastosowaniem klasycznego warsztatu fotograficznego, fotografii cyfrowej i cyfrowej obróbki obrazu.

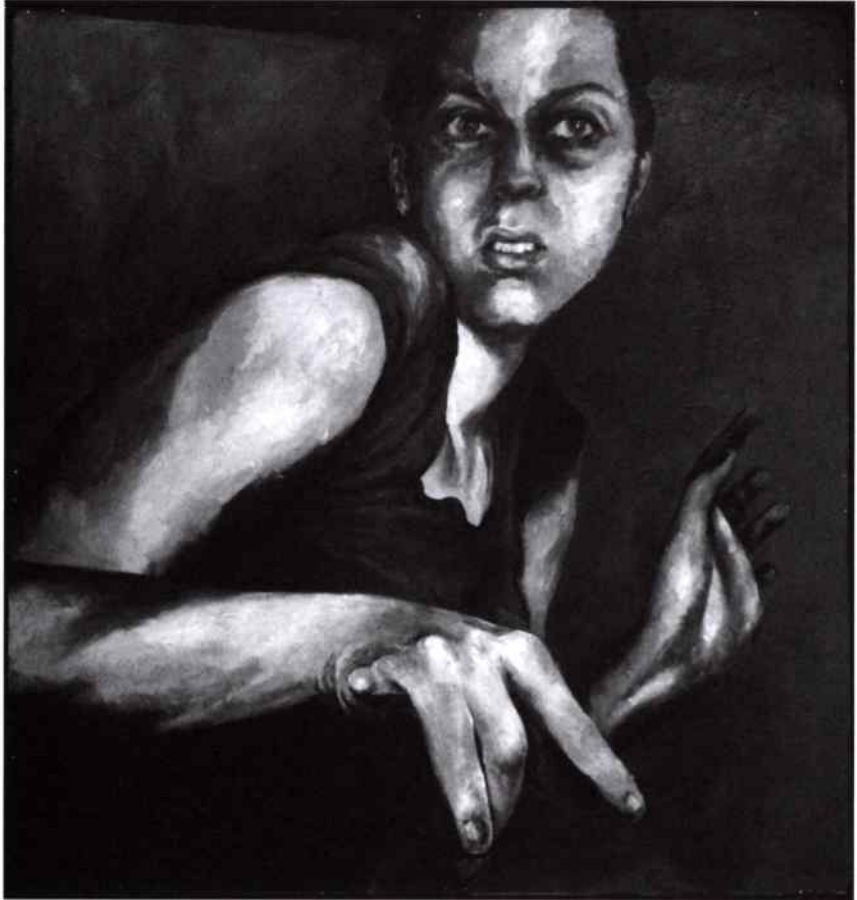
### TECHNIKI MALARSKIE I PROJEKTOWANIE WITRAŻU

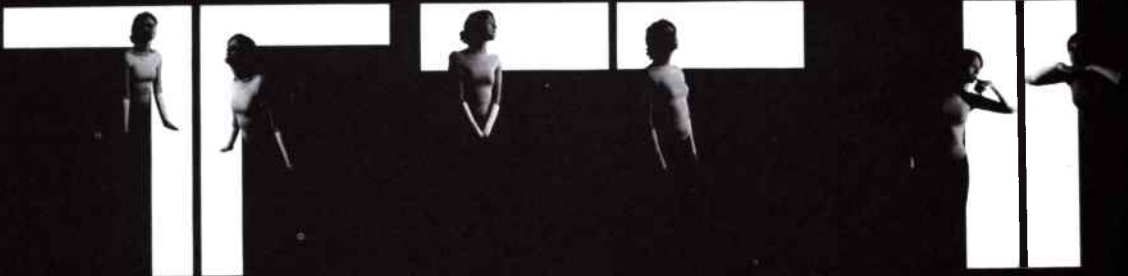
Specjalność uzupełniająca główny kierunek kształcenia:

- umiejętności posługiwania się klasycznymi technologiami i technikami malarskimi obejmującymi m.in. malarstwo olejne, akwarelę, temperę, gwasz, mozaikę oraz malarstwo architektoniczne,
- umiejętność projektowania i realizacji witraży z zastosowaniem klasycznych technik i technologii obejmujących m. In. Przygotowanie projektu realizacyjnego, łączenia szkła ołowiem i miedzią, patynowanie i malowanie szkła.

Proces kształcenia na kierunku Edukacja artystyczna w zakresie sztuk plastycznych trwa trzy lata (sześć semestrów). Obejmuje ono w zamierzeniach kształcenie ogólnohumanistyczne, pedagogiczne i kształcenie artystyczne - warsztatowe.









# NOWA FALA

---

PO LATACH

# DLACZEGO ONI?

*Mów spokojniej: jesteś starszy niż ten,  
którym byłeś tak długo; jesteś starszy  
od samego siebie - i wciąż jeszcze nie wiesz,  
czym są nieobecność, poezja i złoto.*

(...)

*...musisz czekać,  
pisać listy, czytać książki o pięciuset stronicach.  
Mów spokojniej. Nie rezygnuj z poezji.*

ADAM ZAGAJEWSKI  
„MÓW SPOKOJNIEJ”  
Z TOMU PRAGNIENIE, 1999

Skąd Nowa Fala? - zapytał przekornie ktoś ze znajomych, niekoniecznie związany z kręgiem czytelników Grocholi, czy Masłowskiej. Zbyłem go tanim żartem, aby po chwili zadać sobie identyczne pytanie: dlaczego właśnie oni?

I zdałem sobie sprawę z tego, iż wybór tego tematu jest najzwyczajniej rzeczą gustu, czy raczej - dykcji. Bo możnaby równie dobrze w innym miejscu pytać, dlaczego żonkile, a nie róże, dlaczego berneński pies pasterski raczej niż foksterier, skąd skłonność do Vermeera, a nie do Rubensa. I zawsze w odpowiedzi pojawi się przed jakimkolwiek wytłumaczeniem zawiadające „bo tak!”, bo żeby szanować wszystko, trzeba wybrane kochać! Ale też u podstaw owych estetycznych skłonności leżą, często blado uświadamiane, fundamentalne wybory.

**PO PIERWSZE:** dwóch z trzech członków redakcji należy do generacji następnej, o dekadę młodziej i było tak, że Nowa Fala w naszych studenckich czasach wdarła się w naszą świadomość z siłą wiosennej burzy, żeby pozostać przy tradycyjnie literackich chwytach stylistycznych.

**PO DRUGIE:** siła tego oddziaływania brała się z faktu, iż młodzi poeci, działający wówczas przede wszystkim w Krakowie i w Poznaniu, w czasach wczesnogierkowskiej prosperity zbiorowo dali polskiemu czytelnikowi lekcję nonkonformizmu, sprzeciwu, użycia słów - zachwaszczono komunalami języka, którym wszyscy mówiliśmy - jako narzędzi do zdobywania prawdy, odkrywania smutnego stanu naszej rzeczywistości.

**PO TRZECIE:** przykład twórczości Ryszarda Krynickiego, Krzysztofa Karaska, Adama Zagajewskiego, Juliana Kornhausera, Stanisława Barańczaka, Stanisława Stabro, Ewy Lipskiej i innych stał się dość zaraźliwy...

**PO CZWARTE:** wszyscy z wymienionych powyżej autorów pozostali twórczy do dziś i - jakkolwiek ich poglądy estetyczne ewoluowały - pozostali oni dla nas przykładem ciągłości kulturowej i - co tu gadać - etycznej.

**PO PIĄTE WRESZCIE:** nasze literackie odkrycia nałożyły się na fascynacje teatralne (Teatr Ósmego Dnia!) oraz powstanie ruchu opozycyjnego, połączone z powstaniem niezależnych wydawnictw; czytając i kolportując *Aneks, Zapis, Kulturę, Głos* czy Kul-owskie *Spotkania* mieliśmy pewność udziału w nierównej walce, w której orężem było także - dzisiaj dziw bierze - słowo poety.

W naszym skromnym bloku poświęconym poetom Nowej Fali prezentujemy nowe wiersze kilku autorów, esej prof. Juliana Kornhausera i polemiczny (?) tekst naszego Naczelnego. Nie jest to wszystko, co w Raciborzu myśli się o tej generacji poetyckiej; temat ten będziemy rozwijać w następnych numerach, w myśl wezwania: *Nie rezygnuj z poezji.*

**ŻNIWA**

Czytam wiersze nowego poety.  
Noc, letni skwar, burza.  
Czytam, odczuwając nieokreślony lęk  
przed jego słowami, bezmiarem traw,  
cichością morza.  
Słyszę w nich wołanie o pomoc, ale  
wiem, że już mu nie sprostam.  
Moje blahe słowa przeciwko jego słowom.  
Moja niepewność i jego żniwa.

**NA ULICY MOJEGO DZIECIŃSTWA**

DLA WOLFGANGA BITTNERA

Czy mojego ?  
A może dzieciństwa nie są naszą własnością,  
tylko czasu, który nas spłodził i nazwał?  
Jeszcze słyszę gwar olch i agrestu,  
słodkiego kurzu rozgryzanego w ustach,  
ale czy jestem jego posiadaczem  
bezwzględny i jedyny?  
Nasze dzieciństwa,  
przedzielone zaledwie pięcioma latami,  
zderzają się na gliwickiej ulicy  
jak dwa szybkie samochody.  
Kindheit i dzieciństwo, Gleiwitz und Gliwice  
giną w mroku dziejów,  
pozostawiając po sobie  
gorzki smak historii,  
zupełnie jak ów pęk kluczy niemieckich uciekinierów,  
wiszący teraz wraz z tysiącem innych  
w śląskim muzeum w Görlitz.

# PISARZ JAKO KRYTYK LITERACKI. AUTOLUSTRACJA



## 1

Thomas Stearns Eliot, który miał wiele do powiedzenia w sprawach krytyki, nazwał ją, najprościej jak można, komentowaniem i wyjaśnianiem dzieł sztuki przy pomocy słowa pisanego. Nie omieszkał przy tym dodać i to w sposób stanowczy, że krytyka odgrywa pierwszorzędną rolę w samym procesie twórczym, co prowadzi nas do stwierdzenia, iż „najwyższym rodzajem krytyki jest krytyka w rękach wytrawnego, wyszkolonego pisarza w zastosowaniu do własnej twórczości” oraz „krytyka pisana przez praktykujących artystów przedstawia szczególną wartość”. Eliot nazwał to „rozwiniętym poczuciem faktu”, mając na myśli zajmowanie się pisarza faktami swego warsztatu i umiejętność przekazywania tej wiedzy innym za pomocą „porównania i analizy” czyli utrzymywania się na poziomie faktów, a nie „zewnętrznej interpretacji”.<sup>1</sup>

Eliotowska formuła jest bardzo poręczna i podkreśla znaczenie dwóch jednocześnie ról krytycznych: pisarza jako krytyka i krytyki jako zbioru faktów. Pisarskie obowiązki nie sprowadzają się jedynie do konstruowania własnych tekstów, lecz wykraczają poza nie, mobilizując poniekąd autora do poszukiwania bądź to podobnych rozwiązań, bądź to skrajnie odmiennych, aby w ten sposób lepiej zrozumieć własny warsztat, a równocześnie przekazać swoje refleksje czytelnikom. Dlatego też pisarzowi potrzebny jest poziom faktu innego, konkurencyjnego dzieła, aby mógł odnieść go, jawnie albo skrycie, do własnej twórczości.

Pisarz zajmujący się krytyką, a więc komentowaniem i wyjaśnianiem innych dzieł, wprawdzie zawsze pamięta przy tej okazji o własnej twórczości, ale rzadko decyduje się wprost ją inkorporować do tekstu krytycznego. Bronią go przed tym dwie reguły: obiektywnego sądu i analitycznej lektury. O ile krytyk, nie będący jednocześnie pisarzem, może sobie pozwolić na szereg „wykroczeń”, jak emocjonalne podejście do dzieła, burzenie hierarchii, lekceważenie ustalonych pozycji, o tyle krytyk-artysta uważa, by nikt nie zarzucił mu subiektywizmu i narcystycznej świadomości. Nic też dziwnego, że kładzie nacisk na takie elementy zjawisk literackich, które, nie wiążąc się z jego własnym doświadczeniem, służą mu jednocześnie jako pozytywne bądź negatywne wzorce zachowań. Pisarz zatem, jak mówi Eliot, wie więcej od krytyka niepiszącego, ale to wcale nie znaczy, dodajmy, że lepiej rozumie inny tekst literacki. Często się nawet zdarza, że odczytuje zeń sensy naddane, które mogą zubożyć projekt pisarski. Strategia lektury zależna jest w związku z tym od samej twórczości krytyka-pisarza, który podchodzi do literatury w zależności od własnych przekonań na danym etapie rozwoju artystycznych predyspozycji. Gdzie tu więc obiektywny sąd i analityczna reguła? Gdzie poziom faktów? Eliot prawdopodobnie nie wziął pod uwagę płaszczyzny sporu, jaki powstaje w wyniku konfrontacji pisarskiego komentarza, związanego z generacyjną przynależnością a zastaną, obowiązującą normą czytania klasyki i bieżącej literatury, albo zbyt jednoznacznie utożsamiał krytykę literacką z eseistyką bądź pracą historyka literatury.

## 2

Kiedy powstawał *Świat nie przedstawiony*, a był to początek lat siedemdziesiątych, miałem za sobą dwa tomy wierszy i napisaną pierwszą powieść. Projekt wspólnej z Adamem Zagajewskim książki, która dla nas obu była debiutem eseistycznym, zrodził się z dwóch co najmniej powodów. Pierwszy wiązał się z naszym aktywnym uczestnictwem w pokoleniowym ruchu odnowy życia kulturalnego (poetycka grupa *Teraz*, redagowanie *Studenta* i *Nowego Wyrazu*, wspólne inicjatywy literackie, a zwłaszcza dość liczne publikacje prasowe, łącznie z polemikami i atakami na pisarzy różnych pokoleń). Drugi natomiast wziął się niejako z pierwszego i przerodził się w pomysł stworzenia manifestu literackiego i tak w istocie powszechnie naszą książkę odebrano. Mimo że w większości składała się z tekstów wcześniej opublikowanych, dzięki nowej całości, konfrontującej dwa sposoby myślenia młodych autorów, uzyskała walor ponadindywidualnego komentarza nie tylko zresztą do samej literatury polskiej, ale bieżącej sytuacji, związanej z przełomem politycznym po 1970 roku.

Jest rzeczą oczywistą, że mój stosunek do literatury w tamtym okresie, a także sposób pisanie o niej, wiązał się z własnym poczuciem hierarchii wartości, zrodzonych z ówczesnych prób literackich, których byłem autorem. Występując jako pisarz-krytyk nie ukrywałem swoich preferencji, a odrzucenie pewnych postaw artystycznych, wynikających z przystosowania się do sytuacji politycznej, uznałem za przejaw kiczu ideologicznego. Moja strategia zatem brała się z typowej koniunktury generacyjnej, która na czoło wysuwała konflikt między starymi a młodymi, ustaleczonym modelem literackim a chęcią rewindykacji, ustalonym kanonem a domagającym się uznania pokoleniem. Dlatego po jednej stronie zostali ustawieni Grochowiak, Harasymowicz czy Nowak, a po drugiej Lipska, Barańczak, Krynicki czy Karasek. Między nimi, ich wizjami poetyckimi, rozgorzała w książce walka o światopogląd dramatyczny i właściwy wybór moralny, której świadkami zostali w *Świecie nie przedstawionym* Różewicz, Herbert i nieco zaskakująco, Peiper.

Przyjęta metoda lektury konfrontatywnej ułatwiła mi zarówno wyostrenie różnic między dwiema postawami wobec rzeczywistości, jak i pozwoliła dokonać rewizji ustalonego w krytyce literackiej porządku. To z kolei musiało wywołać i wywołało natychmiastową reakcję oponentów, tj. zwolenników status quo, dla których naruszenie z takim pietyzmem wywalczonej hierarchii wartości stało się aktem niemal politycznym. Dwoistość interpretacyjna, jaką można zauważyć w

książce, polegająca na tym, że w pierwszej części przedstawiłem twórczość wybranych autorów w monograficznym, pełnym ujęciu, a w drugiej wybrane książki młodych autorów, zaważyła niewątpliwie na jej odbiorze i zrodziła podejrzenie o subiektywną i niesprawiedliwą ocenę. Subiektywizm był tu niezaprzeczalny, niemniej jednak nie on decydował o charakterze tomu. Pewne akcenty mogły nawet świadczyć o chęci zobiektywizowania obrazu, np. dwa teksty o Herbercie, jeden mój dość powściągliwy w tonie, choć nie krytyczny, drugi Zagajewskiego, pełen rewerencji, czy esej Adama o twórczości Lema *Alegoria sparaliżowana*, zarzucający autorowi *Kongresu futurologicznego* łatwą ucieczkę w świat aluzji, ale oddający mu hołd jako twórcy nowej konwencji.<sup>2</sup>

### 3

W książce *Światło wewnętrzne*, która ukazała się w 1984 roku, przeszedłem do porządku dziennego nad kwestią generacyjności, nie tylko zresztą ze względu na wyraźną już zmianę sytuacji i w samej literaturze, i w życiu kulturalnym. Tom ten, złożony do druku kilka lat wcześniej, proponował inną zupełnie metodę lektury i odmienne podejście do zjawisk literackich. Wprawdzie w dalszym ciągu interpretowałem teksty poetyckie i to najczęściej w oderwaniu od kontekstu historycznego, to jednak podkreślałem znaczenie osobowości twórczej, bez względu na wyznawane poglądy i rodzaj poetyki. Przeważała koncepcja artystowska, mająca swoje źródło, jak sądzę, w moim coraz większym doświadczeniu pisarskim, wszak byłem wówczas autorem sześciu tomów poetyckich i dwóch powieści, nie licząc tzw. prac naukowych. To dzięki niemu zmieniłem stosunek do literatury, którą zacząłem odbierać jako przestrzeń różnorodnych możliwości wyrazu. Nic też dziwnego, że tym razem w sposób jak najbardziej obiektywny wsłuchiwałem się w głosy innych poetów, różnych pokoleń, żeby zaznaczyć swoją akceptację tej różnorodności. Mój komentarz był albo prawie nieobecny, albo słabo zauważalny. Jedyną próbą wpisania się w ten świat wielogłosu było zamieszczenie na prawach wstępu i posłowie dwóch własnych wierszy. W moim zamysłu miały pełnić podwójną funkcję: zmanifestować wagę własnej postawy artystycznej wbrew dominującej metodzie analitycznej prezentacji oraz odseparować się, przynajmniej w jakimś stopniu, od wielu przedstawionych w książce poetyk. Tego rodzaju pomysł w tomie krytycznoliterackim nie należał do standardowych zachowań. Chodziło o zwrócenie uwagi na mój poetycki rodowód czyli takie podejście do utworów literackich, które wynikało ze specyficznie rozumianej interpretacji. Z drugiej strony wcale nie uciekałem od obiektywizacji opisu, przeciwnie - starałem się wiernie, choć własnym językiem, „odsłuchać” tamte głosy. Jeśli nawet nie pamiętałem o eliotowskiej definicji pisarza-krytyka, starałem się pośrednio tę postawę zasygnalizować. Z drugiej strony, uciekając od pokoleniowego subiektywizmu w *Świecie nie przedstawionym*, wybijałem na czoło perspektywę „wzajemności”.

### 4

*Międzyepoka*, wydana w 1995 roku, poświęcona poezji i krytyce, głównie poprzedniej dekadzie, była z kolei odejściem od metody *close reading* w stronę socjologii kultury, choć z naciskiem na dominujące zjawiska literackie. Spoiwem książki stała się konfrontacja poezji z krytyką, przy czym pisząc o poezji nie tylko zająłem się interpretacją wybranych książek (np. Szymborskiej czy Wirpszy), ale również ogólniejszymi problemami, jak recepcją Wata, podskórną polemiką Rózewicza z Herbertem, czy ewolucją Nowej Fali i startem pokoleniowym „nowych dzikich”. Przedstawiając natomiast różne postawy krytyków w latach osiemdziesiątych, wydających swe książki oficjalnie i w drugim obiegu, dotknąłem problemu odbudowywania tożsamości i odkłamywania historii. Dzięki jednoczesnemu „czytaniu” wierszy i esejów autorów różnych pokoleń i biografii, których wspólnym doświadczeniem stała się rewolucja „solidarnościowa”, otrzymałem w miarę szeroką gamę wzajemnie ścierających się poglądów, opartych przede wszystkim na poważnym podejściu do literatury jako pewnego zadania społecznego. Określając literaturę okresu prze-



## Julian Kornhauser

Urodził się w 1946 w Gliwicach - poeta, prozaik, krytyk literacki, znawca i tłumacz literatury serbo-chorwackiej, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jeden z najwybitniejszych i stale obecnych w życiu literackim przedstawicieli poetyckiej Nowej Fali. W latach 1968-1975 był członkiem sławnej krakowskiej grupy poetyckiej Teraz. W latach 1981-1983 współredagował miesięcznik „Pismo”. Współpracuje z wieloma periodykami literackimi i kulturalnymi.

Otrzymał wiele nagród, m.in.: Nagroda Fundacji im. Kościelskich - 1975, Nagroda Poetycka im. A. Bursy w 1981, Europejska Nagroda Literacka (Jugosławia) 1989, Nagroda Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich 1997, Nagroda Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa 1998

Tomy poezji:

NASTANIE ŚWIĘTO I DLA LENIUCHÓW, Warszawa: Iskry, 1972. W FABRYKACH UDAJEMY SMUTNYCH REWOLUCJONISTÓW, Kraków: WL, 1973. ZABÓJSTWO, Kraków: wyd. własne poza cenzurą, 1973. STAN WYJĄTKOWY, Warszawa: PIW, 1978. ZJADACZE KARTOFLI, Kraków, WL, 1978. ZASADNICZE TRUDNOŚCI, Warszawa: Czytelnik, 1979. KAŻDEGO NASTĘPNEGO DNIA, Kraków: ABC, 1981. TYLE RZECZY NIEZWYKŁYCH. WIERSZE DLA AGATKI, Kraków: WL, 1981. HURRRAAA!, Kraków: WL, 1982. INNY PORZĄDEK: 1981-1984, Kraków: Oficyna Literacka, 1985. ZA NAS, Z NAMI, Warszawa: Czytelnik, 1985. WIERSZE Z LAT OSIEMDZIESIĄTYCH, Kraków: WL, 1991. KAMYK I CIEN, Poznań: a5, 1996. BYŁO MINĘŁO, Warszawa: Nowy świat, 2001.

powieści:

KILKA CHWIL, Kraków: WL, 1975. STRĘCZYCIEL IDEI, Kraków, WL, 1980. DOM, SEN I GRY DZIECIĘCE. OPOWIEŚĆ SENTYMENTALNA, Kraków: Znak, 1995.

eseje:

MIĘDZYPOKA. SZKICE O POEZJI I KRYTYCE, Kraków: Baran i Suszczyński, 1995. POSTSCRIPTUM: NOTATNIK KRYTYCZNY, Kraków: WL, 1999. UŚMIECH SFINKSA: O POEZJI ZBIGNIEWA HERBERTA, Kraków: WL, 2001.

ściowego, tj. przełom lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, mianem międzyepoki, starałem się pokazać źródła najnowszej ewolucji. Mimo wszystko jednak byłem wierny działaniom ściśle literackim tego okresu, widząc w nich najtrwalszy symptom przemian świadomościowych, choć z takim samym zapalem opisywałem nowe pomysły poetyckie, jak i krytycznoliterackie boje o autentyzm.

W odróżnieniu od dwu poprzednich książek ukazałem literaturę współczesną jako konglomerat polemicznie do siebie nastawionych propozycji artystycznych, silnie jednocześnie zakorzenionych w polityce. Omawiana międzyepoka sprzyjała ścieraniu się tych postaw, ujawniając różne ekstrema, powołując do życia często zaskakujące, nieoczekiwane reakcje na przełom prawdziwy albo tylko potencjalny. W każdym razie oba plany: poetycki i krytycznoliteracki, wzajemnie się uzupełniając, przedstawiły w miarę przejrzysty obraz zarysowującej się zmiany. Jednocześnie, wbrew nawet zamiarom, stanowiły autobiograficzny aspekt moich pisarskich poczynań. Własne krytyczne „ja”, choć zagłuszone, wychodziło na powierzchnię w momentach polemicznych, kiedy dawały znać o sobie moje preferencje albo krytyczne sądy.

### 5

W pełni jednak doszło do głosu w *Postscriptum. Notatniku krytycznym* z 1999 roku, ułożonym na kształt dziennika lektur, choć w istocie złożonym z różnych refleksji i interpretacji zarówno mojej własnej postawy artystycznej, czego przykładem są dwa wywiady z początku i końca nowej epoki, jak i nowej literatury w odniesieniu do lat siedemdziesiątych. Po raz pierwszy, tak ostentacyjnie, zastosowałem narrację pierwszoosobową, odwołałem się do własnych doświadczeń, przywołałem szereg swoich utworów, a nawet przygód literackich (problem cenzury, lektury dzieciństwa, czas debiutu, polemiki z enuncjacjami prasowymi, udział w sesji, odpowiedź na ankietę, recepcja własnej powieści), a nawet tam, gdzie interpretowałem konkretne książki (np. Filipowicza, Bierezina, Stabry czy Chwina i Tryzny) lub znaczące zjawiska ostatnich lat (nowa prywatność, literatura emigracyjna, proza lat 80. i 90., feminizm, zainteresowanie socrealizmem, pokolenie „brulionu” itp.) nie uciekałem od autobiograficznej konwencji. Przeciwnie, świadomie wysuwałem ją na czoło, traktując tym razem krytykę jako narzędzie samoanalizy, a świat faktów literackich jako naturalne środowisko twórczego zapału i najwłaściwszy punkt odniesienia.

Książka ta, mająca być swoistym post scriptum do *Międzyepoki*, odsłoniła, jak myślę, nowe pole możliwości krytycznoliterackich. Z połączenia pisarskich doświadczeń i historycznoliterackiej obserwacji powstał zapis zmagania z literaturą współczesną, okraszony subiektywnymi opiniami, a nawet polemiczną żarliwością. W ten sposób włączyłem się jako krytyk do życia literackiego, nie unikając aluzji do własnej twórczości, poddając ją analizie czy wspomnieniowej obróbce. Być może odczuwałem niedosyt w porewolucyjnej dekadzie mniejszym zainteresowaniem literaturą mojej młodości i odrzuceniem na margines, stąd duża doza poetyckiej mimikry, która dawała mi szansę wpisania się, choć raczej na zasadzie historycznego przywołania, do powstającego systemu zasad. Forma notatnika krytycznego, pełna osobistych wycieczek, ale i całkiem solidnych syntez, sprzyjała niewątpliwie lepszemu porozumieniu z

czytelnikiem, oczekującym w czasach dużego chaosu i przesilenia jednoznacznych ocen i mocnego stanowiska. Nowa strategia krytyczna wynikała zatem z potrzeby ustalenia jakiegoś porządku, opierającego się na ciągłości, zrozumieniu tradycji i własnych twórczych projektów.

## 6

*Uśmiech Sfinksa* (2001), monograficzne ujęcie poezji Zbigniewa Herberta, książka raczej niespodziewana w mojej twórczości krytycznoliterackiej, zrodziła się przede wszystkim ze sprzeciwu wobec istniejącej recepcji autora *Struny światła*, silnie zideologizowanej i w gruncie rzeczy fałszującej jego dokonania. Po śmierci poety przyszedł czas na chłodną analizę utworów, obiektywny namysł nad poszczególnymi tomami wierszy, co uchroniło mnie przed zapisaniem się do znanej dyskusji, a jednocześnie pozwoliło wrócić do czasów *Świata nie przedstawionego*, kiedy mój stosunek do początkowej twórczości Herberta (był on wówczas autorem 5 zbiorów) wynikał z programowej nieufności wobec poetyki aluzji i kulturowego dziedzictwa. Późniejsze książki poetyckie zmieniły nie tylko samego Herberta, ale i pozwoliły inaczej odczytać całą jego dotychczasową twórczość. Mimo że w tę monografię wpisana była poniekąd moja autobiografia, poetycka i krytyczna, starałem się nie ulegać nostalgicznym nastrojom, wręcz przeciwnie, zaproponowane analizy i interpretacje miały w sposób obiektywny pokazać ewolucję poezji Herberta i jednocześnie wysunąć na czoło problematykę niepewności i „stania na granicy”, a co za tym idzie, zaprzeczyć dominującym odczytaniom tej twórczości.

Nowa lektura Herberta skłaniała nie tylko do weryfikacji poprzednich moich sądów, ale stała się podróżą w nieznaną. Wiele bowiem powtórnich lektur dobrze mi znanych wierszy odsłoniło nie w pełni uświadomione podwójne dno znaczeniowe, które w konfrontacji z książkami z lat dziewięćdziesiątych dostarczyło niespodziewanych emocji. Napisałem przed chwilą, że monografia o Herbercie mnie samego zaskoczyła. Tak, bowiem raczej przygotowywałem się do książki o poezji Różewicza, z którą byłem zżyty od samego początku mojej drogi twórczej, ale z jakiegoś, trudno wytłumaczalnego, powodu, poza napisaniem sześciu tekstów o różnych fazach tej twórczości, nie umiałem jej sfinalizować. Różewicz w dużym stopniu był już rozpoznany, gdy tymczasem poezja Herberta wydawała mi się zagadką, przyciągającą jakąś wewnętrzną tajemnicą. Nic dziwnego, że chciałem ją rozszyfrować. Przyjęta przeze mnie strategia lektury, polegająca na chronologicznym i systematycznym opisie kolejnych tomów wierszy, potraktowanych przeze mnie jako zamknięte całości myślowe, ułatwiła mi prześledzenie ewolucji światopoglądowej poety, a zarazem zbliżenie się do samej jego osoby.

Czy to miało jakiś wyższy, ponadlekturowy sens? Oczywiście, tak. Czytanie Herberta wbrew przyjętej konwencji dawało szansę zmanifestowania ciągle tej samej postawy krytycznoliterackiej, polegającej na polemicznym nastawieniu, szukaniu nowych, bocznych dróg interpretacyjnych, a również, jak myślę, wskazywaniu właściwych sposobów podchodzenia do tekstu literackiego, to znaczy nie ulegających filozoficznym czy ideowym nadinterpretacjom. Jako przeciwnik takiego czytania utworów literackich, dla których tekst jest tylko pretekstem, punktem wyjścia dla prokurowania sensów naddanych, dawałem znać o wadze poetyckiej precyzji i trzymania się faktów.

## 7

Tom esejuj *Poezja i codzienność* (2004), z pozoru płynny i przypadkowy, ujawnił moje preferencje lekturowe, dotyczące współczesnej poezji. Z jednej strony kanoniczni poeci, ciągle obecni na rynku wydawniczym, z drugiej autorzy znacznie młodszy, przedstawiciele różnych pokoleń, ale z jakichś względów pomijani w obowiązujących syntezach, zaś pośrodku zjawiska i nurty, mocno osadzone w ostatnich latach, ukazane poprzez zmiany językowe i tematyczne. W każdej z trzech części zastosowałem inny rodzaj opisu, sugerując wielowymiarowość lektury, zależnie od potrzeb i nastawienia. Tytułowa „codzienność” miała być w zamyśle punktem odbicia, strategiczną mapą

zachowań wielu poetów. Ich stosunek do niej, do jej języka i treściowych wyobrażeń, realistycznego zaplecza i poetyki świadectwa mógł uwidocznic podobieństwa i zaakcentować różnice. Być może „codziennosc” wypunktowana ostentacyjnie w tytule jest również sygnałem moich osobistych preferencji. Wszak zawsze manifestowałem swoje przywiązanie do terażniejszości i zwykłości w opozycji do historyzmu i ogólności. Jakże jednak inaczej tę codzienność rozumiem niż młodzi poeci. Mam nadzieję, że różnicę tę widać, kiedy przeciwstawiam „piękno rzeczy widzialnych” Miłosza banalizmowi debiutantów lat 90., język poetów stanowiących korpus polskiej poezji ostatnich dziesięcioleci, żargonowi ulicznemu wdzierającemu się ostentacyjnie tak samo do wierszy jak i powszechnej mowy Polaków.

Książka podzielona na trzy części: *Cztery drogi*, *Planeta Teraz* i *15 głosów na przełomie wieków* w istocie zajmuje się kategorią „zwyczajności” w poezji i różnymi jej realizacjami. Od zwyczajnego nieba Szymborskiej i kultu banału Różewicza po brak uwznioslenia Sosnowskiego i medialny emblemat życia Zadury. Wszystkie te propozycje uzupełniają się albo wzajemnie niszczą, ale rzucone na tło, jak to określam, „okresu przejściowego” i „festiwalu złudzeń” pokazują drogi do prawdy: przeżycia? przekazu?

## 8

Czy wszystkie te książki o dziełach innych autorów mówią jednocześnie o mojej drodze pisarskiej? Z całą pewnością tak. Choć trudno jednoznacznie wskazać te miejsca, w których bardziej myślę o własnej twórczości niż o innych. Raczej ta sfera zakodowana jest w podtekstach, w określonych pomysłach opisu czy interpretacji. Zawsze zresztą, pisząc tekst o jakimś utworze, oddalam się od własnego i do głowy mi nie przychodzi zestawienie czy porównanie. Będąc jednak pisarzem muszę, chcąc nie chcąc, uważać na to, by nie przekroczyć granicy między głosem cudzym a własnym, ale także, co ważne, między sferą towarzyską, prywatną (wszak najczęściej znam osobiście pisarzy, o których piszę) a sferą tekstu i poglądów. Tu zresztą rodzą się różne nieporozumienia polegające na rzekomym nieobiektywizmie. Tymczasem trzeba pamiętać o wyrobionym zmysle artystycznej gry, która szczęśliwie odgradza subiektywną ocenę od tła literackich wydarzeń rozgrywających się w każdym czytanim i omawianym tekście.



\* Tekst ten został odczytany na konferencji naukowej pt. „Dyskursy krytyczne u progu XXI wieku”, zorganizowanej przez Katedrę Krytyki Współczesnej Wydziału Polonistyki UJ (Janowice, 11-13.X.2006).

1. Zob. T.S.Eliot, *Rola krytyki* [w] tenże, *Szkice krytyczne*, wybór i przekład M. Niemojowska, Warszawa 1972, ss. 297-303
2. Z tym tekstem wiąże się zabawna anegdota. W tomie rozmów Stanisława Beresia z Lemem pisarz, powołując się na spotkanie z Zagajewskim za granicą, stwierdził, że dowiedział się od niego, iż to ja jestem autorem tego krytycznego tekstu w Świecie nie przedstawionym. Kiedy w wysłanym do Lema liście sprostowałem tę pomyłkę i dowiodłem, że łatwo można sprawdzić w spisie treści, kto napisał *Alegorię* sparalizowaną, otrzymałem od niego odpowiedź, że podtrzymuje swoje zdanie i nie widzi potrzeby, by poddawać w wątpliwość słowa Zagajewskiego.

## PANI MAZOŃSKA

Pani Mazońska, nasza sąsiadka z parteru,  
z Arkońskiej 3.

Jej mąż, wysoki i szczupły  
(wydawał mi się starcem),  
podarował mi swoje albumy ze znaczkami;  
było wśród nich błękitne Kongo, zielona Francja  
oraz sporo Drugiej Rzeczypospolitej.

A pani Mazońska zapraszała mnie niekiedy  
na podwieczorek i przyjmowała jakbym był dorosły,  
rozmawiała ze mną poważnie i rzeczowo.

Z drzew spadały kasztany, lśniące, czyste.

W trawie za oknem biegały szpaki.

Cicho pracował czas.



## Adam Zagajewski

Urodził się w 1945, poeta, prozaik, eseista, laureat wielu prestiżowych nagród literackich, tłumaczony na wiele języków. Urodził się we Lwowie, ale nigdy tam nie mieszkał: wkrótce po jego urodzeniu rodzice wraz z nim powrócili w ramach akcji repatriacyjnej do Polski. Dzieństwo spędził w Gliwicach, lata uniwersyteckie w Krakowie. Prowadził zajęcia z filozofii jako asystent uczelniany, pracował w redakcji czasopism „Student” i „Odra”, szybko zdobył sławę czołowego poety swego pokolenia - „pokolenia 68”. W latach siedemdziesiątych związany z niezależnym ruchem literackim, od 1982 roku mieszkał w Paryżu. Obecnie znów przebywa w Krakowie. Członek redakcji „Zeszytów Literackich”, prowadzi kurs „creative writing” na uniwersytecie w Houston, w USA.

### Poezja:

KOMUNIKAT, Kraków: WL, 1972. SKLEPY MIĘSNE, Kraków: WL, 1975. LIST. ODA DO WIELOŚCI, Paryż: Instytut Literacki, 1983. JECHAĆ DO LWOWA, Londyn: Aneks, 1985. PŁÓTNO, Paryż: Zeszyty Literackie, 1990. ZIEMIA OGNISTA, Poznań: a5, 1994. TRZEJ ANIOŁOWIE, Three Angels, Kraków, WL, 1998. PRAGNIENIE, Kraków: a5, 1999.

### Powieści i proza:

CIEPŁO, ZIMNO, Warszawa: PIW, 1975.  
CIENKA KRESKA, Kraków: Znak, 1983.

### Eseje:

ŚWIAT NIEPRZEDSTAWIONY (wraz z Julianem Kornhauserem), Kraków: WL, 1974.  
DRUGI ODDECH, Kraków: Znak, 1978.  
SOLIDARNOŚĆ I SAMOTNOŚĆ, Zeszyty Literackie, 1986. DWA MIASTA, Paryż-Kraków, 1991. W CUDZYM PIĘKNIE, Poznań: a5, 1998. PRAGNIENIE, Kraków: a5, 1999. OBRONA ŻARLIWOŚCI, Kraków: a5, 2002

W 2006 roku jego książka ANTENY (Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5) uzyskała nominację do NAGRODY NIKE 2006.

# KŁOPOTY Z „BATERIĄ DZWONKÓW”, CZYLI O MINISTRANCKICH DOŚWIADCZENIACH ADAMA ZAGAJEWSKIEGO

Uświadomienie sobie w pełni mało wyrazistego wcześniej faktu, że przez kilkanaście lat byłem współdiecezjaninem Adama Zagajewskiego, jednego z największych współczesnych poetów, napełniło mnie autentyczną dumą. Gliwice - swoisty substytut rodzinnego Lwowa, „gorsze miasto”, w którym Zagajewski, urodzony we Lwowie, mieszkał od października 1945 roku do czasu krakowskich studiów – należały, tak jak Racibórz, do diecezji opolskiej. Dopiero na mocy przeprowadzonej w 1992 roku reformy administracji kościelnej w Polsce Gliwice stały się stolicą nowo erygowanej diecezji, na której terytorium wступujemy tuż za opłotkami Raciborza, bo w Babicach. Jeszcze większą dumą przenika mnie jednak poczucie wspólnoty uczestnictwa w bardzo ważnym w mojej opinii doświadczeniu, jakim był fenomen służby ministranckiej w okresie poprzedzającym soborowe reformy liturgiczne.

We wspomnieniowym opowiadaniu-eseju *Dwa miasta* (pierwsze wydanie ukazało się w 1991 roku), autor *Ciepło, zimno* przywołał, wśród mnóstwa reminiscencji ze spędzonego w Gliwicach dzieciństwa, epizod ministrancki. Zagajewski wszedł w rzeczywistość zakrystii niespodziewanie dla samego siebie:

„Nie przypominam sobie, w jaki sposób zostałem ministrantem. Prawdopodobnie nie popchnęli mnie do tego rodzice, którzy, choć katolicy, nie odznaczali się wcale przesadną gorliwością religijną. Ale w niedzielę chodzili do kościoła.”<sup>1</sup>

Swoją posługę ministrancką postrzega po latach jako jeden z wielu motywów osobistego Bildungsroman:

„Co miesiąc pasjonowało mnie coś nowego, pochłaniały mnie coraz to inne frenetyczne zainteresowania, drogi i skróty prowadzące do inicjacji. Zbierałem znaczki pocztowe, byłem harcerzem, turysta, kibicem piłkarskim, budowałem – z pomocą ojca – radio kryształkowe, zajmowałem się fotografią, kolekcjonowałem minerały, kartki pocztowe, mapy i książki.” (s. 36)

Wyobraźnię przyszłego poety pobudzał klimat zakrystii, miejsca tajemniczego, zamkniętego, zakrytego przed oczyma profanów. Być może owa szczególna atmosfera była głównym czynnikiem przyciągającym młodego Zagajewskiego do służby przy ołtarzu.

„W zakrystii panował zawsze półmrok i senność. Pod ścianami wznosiły się wysokie kredensy, pełne szuflad. Na środku stał stary dębowy stół. Zapach drewna mieszał się z zapachem wody święconej (bo oczywiście woda świecona pachnie inaczej niż zwykła). W głębokich szufladach kredensu spoczywały złożone jak obrusy komże i ornaty (zapach krochmalu).” (s. 38)

Owo bogactwo wrażeń zmysłowych emanujących z zakrystyjnej przestrzeni mocno zapisało się w pamięci ministranta Adama, późniejszego poety ponadprzeciętnie wrażliwego na aromaty, dźwięki i barwy, o czym świadczy poniższy urywek pięknej prozy poetyckiej:

„W zakrystii promienie słoneczne, wąskie jak snop światła z projektora filmowego, wędrowały po kredensie i ścianach, dotykały stóp Chrystusa przybitych do krucyfiksu, bukietu wędnących mieczyków, błyszczącej sutanny księdza. Neogotyckie okno było niezmiernie skąpym źródłem światła. Kurz drzał i podróżował powoli w korytarzach słonecznego blasku.” (s. 38)

Pełnienie obowiązków ministranckich kojarzyło się Zagajewskiemu ze sztuka teatralną. Ministrant – przypominam, że mówimy ciągle o liturgii trydenckiej – musiał, jak aktor, opanować szereg bardzo trudnych czynności:

*„Sztuka ministrancka składała się z czterech zasadniczych elementów: z choreografii (to jest skomplikowanej sekwencji ruchów i gestów, przyklęknięcia i podnoszenia się z kłęczek), z recytacji łacińskiego tekstu mszy świętej, manewrowania baterią dzwonek oraz obsługiwanie kadzielnicy.” (s. 38)*

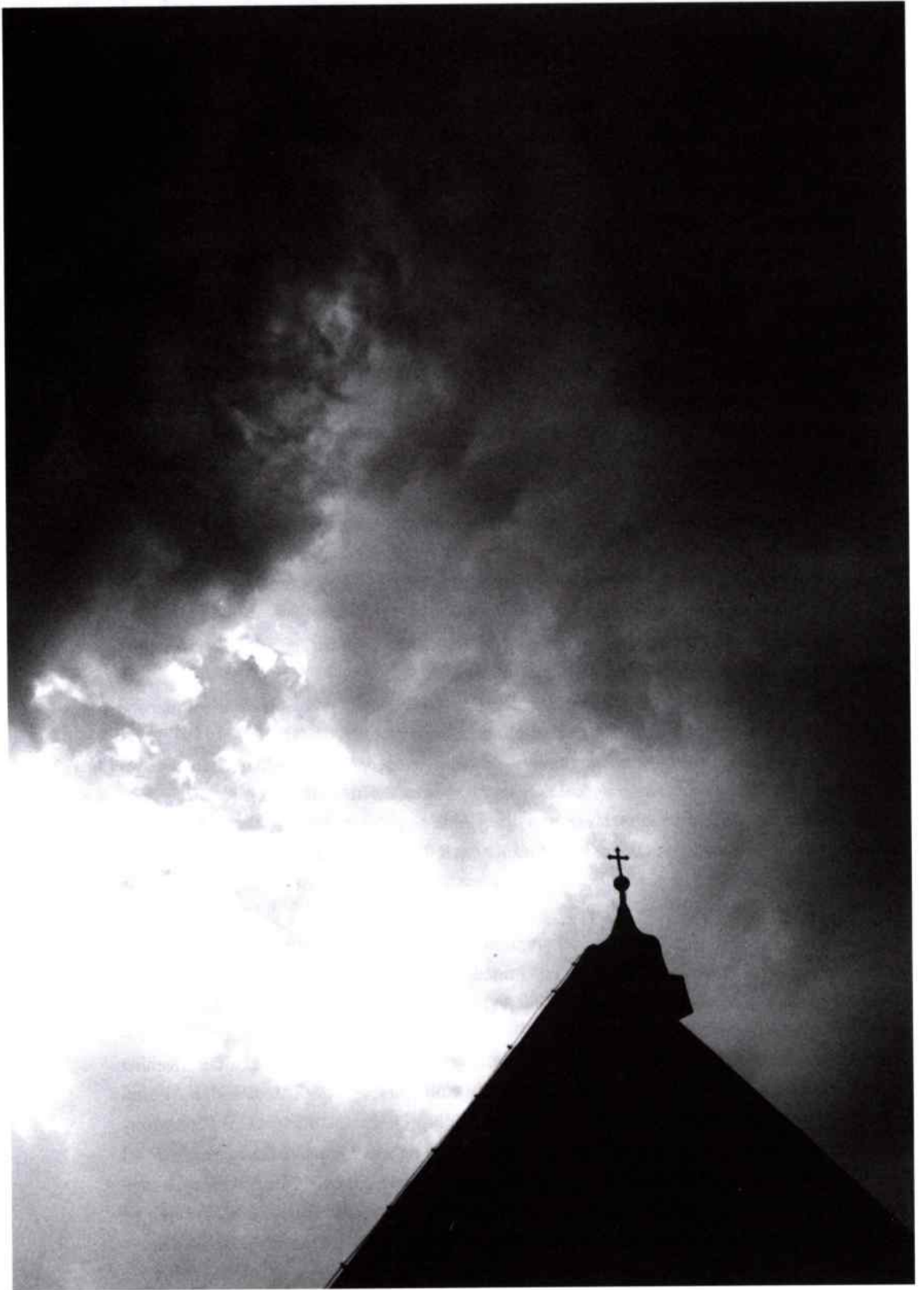
Dzisiejszy młody uczestnik „liturgicznej służby ołtarza” (tak bowiem określa się obecnie ministrantów) nie ma w najmniejszym stopniu wyobrażenia czym była owa posługa w czasach przedsoborowych. Nie wie na przykład, że nie było w niej miejsca na jakąkolwiek liturgiczną „spontaniczność”. Wszystkie gesty i ruchy - pochylenia, przyklęknięcia, przenoszenie mszału ze strony lekcji na stronę Ewangelii, podawanie ampułek, podtrzymywanie ornatu kapłana podczas Przeistoczenia, sposób trzymania pateny komunijnej etc. – były ściśle określone i wykonywane tak samo (albo przynajmniej bardzo podobnie) przez wszystkich ministrantów we wszystkich świątyniach katolickich na całym świecie. Rola ministranta była ogromna, bez niego kapłan w zasadzie nie mógł odprawić Mszy świętej. Ciche Msze święte bez uczestnictwa wiernych zdarzały się często (nie wolno było odprawiać koncelebry, a zatem kapłani musieli sprawować Najświętszą Ofiarę przy ołtarzach bocznych), bez udziału jednego choćby ministranta – w gruncie rzeczy nigdy. Ministrant prowadził, w imieniu społeczności wiernych, mszalny „dialog” z celebransem, dlatego zobowiązany był do poznania tzw. ministrantury, czyli łacińskich tekstów, których wiele było szczególnie w obrzędach wstępnych;

*„Musiałem się nauczyć łacińskiej mszy świętej (było to jeszcze przed soborem watykańskim), aby móc podjąć dialog z księdzem stojącym przy ołtarzu.” (s. 38)*

Adam Zagajewski zapamiętał liturgię trydencką jako wyrazisty przejaw sacrum. Podziwiał jej powagę i konsekwentne ukierunkowanie na Boga, nie zaś na ludzi:

*„Mszę rozpoczynało energiczne targnięcie taśmy innego dzwonka, zawieszzonego nad drzwiami zakrytych. Z neogotyckich czeluści wylaniał się skupiony ksiądz, a tuż za nim kroczyli dwaj równie skupieni ministranci w białych komeżkach narzuconych na zwykłe ubranie (nb. obawiam się, że w tym miejscu zawiodła Poetę pamięć, wszak ministranci poprzedzali księdza, a nie podążali za nim – J.N.). Wszyscy trzej mieli wzrok wlepiony w posadzkę i zdawali się nie zwracać najmniejszej uwagi na obecny w kościele tłum.” (s. 39)*

Teocentryzm to jedna z najbardziej wyrazistych cech klasycznej liturgii. Bóg jako absolutne Centrum liturgicznych czynności – czy istnieje w tej dziedzinie coś bardziej oczywistego? A jednak niektórzy młodzi ludzie, zupełnie niepamiętający Mszy świętej w rycie Pawła V, zdają się zupełnie nie pojmować istoty owego całkowitego zwrócenia się w ramach liturgii w stronę Boga w Trójcy Świętej Jedynej. Utwierdza mnie w tym smutnym spostrzeżeniu kuriozalna wypowiedź, której autorem jest ks. Joachim Kobielnia, sekretarz arcybiskupa Alfonsa Nossola (to potęguje jeszcze poczucie zażenowania i bólu). Otóż kapłan ten został poproszony przez Artura Grabarczyka, redaktora „Dziennika”, o opinię na temat zapowiadanego na listopad bieżącego roku promulgowania dokumentu papieskiego „uwalniającego” Mszę św. w rycie trydenckim (co oznacza, że każdy kapłan będzie mógł bez starań o specjalne zezwolenia biskupie sprawować Mszę św. Wszechczasów). Wydawałoby się, że ta długo oczekiwana i szczęśliwa decyzja powinna budzić wyłącznie pozytywne odczucia, będzie ona przecież ogromnym krokiem na drodze zasypywania przepaści między Stolicą Apostolską a Bractwem Kapłańskim św. Piusa X, broniącym Tradycji katolickiej. Odbudowywanie jedności w Kościele winno chrześcijan cieszyć, tymczasem wspomniany sekretarz biskupi zechciał o dostojnym rycie trydenckim wypowiedzieć się następująco:



„Kiedyś obserwowałem mszę trydencką z grupą studentów teologii. Nieustannie parskali śmiechem, widząc nagromadzenie gestów wykonywanych przez kapłana. To, co się działo przy ołtarzu, było dla nich czarną magią.”<sup>2</sup>

Warto przy okazji postawić pytanie: dlaczego to adepci teologii „parskają śmiechem” w trakcie sprawowania Najświętszej Ofiary i dlaczego „to, co działo się przy ołtarzu, było dla nich czarna magią”? Chyba głównie dlatego, że ich wykładowcy (zwłaszcza liturgiści i historycy Kościoła) nie zechcieli przekazać swoim studentom podstawowej wiedzy na temat Mszy Świętej Wszeczasów i uwrażliwić ich na dostojne piękno tego rytu. Swoją drogą niepokojąco znamienny jest ten przejaw „wierzgania” przeciw spodziewanej decyzji papieża Benedykta XVI, wielkiego admiratora klasycznego rytu rzymskiego.

Ministrancka „przygoda” Adama Zagajewskiego nie trwała długo. Zrezygnował szybko i mimo osobistej interwencji księdza O. u rodziców nie wrócił do zakrystii:

„Na szczęście rodzice obronili mnie przed nim. Byłem im wdzięczny za to.” (s. 40)

Jakie były powody porzucenia służby liturgicznej? Przecież, jak już podkreślałem, młody Zagajewski odczuwał głęboki respekt wobec Tajemnicy. Niezbyt przekonuje jego argumentacja:

„prawdę powiedziawszy, nie udało mi się nigdy opanować jednego z elementów rzemiosła, operowania baterią dzwonek” (s. 40), chociaż swoją drogą „prawdziwe” dzwonicie, w przeciwieństwie do bezmyślnego machania dzwonekami, jest wbrew pozorom rzeczywiście bardzo trudne.

Sądzić trzeba, że główną przyczyną rychłego odejścia z grona ministrantów była w przypadku Zagajewskiego niechęć do rzekomego „nihilizmu” jego kolegów z zakrystii. Późniejszy twórca podejrzewał ich o rodzaj cynizmu i kabotyństwa:

„Ministranci byli nihilistami, nic ich nie obchodziła wiara ani metafizyka, nie interesowali się ani Chrystusem, ani Judaszem. Liczyło się tylko sprawne obsługiwanie kadzielnicy i baterii dzwonek, nienaganna choreografia i umiejętność błyskawicznego przybrania poważnego, skupionego wyrazu twarzy w momencie, gdy orszak prowadzony przez księdza opuszczał (...) zakrystię.” (s. 40-41)

Czy autor „Obrony żarliwości” ma rację? Śmiem twierdzić, że zacytowana opinia jest krzywdząca. Należałem do grona ministrantów blisko dziesięć lat (jedyna sfera w której jestem „lepszy” od samego Adama Zagajewskiego), poznałem bardzo dobrze specyfikę tej szczególnej służby i mogę powiedzieć, że ów wytykany przez Zagajewskiego „cynizm” jest w na ogół pozorny. Większość ministrantów to osoby prawe, uczciwe, szczerze i głęboko wierzące. To przecież właśnie z tego środowiska wywodzi się najwięcej powołań kapłańskich. Ministrant jest pośrednikiem, reprezentuje Kogoś Innego, dlatego całą swoją energię skupia na jak najlepszym wypełnianiu misji reprezentowania. To może sprawiać wrażenie oschłości, aktorstwa, nieautentyczności. Jednakże sam Zagajewski przyznał, że doświadczenie ministranckie bywa doskonałym treningiem:

„Potem, spotykając ludzi, którzy odnieśli pewien światowy sukces, często dowiadywałem się, że w dzieciństwie byli ministrantami”. (s. 40-41)

Niezwykle budujące jest to, iż wśród owych „ludzi, którzy odnieśli pewien światowy sukces”, znajdujemy kandydata do literackiej Nagrody Nobla – dawnego ministranta z gliwickiej parafii.

#### PRZYPISY

1. A. Zagajewski, *Dwa miasta*, Lublin 2001, s. 36. Wszystkie cytaty z opowiadania podaję za tym wydaniem.
2. Cyt. za A. Grabarczyk, *Wierni wołają mszę po polsku*, „Dziennik” z dnia 13.10.2006



# ODPOWIEDZIALNOŚĆ. O SŁOWIE, O SŁOWIE, O NADZIEI

FILOZOFICZNY I DUCHOWY KLIMAT EPOKI PRZEŁOMU TYSIĄCLECI NAZNACZONY JEST, BEZ WĄTPIENIA, WIELOZNACZNOŚCIĄ. ALE BYŁOBY SKRAJNYM (A PRZEZ TO I NIESPRAWIEDLIWYM) UPROSZCZENIEM UPATRYWANIE FILOZOFICZNO-DUCHOWEJ DOMINANTY WYŁĄCZNIE W MYŚLI PROGRAMOWO „SŁABEJ”, Z ZAŁOŻENIA FRAGMENTARYCZNEJ I CHAOTYCZNEJ, WYBIERAJĄCEJ LOS SIEROTY PO SCHYŁKU „MOCNYCH” SYSTEMÓW FILOZOFICZNYCH I PO „ŚMIERCI BOGA” (TEOLOGII). FENOMEN PONOWOCZESNOŚCI NIE JEST JEDYNIJE POBOJOWISKIEM PO WSZELKIEGO TYPU WIARACH I NADZIEJACH, A OBOK ARCYTRUDNYCH WYZWAŃ ZDAJE SIĘ NIEŚĆ – MIMO WSZYSTKO – RÓWNIEŻ NIEZWYKŁE OBIETNICE.

## WSPÓŁCZESNOŚĆ, PARADYGMAT DRUGIEJ OSOBY

Jedna z nich jest – w moim przekonaniu – związana z zawrotną karierą pojęcia „odpowiedzialność” (*responsability, Verantwortlichkeit, responsabilité*) w filozofii i w innych naukach humanistycznych początku XXI wieku. Idea „odpowiedzialności” jako kategorii zdolnej interpretować byt i dobro, istnienie i etykę dojrzewała długie tysiąclecia pod powierzchnią „miłości mądrości”. Bezpośrednie zaplecze zjawiska tkwi, oczywiście, w wieku poprzednim, a o pierwszą polskojęzyczną syntezę „filozofii odpowiedzialności” pokusił się ostatnio Jacek Filek<sup>1</sup>.

Proponuje on autorskie, triadyczne myślenie o dziejach filozofii. Całą jej historię dzieli na trzy epoki „starożytność” – „nowożytność” – „współczesność”, a za ich protagonistów uważa odpowiednio trójcę „Arystoteles – Kartezjusz – Lévinas”. Paradygmatem arystotelesowskim rządzi gramatyczna osoba trzecia („jest”); paradygmatem kartezjańskim – osoba pierwsza („jestem”). Zaś „nierozpoznany jeszcze w pełni paradygmat myślowy «współczesności» jest filozofią drugiej osoby. **TAK WIĘC PIERWSZYM SŁOWEM TRZECIEJ «PIERWSZEJ FILOZOFII» JEST «JESTEŚ»**”<sup>2</sup>. Odpowiadają im określone dominanty: rozum – wola – uczucie. I o ile starożytność była głównie filozofią prawdy, nowożytność przede wszystkim filozofią wolności, o tyle współczesny paradygmat drugiej osoby czyni nieuchronnie filozofię naszej epoki filozofią odpowiedzialności<sup>3</sup>. Prawda, czyli: widzieć i rozumieć. Wolność, czyli: chęć i czynię. Odpowiedzialność, czyli: zagadnięto mnie i poczuwam się do odpowiedzi(alności). Wobec Ciebie.

Taki model ujęcia dziejów myślenia filozoficznego, płodny poznawczo, zawiera liczne uproszczenia. Ale części przynajmniej płynących z nich niebezpieczeństw można uniknąć, pamiętając, że „paradygmat odpowiedzialności, paradygmat drugiej osoby, nie tylko nie znosi paradygmatu trzeciej osoby, czyli paradygmatu prawdy, ani paradygmatu pierwszej osoby, czyli paradygmatu wolności, ale pozwala je lepiej zrozumieć, uwalniając je od groźących im jednostronności”<sup>4</sup>. Komplementarność ową pojmuję jeszcze mocniej w perspektywie dziedzictwa filozofii chrześcijańskiej – każe ono myśleć nie tylko kategorią „nie znosi”, ale kategorią „koniecznie potrzebuje”. Nie istnieje bowiem dobra odpowiedź (odpowiedzialność) poza prawdą i wolnością.

## PRAWDA, PYTANIE I ODPOWIEDŹ

Jeśli to, co najlepsze w najnowszej filozofii (głównie w rozumieniu kultury i współtworzących ją – rządzących nią – procesów) zmierza do postawienia w centrum troski współczesnej pojęcia „odpowiedzialność”, to otwiera się tym samym potężna i głęboka przestrzeń do spotkania tego kształtu filozofii z teologią chrześcijańską – w ponowoczesnym świecie. Filozofia odpowiedzialności czerpie inspiracje pełnymi garściami z tradycji judeo-chrześcijańskiej, ale – będąc dziełem głównie geniuszu myśli żydowskiej (Rosenzweig, Jonas, Lévinas) – słabiej odzwierciedla coś, co roboczo można by nazwać „chrystologią odpowiedzialności”, a co zawiera oryginalnie chrześcijańską wersję „odpowiedzi Boga”. Bo przecież Bóg – Zagadnięty – „poczuwa się do odpowiedzi”. Boską odpowiedzią (-alnością) jest Jezus Chrystus, jego Osoba i Dzieło, Jego Wydarzenie.

Tymczasem główny protagonista filozofii odpowiedzialności, Emmanuel Lévinas „pozostaje na płaszczyźnie judaizmu. Jego myśl ze zrozumiałych powodów zatrzymuje się przed wydarzeniem Wcielenia” – stwierdza jeden z badaczy jego dzieła<sup>5</sup>. Odnotowuję ten fakt bez jakiegokolwiek nuty polemicznej, z głębokim szacunkiem dla wykraczającego daleko poza sferę intelektualną geniuszu myśli Lévinasa, ale też z przekonaniem, że warto i trzeba ją chrystologicznie uwiarygodnić (wzmocnić) w tym sensie, w jakim – zdaniem chrześcijańskiej antropologii teologicznej – „wyjaśnienie” człowieka jest możliwe jedynie w świetle Chrystusa<sup>6</sup>. Piszę raczej w duchu dialogicznej postawy Franza Rosenzweiga: „teologia nie może poniżać filozofii, czyniąc z niej służkę, lecz równie niegodną jest rola najemnika, której w nowym i najnowszym czasie filozofia przyzwyczała się wymagać od teologii. Prawdziwy stosunek między tymi dwiema odnowionymi naukami (...) jest braterski i musi ich rzeczników doprowadzić do osobistego pojednania. Problemy teologiczne chcą być przekładane na problemy ludzkie, a problemy ludzkie przybrać postać teologiczną”<sup>7</sup>.

Teologia w zbiorze nauk zajmuje pozycję szczególną. Ma ona bowiem odwagę i ambicję udzielania odpowiedzi, a nie tylko zadawania pytań (do czego ogranicza dziś swoją aktywność wiele dyscyplin humanistycznych). Jej metodologiczne *instrumentarium*, będące oryginalnym połączeniem *fides et ratio* daje teologii odwagę konstruowania integralnej wizji wszechświata. Jest to wizja uniwersalna właśnie, holistyczna i dzięki temu „przyjazna” człowiekowi, nadająca sens bytowaniu, antropocentryczna *par excellence* i w najlepszym znaczeniu tego słowa – bowiem z jakże proczłowieczym mwisterium Wcielenia jako podstawowym kluczem hermeneutycznym rozumienia rzeczywistości.

Teologia penetrująca z równą uwagą doczesność jak i wieczność może być spoiwem pragnień ludzkiego serca i umysłu, gwarantką sensowności projektu prawdziwie ludzkiego świata. To jej szczególne zadanie w wielkiej rodzinie nauk. Teologia jest „nauką, która uznała zadanie pomyślenia świata jako całości za własne: tak bardzo, że rezygnacja z niego oznaczałaby dla niej sprzeniewierzenie się nie tylko jej własnej istocie, ale także tej wspólnej istocie wszystkich nauk, która każe im zmierzać do własnego celu nie każdej z osobna i w zgodzie z własną tylko szczególną zasadą, ale właśnie *in universitate studiorum*”<sup>8</sup>.

Pytanie o prawdę jest pytaniem o być albo nie być współczesnej kultury i cywilizacji. I nie wolno pod żadnym pozorem z tego pytania rezygnować. Trzeba rezygnować – powiadają oponenci takiego stanowiska – bo wpadniemy w szpony fanatyzmu, fundamentalizmu i szatańskiej pychy. Nie wolno – powiadają oponenci oponentów – bo alternatywą jest świat Piłata. Do pozornie sterylnej przestrzeni tolerancji, którą zdaje się zakładać i budować pytanie „Cóż to jest prawda?” (J 18,38), prędzej czy później wtargnie zbrodnia: zabójstwo Jedynego Sprawiedliwego. Rezygnacja z pytania o prawdę zniszczy nam nasz świat – przestrzegają. Nie, nie zniszczy, wręcz przeciwnie: uratuje przed stosami – twierdzą oponenci. Relatywizm nie jest przyjazną człowiekowi filozofią, jest dyktaturą, prowadzi bowiem do marginalizacji tych, którzy starają się bronić

swojej chrześcijańskiej tożsamości – powiadają oponenti oponentów. Itd. A oto słowa kardynała Ratzingera, dziś już papieża Benedykta XVI:

*Dzisiaj dyskwalifikowanie jako zarazem naiwnych i aroganckich tych ludzi, którym można przypisać przekonanie o „posiadaniu” prawdy, stało się swego rodzaju sloganem. Twierdzi się, że tacy ludzie są niezdolni do dialogu, a zatem nie można ich ostatecznie traktować poważnie. Prawdy nikt bowiem nie „posiada”. Wszyscy mogą jej tylko poszukiwać. Trzeba jednak zapytać: cóż to za poszukiwanie, któremu nigdy nie wolno dojść do celu? (...) Wydaje mi się, że zarzut arogancji należy raczej odwrócić: czy twierdzenie, że Bóg nie może nam dać daru prawdy, że nie może nam otworzyć oczu, nie jest wyrazem arogancji? Czy powiedzenie, że urodziliśmy się ślepi i prawda nie jest naszą sprawą, nie jest wyrazem pogardy dla Boga? Czy uznanie nas za skazanych na błędzenie w ciemności nie jest degradacją człowieka i jego tęsknoty za Bogiem? Wszystko to prowadzi do rzeczywistej arogancji, która polega na tym, że to my chcemy zająć miejsce Boga i określać, kim jesteśmy, co mamy robić, co chcemy uczynić z siebie i ze świata. Poznanie i poszukiwanie nie wykluczają się nawzajem<sup>9</sup>.*

**PRAWDA** Wcielenia Chrystusa i Odkupienie podarowane w **WOLNOŚCI** są – w optyce chrześcijańskiej – najgłębszym źródłem **ODPOWIEDZI** na wszelkie pytania, na całokształt *quaestio hominis et mundi*. W tym sensie, w jakim Jezus Chrystus jest odpowiedzialnością Boga wobec stworzenia i – jako taki – zakorzeniem (źródłem i mocą) całej naszej (ludzkiej) odpowiedzialności. Paradygmat obiektywny (przedmiotu – starożytność) i paradygmat subiektywny (podmiotu – nowożytność) znajdują w paradygmacie Wcielenia Boga swoją historyczną i ponadhistoryczną syntezę – **ODPOWIEDŹ**. Jezus Chrystus nie znosi tamtych modeli, ale On, Bosko-ludzka kwintesencja Innego, nadaje im jedyny w swoim rodzaju, życiodajny ciężar odpowiedzialności. Prawda i wolność w Nim ją znajdują. On jest bowiem *Wort und Antwort* zugleich, prawdą i wolnością, pytaniem i odpowiedzią, Bogiem i człowiekiem zarazem.

## **WCIELENIENIE, ODPOWIEDŹ(-ALNOŚĆ) BOGA**

Oto wśród różnorodnych sposobów odczytywania i rozumienia zbawczej logiki Pisma św. możliwy jest również sposób następujący: Biblia jako zbiór świadectw dotyczących coraz intensywniejszego „zbliżania się” Boga do człowieka. Stwórca, poczawszy od pierwszy kart Księgi Genesis szuka sposobów, by nawiązywać coraz „istotniejszą” rozmowę z człowiekiem (nie łamiąc ludzkiej wolności), by coraz miłosierniej pochylać się nad nim. Cała starotestamentalna historia zbawienia jest w swej najgłębszej warstwie niczym innym jak przygotowaniem do nowotestamentalnej pełni dialogu Boga z człowiekiem. W najdoskonalszej formie został bowiem ów dialog zrealizowany w osobie i dziele Pana naszego Jezusa Chrystusa. W nim, Logosie – Odwiecznym Słowie Ojca zabrzmiał głos Boga najdoniośniej, najwyraźniej, najbardziej jednoznacznie. Temu właśnie historiozbawczemu faktowi daje świadectwo Autor Listu do Hebrajczyków w Prologu.

„Wielokrotnie i na różne sposoby przemawiał niegdyś Bóg do ojców przez proroków, a w tych ostatecznych dniach przemówił do nas przez Syna. (...) Jezus Chrystus wczoraj i dziś, ten sam także na wieki” (Hbr 1,1a; 13,8). To dzięki „przemówieniu” przez Syna, dzięki unii hipostatycznej – połączeniu w Osobie Bożego Syna integralnej natury Boskiej z integralną naturą ludzką – jest Jezus Chrystus najdoskonalszym Pośrednikiem między Bogiem a ludźmi oraz między ludźmi a Bogiem. Jako pełny Bóg i jako pełny człowiek. „Teraz w Chrystusie Jezusie wy, którzy niegdyś byliście daleko, staliście się bliscy przez krew Chrystusa” – czytamy w Liście do Efezjan (2,13). Fundamentalne napięcie ludzkiej egzystencji pomiędzy stanami oddalenia i bliskości wobec Boga... Podstawowa teza teologii św. Pawła, jądro chrześcijańskiej doktryny, brzmi następująco: Boska „praca” nad skracaniem dystansu w relacji Bóg – człowiek zostaje uwieńczona wydarzeniem Jezusa Chrystusa. To On staje się dla człowieka wszystkich czasów jedynym

„Miejscem” bezpośredniego spotkania z Bogiem, „Sytuacją” dotyku Boga. Jezus Chrystus jest dla chrześcijaństwa po wszystkie czasy widzialnym znakiem Niewidzialnego. On jest „obrazem Boga” (2 Kor4, 4), „obrazem Boga niewidzialnego” (Kol 1,15), kimś, którego pierwszeństwo jest jedyne, bezwzględne, źródłowe.

Bóg, który staje się coraz bliższy człowiekowi, to Bóg, który „w końcu” staje się człowiekiem. Wcielenie, utożsamienie, bliskość absolutna. Początkowe starotestamentalne Boskie akty zbliżania się do człowieka mają charakter „efemeryczny” (tajemnica boskiej pedagogii), efektywnie nieraz zależny od postawy człowieka (krzak gorejący, obłok, arka przymierza). Obecność ta w miarę rozwoju historii zbawienia staje się coraz gęstsza i osiąga swoje apogeum w Jezusie Chrystusie. Bóg tak się zbliża do człowieka, że się nim staje... Całkowicie transcendentny Nieogarniony staje się w ten sposób po ludzku doświadczalny z całym pięknem i z całą ułomnością



składającymi się na owo doświadczenie. Ale Bóg pragnął i pragnie, by człowiek zgodnie ze swoją psychofizyczną naturą (będącą przecież pomysłem i dziełem Stwórcy) mógł wejść w kontakt z Nim w sposób odpowiadający swej „ludzkiej konstrukcji”.

Należy mocno podkreślić, że owa „ewolucyjnie” potęgująca się obecność Boga w świecie, „eksplodująca” finalnie faktem Jezusa Chrystusa, ma swoje źródło w Boskiej inicjatywie. To istotne chrześcijańskie *specificum*: Bóg jest Autorem pomysłu „zbliżania się” do człowieka i tegoż pomysłu Realizatorem. Bóg stał się człowiekiem w Jezusie z Nazaretu, a nie człowiek stał się w Nim Bogiem. Kierunek inicjatywy zbawczej jest zdecydowanie odgórny: to samo centrum chrześcijańskiej doktryny. O wielu zresztą implikacjach. Bo w ich konsekwencji to nie człowiek czyni siebie doskonałym przez modlitwę, posty, uczynki, ale to Bóg czyni człowieka świętym i szczęśliwym. Tylko On zbawia. Rzecz jasna, nie niszcząc ludzkiej wolności, ale „współpracując” z człowiekiem w przestrzeni Łaski.

## SŁOWO, SŁOWO

Odpowiadający Bóg zaprasza do odpowiedzi człowieka – Odpowiedzialny do odpowiedzialności. Biblia może być odczytywana jako ciąg pytań zadawanych przez Boga człowiekowi; Bóg stale zagaduje człowieka, by ten poczuwał się do odpowiedzialności za Innego. Od „Gdzie jest brat twój, Abel?” (Rdz 4,8) po „Cóż to za rozmowy prowadzicie ze sobą w drodze?” (Łk 24,17). Kain jest „smutny, o twarzy ponurej” (Rdz 4,5-6), uczniowie z Emaus „smutni, o sercach nieskorych do wierzenia” (Łk 24,17;25). Potrzebują najpierw sami odpowiedzi na pytanie o smutek twarzy i serca, potrzebują światła z Wysoka, Odkupienia, by żyć jako stróż brata (Rdz 4,9), by odważnie wrócić do Jerozolimy (Łk 24,33). Dlatego słyszą nadziejorodne „Nie bójcie się” (Mt 28,10). Dlatego nasza epoka słyszy papieskie „Nie lękajcie się Boga, który stał się człowiekiem!”<sup>10</sup>

Słowo ludzkie stąd zyskuje wyjątkowe znaczenie i rangę, które można wyczytać ze Słowa – Chrystusa. Wystarczy wspomnieć Prolog Czwartej Ewangelii. *En arche en ho Logos* – „Na początku było Słowo” (J1,1a), brzmiały pierwsze słowa Janowego Prologu. I, oczywiście, zawierają one przede wszystkim potężną dawkę najgłębszej z możliwych chrystologii. Ale też mówią o tym, że istnieje jakiś wewnętrzny związek słowa ze Słowem, jakieś esencjalne wręcz zakorzenienie ludzkiego słowa w Słowie Wcielonym, jakiś rodzaj pokrewieństwa sięgający głębin Boga samego. Nieprzypadkowo przecież Janowy Prolog wyraża istotę Drugiej Osoby Trójcy pojęciem *Logos*. Fakt ten mówi nie tylko coś fundamentalnie ważnego teologicznie o Jezusie Chrystusie, Jego istocie, preegzystencji, pochodzeniu i misji, ale również coś niezwykle ważnego o słowie jako takim. Także o wzajemnej relacji Słowa i słowa ludzkiego, o więzi pomiędzy teo-Logią i sztuką słowa... Warto też odwołać się do sceny zapisanej w *Genesis*, kiedy to Pan Bóg przyprowadza do mężczyzny wszelkie zwierzęta lądowe i ptaki powietrzne, „aby przekonać się, jaka on da im nazwę” (Rdz 2, 18-19). Mężczyzna daje nazwę bydlu, ptakom i zwierzęciu (Rdz 2,20), słowem-imieniem wzmacniając istnienie bytu powołanego do bycia przez Stwórcę.

Roman Brandstaetter wyjaśniał, że „na początku” należy rozumieć „przed wszystkim i nad wszystkim”. Sens teologiczny wersetu mówi bowiem nie o pierwszeństwie chronologicznym Logosu (Słowo jako byt poprzedzający „czasowo” zbiór czy też łańcuch innych bytów), ale o tym, że jest Logos korzeniem i koroną wszelkiego stworzenia, bytem górującym „jakościowo” nad stworzeniem, stanowiącym przyczynę i zwieńczenie wszystkiego, co jest „po Nim i pod Nim”.

Chrześcijaństwo nigdy nie miało wątpliwości, że Autor Prologu utożsamia Logos z Drugą Osobą Trójcy Przenajświętszej. Mimo filologicznych pokrewieństw z filozofią grecką tamtej epoki (np. z myślą Filona z Aleksandrii), Janowa nauka o Logosie nawiązuje treściowo przede wszystkim do starotestamentalnej literatury mądrościowej, gdzie teologia słowa była zarysowana bardzo wyraźnie (Prz 8,22n; Mdr 7). Ewangelista dokonał jej chrystianizacji, polemizując prawdopodobnie z poglądami gnozy tamtego czasu. Punkt ciężkości nauki Prologu można by więc streścić następująco: On, Pan nasz, Jezus Chrystus, prawdziwy człowiek – jest tożsamy z owym preegzystującym Boskim Słowem, które było u Boga, było Bogiem i stało się ciałem (J 1,1.14).

Jakiegolwiek próby relatywizowania tej nauki – np. rozumienie Logosu jako nieosobowej prazasady świata – czy zawężanie jej do wymiaru czysto filologicznego byłyby chybione z naukowego punktu widzenia i ostatecznie stanowiłyby odmianę neognozy. Niemniej – i ten fakt jest kluczowy dla naszej refleksji – istnieje jakiś głęboko wewnętrzny związek słowa ze Słowem, jakieś esencjalne wręcz zakorzenienie ludzkiego słowa w Słowie Wcielonym, jakiś rodzaj ich pokrewieństwa sięgający głębin Boga. Nieprzypadkowo przecież Janowy Prolog określa Drugą Osobę Trójcy pojęciem *Logos*, a na określenie historiozbawczego aktu Inkarnacji Bożego Syna ze wszystkich możliwych metafor, porównań, analogii, ze wszystkich teologicznych i literackich dzieł ludzkiego umysłu, wyobraźni i języka wybiera ten właśnie obraz: Bóg Ojciec wypowiada Słowo-Syna, które (-y) za sprawą Ducha Świętego staje się ciałem...

I ten biblijny fakt mówi coś ważkiego teologicznie nie tylko o Jezusie Chrystusie, o Jego istocie, pochodzeniu i misji, ale również mówi coś niezwykle ważnego o ludzkim słowie jako takim. Już św. Augustyn w kilku swoich tekstach szukał najgłębszych więzi pomiędzy Słowem i słowem, badając naturę ich wzajemnych relacji. Według Biskupa z Hippony ludzkie słowo znaczy (w obu odcieniach „zniczeniowych” tego terminu) głównie dzięki swojemu podobieństwu do Słowa, a jedność słowa i świata jest ważną konsekwencją Wcielenia, w którym Słowo staje się „ciałem świata”. Problematyka ta nie była również obca św. Tomaszowi z Akwinu, a ze współczesnych teologów zajmowali się nią bądź zajmują: K. Rahner, H.U. Von Balthasar, A. Dulles, W. Ong – w badaniach prowadzonych na pograniczu teologii fundamentalnej i dogmatycznej.

Na naszym polskim gruncie nawiązywał do niej wielokrotnie Prymas Wyszyński. Prymas podkreślał, że pojęcie „słowo” nabrało „ogromnej ceny i nieskończonej wartości” poprzez określenie tym samym wyrazem Logosu – Drugiej Osoby Trójcy Świętej: „Syn Boży dodał mu waloru, dopuszczając przez Ducha Świętego zestawienie wyrazu «słowo» – *verbum*, «słowo Boże» – *verbum Dei*, ze swoją Osobowością – Słowa Wcielonego”<sup>11</sup>. W ten sposób słowo uświadamia sobie prawdę o swojej istocie, o pokrewieństwie z Logosem, o obowiązku niesienia prawdy i życia: „Wysublimowanie Słowa w Jezusie Chrystusie rzutuje w jakimś przedziwnym wymiarze dziejowym na każde słowo. Cały splendor nauki o Chrystusie jako Słowie pada światłością na każde słowo i zobowiązuje”<sup>12</sup>.

## NADZIEJA, ODPOWIEDŹ(ALNOŚĆ) CZŁOWIEKA

Oto zadanie człowieka: nie tylko zadawać pytania, ale udzielać odpowiedzi niosących nadzieję – brać odpowiedzialność za nadzieję. Oto inkarnacyjna duchowość odpowiedzialności.

Kardynał Danneels w skrótovej diagnozie aktualnej fazy dziejów stwierdza: „Wszystkie problemy człowieka postmodernistycznego sprowadzają się do jednego, to jest do problemu nadziei. Czy możemy jeszcze mieć nadzieję?”<sup>13</sup> Rozpacz, beznadzieja, skrajna desperacja zdają się przejmować władzę nad naszymi miastami i ulicami, przenikają przez drzwi mieszkań; „w naszych czasach nadzieja jest rzeczywiście tą «małą dziewczynką», która wśród swoich dwóch dużych sióstr, o których mówi Péguy (wiary i miłości – przyp. JSz), ma problemy ze wzrostem. Wszędzie w powietrzu unosi się egzystencjalny niepokój. (...) Kto nas nauczy nadziei?”<sup>14</sup>.

Czterdzieści lat temu, w konstytucji *Gaudium et spes*, ojcowie soborowi napisali, że „przyszły los ludzkości leży w ręku tych, którzy zdolni są przekazać następnym pokoleniom motywy życia i nadziei” (nr 31). Uczynili to w paragrafie noszącym znamienity tytuł: „Odpowiedzialność i uczestnictwo”. W świecie moich najważniejszych lektur, wśród najcenniejszych rad, jakie kiedykolwiek otrzymałem, kwestia ta łączy się nierozdzielnie ze słynną tezą ks. profesora Janusza Pasierba: „Jako chrześcijanie jesteśmy odpowiedzialni za poziom nadziei w świecie”. Nieco upraszczając i dla wyostrenia problemu: w wielu dziedzinach rzeczywistości świat sobie bez nas, chrześcijan, poradzi, ale w dziedzinie „motywacji do życia i nadziei” jesteśmy potrzebni naszym współczesnym jak pokarm i tlen. W tym sensie „przyszły los ludzkości spoczywa w rękach chrześcijaństwa”.

Dlaczego? Ponieważ nie istnieje inny motyw „życia i nadziei” – czyli „nadziei życia” („nadziei na życie”) – jak Jezus Chrystus. Nadzieja jest albo chrystostształna, albo nie ma jej wcale.

„Nigdy nie przyniesiono światu piękniejszej i lepszej nowiny. Bóg, którego kiedyś imienia nie można było nawet wymawiać, teraz ukazuje się ludziom i w pełni uczestniczy w naszym życiu”<sup>15</sup>. W taki sposób i przy pomocy takiej właśnie argumentacji Kardynał Roger Etchegaray, Prezydent Komitetu Organizacyjnego Wielkiego Jubileuszu Roku 2000, uzasadniał projekt szczególnie uroczystych obchodów dwutysięcznej rocznicy Wcielenia Syna Bożego oraz ich wyrażenie chrystologiczną koncentracją. Podkreślając tym samym, że logika myślenia i życia Kościoła naszego czasu pragnie być wierną kontynuacją logiki Kościoła Nowego Testamentu, logiki na-

tchnionej z Wysoka, ześrodkowanej na tajemnicy Jezusa Chrystusa. Logiki tych, których już w połowie I wieku zwano w Antiochii *christianoï*, ludźmi Chrystusa (Dz 11,26).

## EMMANUEL

Chrystologiczne rozumienie odpowiedzialności znajduje swoją kulminację w idei Emmanuela. Stary Testament wiąże postawę odpowiedzialności najczęściej z relacją do bliźniego: za jego krew, za jego grzech, za jego czyny, za jego drogi, za jego życie – jest człowiek odpowiedzialny. W Wydarzeniu Jezusa Chrystusa okazało się, w jak wysokim stopniu ów etos, owa prawda o relacjach międzyludzkich, o człowieku – jest prawdą o Bogu samym. Boska odpowiedź utożsamia się z ludzkim pytaniem (*Wort und Antwort...*). Ludzką krew, grzech, czyny, drogi, życie – „Bóg z nami” (Emmanuel) bierze na siebie, w siebie. Starotestamentalne linie zapowiedzi i obietnic, darów i wymagań, całej „zbawczej pedagogiki” Boga zespalają się w osobie Chrystusa. On jest „Bogiem z nami” – On jest „człowiekiem z Bogiem”<sup>16</sup>. Odpowiedzialność Boga wobec (dla, z) człowieka nie może „posunąć się dalej od Bożego Wcielenia. W Osobie Boga-Człowieka, w unii hipostatycznej, mamy najwyższą, najdoskonalszą wspólnotę pomiędzy Bogiem a człowiekiem”<sup>17</sup>. I paradygmat odpowiedzialności za Innego, za Innych.

Bóg – jako „z nami Bóg” (Iz 8,10; Mt 1,23) – „jest naszą przyszłością”<sup>18</sup>. Dlatego też kwestia ta leży w samym centrum *quaestio spei*, ponieważ – jak wyjaśnia Tomasz Węclawski – „dzięki Bogu mogę mieć nadzieję, że nawet tam, gdzie już nie będę mógł w żaden sposób panować nad moim życiem – w godzinie mojej śmierci – pozostanę człowiekiem”<sup>19</sup>. Poza granicą śmierci. Aż tam sięga odpowiedź Boga.

Nie wolno też zapominać, że Bóg jest miłosiernym Samarytaninem do końca, do samej puenty przypowieści. Przywraca zdrowie „na wpół umarłych” na swój własny, Boski i niepojęty dla nas sposób (opatruje rany, nie szczędi oliwy i wina, podwozi do gospody, pielęgnuje). Ale z równie Boskich i niepojętych przyczyn usuwa się potem w cień; Bóg pokorny i kenotyczny, Bóg budzący zachwyt. Bóg włączający gospodarza – kimkolwiek jest: rodzicem, Kościołem, bliźnim, teologią – w swoje największe dzieło: odbudowy nadziei zbawienia. „Idź, i ty czyn podobnie”, powiada (Łk 10,30-37). Stąd wiersz:

Mówią,  
że cię wszechmoc uwiodła,  
że Ci się nie udała starość i dzieci z wodogłowiem.  
Mówią,  
że się z Tobą rozeszliśmy już dawno,  
że hipoteza Twojego istnienia jest tanią pociechą.  
Mówią,  
żeś się poślizgnął w kałuży naszej niewinnej krwi.

To ból mówi, nie oni, mówisz.  
Pragnę. Nie wiedzą, co mówią.  
Pragnę, by ich nie bolało.  
Nie jestem niezwyknięty,  
jestem jedynie wierny, mówisz.  
Nie zejść z krzyża, milczysz.  
Zostanę po ich stronie, byle mi nie zginęli.  
Co zrobię, gdyby mi zginęli?

*Ty miej o nich staranie, mówisz.  
Oddam tobie, gdy będę wracał,  
mówisz.*

Dosłownie bez-graniczna jest więc odpowiedzialność Boga wobec człowieka w Chrystusie Emmanuelu. Tu też tkwi – w Nim, dzięki Niemu, dzięki większej niż śmierć odwadze z Niego – źródło mojej odpowiedzialności za Innego.

Wszystkie pogmatwane i porwane nici egzystencji, niepełność wizji, fragmentaryczność rozumienia, śmiertelność przygodności, pragnienie nadziei i miłości – w Chrystusie się spotykają. On jest jak powrósło, przewijające snop w samym środku i rozchylające go ku obu krańcom – Boskiemu i ludzkiemu<sup>20</sup>. To w Nim niepokój pytań i niepewność człowiecza spotykają się ze spokojem prawdy o człowieku. Pytania znajdują odpowiedź, a jej owocem jest duchowość chrystocentryczna – pozbawiona lęku, biorąca odpowiedzialność za Innych.

30 WRZEŚNIA 2006 R.



#### PRZYPISY

1. Filozofia odpowiedzialności XX wieku, Kraków 2003. Por. D. Bonhoeffer, O odpowiedzialności, tłum. J. Filek, Kraków 2001.
2. Tamże, s. 6.
3. Tamże, s. 5-13.
4. Tamże, s. 13.
5. A. Hawryłko, W stronę Innego. Emmanuela Lévinasa myślenie o Bogu (praca magisterska pisana w Katedrze Chrystologii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego pod kierunkiem ks. J. Szymika), Lublin 2004, s. 68.
6. M. Serretti, Bóg człowiekiem. Dlaczego?, kompilacja, s. 2 (niepublikowany wykład – Katolicki Uniwersytet Lubelski, 18 maja 2004 r.).
7. F. Rosenzweig, Nowe myślenie. Kilka późniejszych uwag do „Gwiazdy zbawienia”, tłum. T. Gadacz, w: Filozofia współczesna, red. J. Tischner, Kraków 1989, s. 455.
8. T. Węclawski, Studiorum Universitas, „Tygodnik Powszechny”, 1998 nr 25, s. 8.
9. J. Ratzinger, W drodze do Jezusa Chrystusa, tłum. J. Merecki, Kraków 2004, s. 74-75.
10. Jan Paweł II, Przekroczyć próg nadziei. Jan Paweł II odpowiada na pytania Vittoria Messori, Lublin 1994, s. 28.
11. Cena słowa prawdy. Jubileusz 75-lecia Księgarni i Drukarni Świętego Wojciecha – Poznań, 23 IV 1970, w: tenże, Idźcie i nauczajcie, wyb. i wst. W. Wojdecki, Warszawa 1985, s. 162.
12. Tenże, Słowo – mostem prawdy i miłości. Przemówienie do pisarzy i literatów – Warszawa, 15 III 1980, w: tenże, Idźcie i nauczajcie, s. 184.
13. G. Daneels, Kto nas nauczy nadziei?, w: Teresa z Lisieux. Życie – Nauka – Środowiska, red. K. de Meester, tłum. J. Dybeł, J.E. Bielecki, Kraków 1997, s. 5.
14. Tamże.
15. Jezus Chrystus, jedyny Zbawiciel świata, wczoraj, dziś i na wieki. Oficjalny dokument Papieskiego Komitetu Obchodów Wielkiego Jubileuszu Roku 2000, tłum. A. Lis, Katowice 1996, s. 5.
16. Ch. Schönborn, Bóg zesłał Syna Swego. Chrystologia, tłum. L. Balter, Poznań 2002, s. 387.
17. Tamże, s. 388.
18. H.U. von Balthasar, Theodramatik 4: Das Einspiel, Einsiedeln 1983, s. 407; T. Węclawski, Królowanie Boga. Dwa objaśnienia wiary Kościoła, Poznań 2003, s. 8.
19. Węclawski, Królowanie Boga..., s. 9.
20. Metafora autorstwa A. von Speyr: Służebnica Pańska, tłum. J. Koźbial, Warszawa 198, s. 5-7.

## BRZYDCY OSIEMNASTOLETNI

Przyjeżdżali z zapadłych  
 prowincjonalnych kątów  
 Ze słoikami smalcu z cebulą  
 (parapety w akademikach)  
 I punktami za pochodzenie  
 (zaświadczenia z gminy)

Myślałem - to dobrze  
 Lud do wiedzy ciągnie  
 A oni - ty frajerze  
 To przed wojskiem  
 Łatwiej się dostać na ujęt  
 Niż na medycynę

Chleb ze smalcem  
 Na fałszywej metryce  
 I wino patykami pisane  
 W kubku do mycia zębów

Odpowiadali na pytania  
 Z ekonomii politycznej oksymoronu  
 Siłaczka doktor Judym  
 Złapani w sieć stypendium

## CIERNIE W BAWELNIE

Bawełna ma kwiaty delikatne  
 Przyjemne w dotyku jak kocia sierść  
 Zrywaj je ostrożnie  
 Podrapią do krwi

Pamięć ma kwiaty delikatne  
 Podrapie do krwi  
 Gdy ją pogłaskać  
 Pod włos

Obudzi z letargu  
 Tych co są ubrani  
 W bawełnianą miękkość  
 Choć dusze mają kolczaste

Biali  
 Biali  
 Bardzo biali ludzie



## Jerzy Gizella

- urodził się w 1949 roku w Krakowie, należy więc do pokolenia Nowej Fali, aczkolwiek do najmłodszego „rzutu” owej generacji. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jest doktorem nauk humanistycznych. Poeta, krytyk literacki, tłumacz. Za twórczość poetycką otrzymał wiele nagród, m.in. nagrodę im. Andrzeja Bursy i Stanisława Piętaka. W stanie wojennym współpracował z czasopismami drugiego obiegu, np. z „Arką” i „Na Głosem”. W latach osiemdziesiątych udał się na emigrację – najpierw przebywał w Paryżu, gdzie pracował w redakcji „Kontaktu”. Od 1987 r. mieszkał w USA. W 1999 r. otrzymał nagrodę doroczną „Listu Oceanicznego” z Toronto za publicystykę kulturalną. Przed kilkoma laty powrócił do rodzinnego Krakowa.

Współpracuje z wieloma periodykami kulturalnymi, wśród których są: „Topos”, „Arcana”, „Dekada Literacka”, „Kwartalnik Artystyczny” i wiele innych.

Dotychczas opublikował następujące zbiory wierszy: Obustronne milczenie (1977), Gorzko (1979), Szkołą winowajców (1980), Bez ognia, ziemi i powietrza (drugą obieg 1981), Ballady, sielanki, elegie (1994), Wybór wierszy (1997), Sąsiad marnotrawny (1998), Wpadanie (.999), Odrywanie Ameryki (2001), Nocna straż (2001), Weterani wojny trojańskiej (2002), Prawo pobytu (2002).

## HISTORIA POKAZUJE JĘZYK

Na Szewskiej  
Trzech Muszkieterów

Kołyszą biodrami jak  
Trzydziestoletnie kobiety

Odgarniają z czoła  
Pukle długich włosów

Dziewczęce usta  
Okrągłe twarze

Na głowach  
Harcerskie rogatywki

Teraz takich przyjmują  
Delikatnych dwupłciowych

Żeby nabrali męskości  
Po hodowli przed telewizorem

A jeśli historia się powtórzy?  
Takie dzieci na barykadzie?

## POKOLENIE JP2 NA BŁONIACH

Chcą być lepsi  
Chcą być mądrzejsi

Śpiewają płaczą  
Zapalają świece

Patrzą w niebo  
Wypatrują SMS-a

Pióra z ognia  
Napisu z wiary



## NIEUDANA WYCIECZKA NA FLORYDĘ

Pomarańczowe gaje Florydy  
Pod szklaną skorupą lodu  
Nie wzięli ciepłych ubrań  
Pewni siebie jak dzieci

Słońce miało nie zachodzić  
Na plażach dla emerytów  
Bo tu się nie marznie  
A jeśli umiera to powoli

Dopiero kiedy mróz  
Zetnie kwiaty kamelii  
Zaczynają wątpić  
Czy te kwiaty w grudniu  
Kolorowe ptaki  
Szczebiocące beztróska  
I zjeżdżalnie dla dzieci  
Nie są z innego świata

Odkrywają  
Że ich dzieci starzeją się  
Przybywa im zmarszczek  
Włosy siwieją  
Za szybko  
Za wcześnie

I końca drogi nie widać  
Do Ziemi Obiecanej

## JAK NA NIEBIE, TAK I NA ZIEMI

Po godzinie dwudziestej drugiej  
Zachowaj spokój sumienia  
Maltretowanego dziennym światłem  
Jak lampą śledczego  
Opanuj siebie  
I swoje cztery ściany  
Kupione na kredyt

Po godzinie dwudziestej drugiej  
Osobnika tej samej płci  
Z dołu i z góry  
Traktuj z szacunkiem  
I kochaj jak nie siebie samego  
Tylko bez zbliżeń intymnych

Reprezentantów płci przeciwnej  
Potraktuj jak kogoś bliskiego  
Aż ułożą wam się stosunki  
W myśl popularnej piosenki  
Ty pójdziesz górą  
Ty pójdziesz górą  
On poleci w przepaść

Alpinista pamięci

I tylko ten tchórzliwy  
Ten co skoczyć nie ma odwagi  
Zostanie na zawsze z tobą  
Mijający czasie



## WYKŁAD O METAFORZE W TORONTO

Po wykładzie chrześcijańskiego filozofa  
Odbyła się dyskusja ze słuchaczami

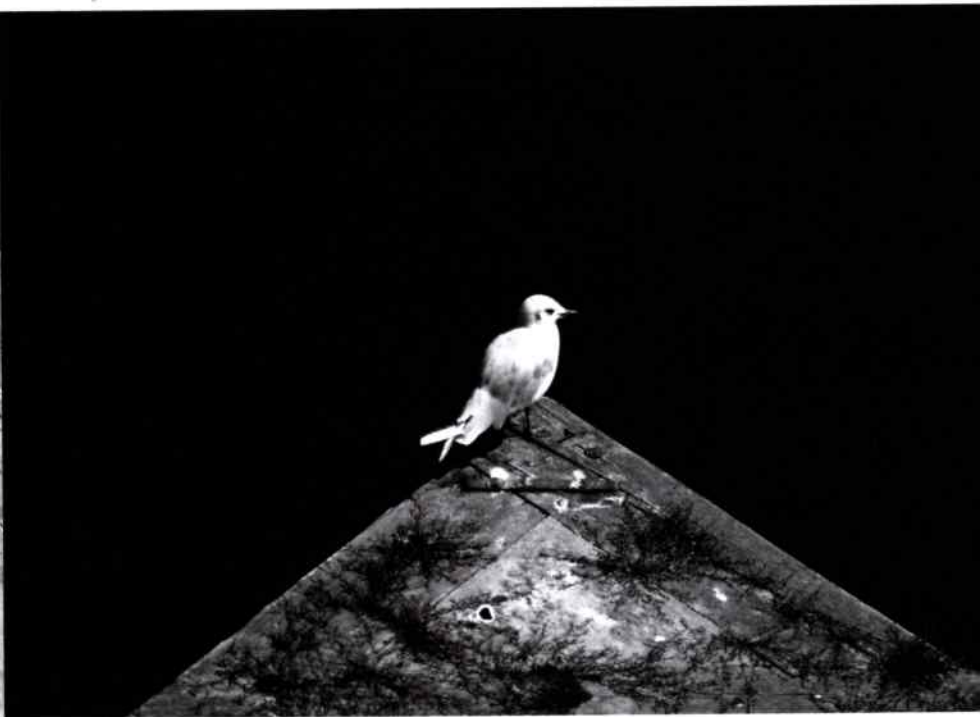
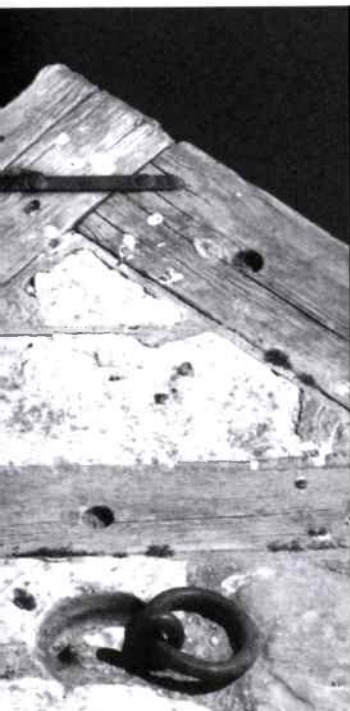
Filozof nie mówił niczego nowego  
Kilka prawd o wartościach i tradycji

Przestrzeganiu prawa naturalnego  
Konsekwencji w wychowaniu dzieci

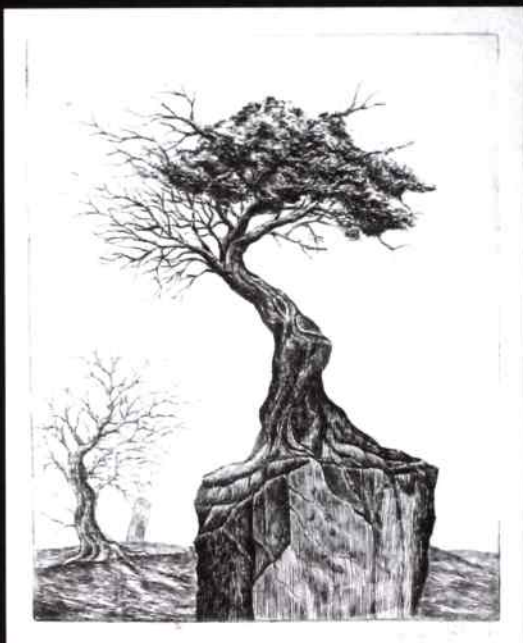
Odpowiedziało mu wycie  
Postnowoczesnej dżungli

A on zamiast odpierać ataki  
Stara się ująć zdarzenie w metaforę

„Wreszcie na końcu światelka  
Pojawił się tunel” - żartuje

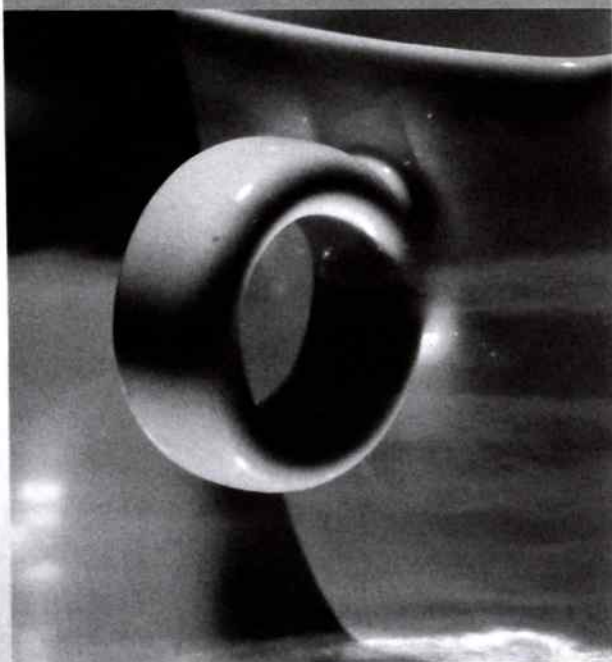


PWSZ W RACIBORZU



田 INCT  
田 INCT  
◎ INCT  
◎ INCT

GROUND • ROASTED • COFFEE  
CAFFE' MACINATO



田 INCT  
◎ INCT  
◎ INCT  
GROUND • ROASTED • COFFEE  
CAFFE' MACINATO

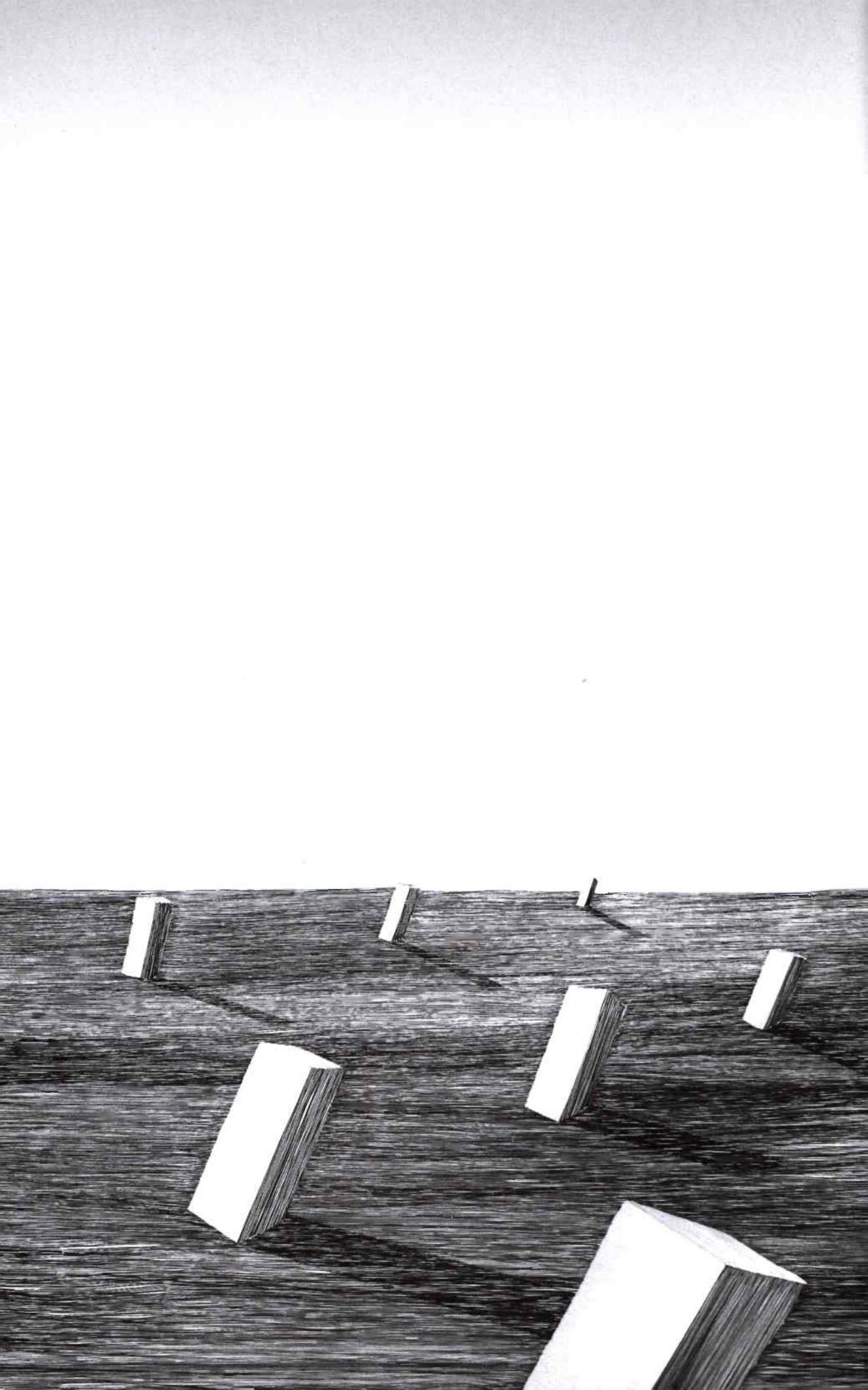


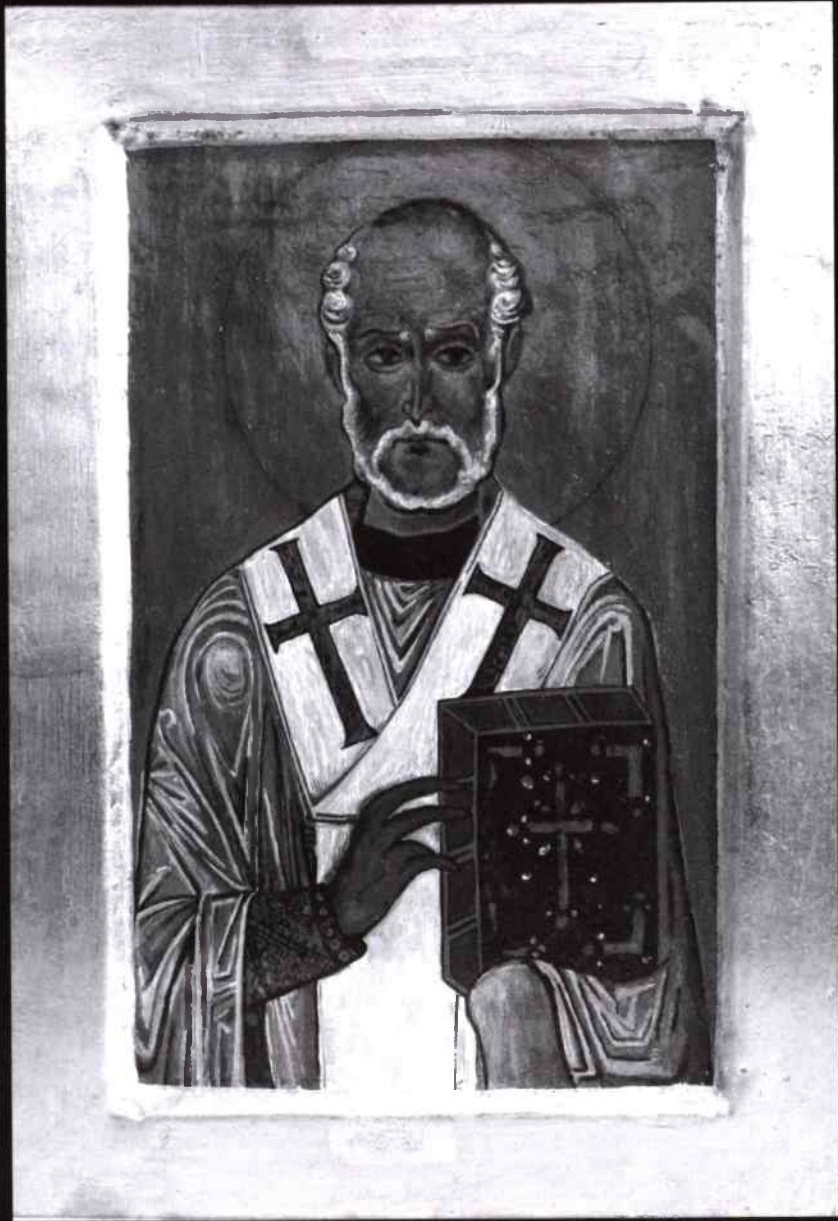
田 INCT  
◎ INCT  
◎ INCT  
GROUND • ROASTED • COFFEE  
CAFFE' MACINATO



田 INCT  
◎ INCT  
◎ INCT  
GROUND • ROASTED • COFFEE  
CAFFE' MACINATO





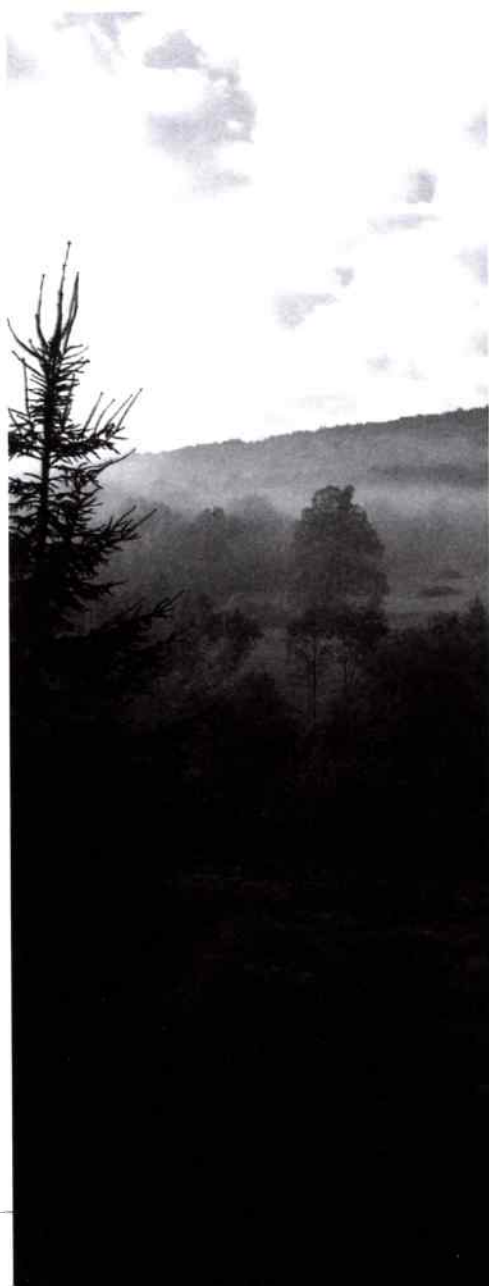






**AB OVO**

Przed pójściem spać  
zgotowałem dwa jajka na twardo,  
żeby mieć co zjeść na śniadanie.  
Nad ranem przyśnił mi się świętej pamięci ojciec  
uradowany z tych jajek na twardo,  
bo, jak wykawił, nie jadł  
takich od dziesięciu lat.  
Była czwarta z minutami, kiedy się obudziłem  
i do teraz nie wiem, czy to jakiś znak,  
czy też po prostu zwyczajne  
świętych obcowanie?



## MGŁA, GÓR SŁONYCH NIE WIDAĆ

Z dnia na dzień  
chcąc nie chcąc rosnę  
lub kurczę się w słupkach  
opinii publicznej.

Jeszcze chyba poszczególny  
w już chyba globalnym.  
Oczywiście, dotyczy to  
także poezji.

Możemy spokojnie  
zasnąć James  
Bond znów uratuje świat.  
Przez najbliższe tygodnie

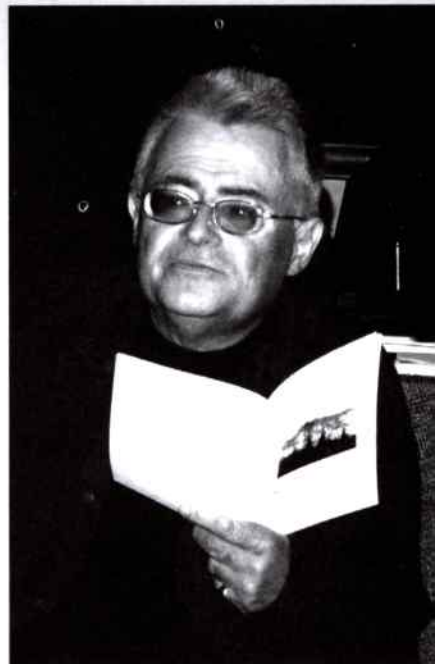
liczy się tylko Mundial  
i kilkanaście zarwanych  
z tego powodu nocy.  
I hektolitry heinekena.

Jennifer Lopez prosi  
*zabij mnie albo wydymaj.*  
Euro zwyżkuje.  
Nad Europą niże.

Zaniosło się, jak  
starej babie na miłość –  
mawiał ojciec przy takiej,  
jak dziś, pogodzie,

kiedy kto nietutejszy  
to i nie zgadnie,  
co się za owym  
brudnomlecznym

nic  
kryje.



WIERZSZE DOTARŁY DO NASZEJ REDAKCJI W KWIETNIU BR.,  
LECZ Z UWAGI NA NASZ PÓŁROCZNY CYKL WYDAWNICZY MOGLIŚMY JE  
ZAPREZENTOWAĆ DOPIERO TERAZ; POCHODZĄ ONE Z TOMU AUTORA PT.  
CZERTEŻ, WYDANEGO 12.X.2006 PRZEZ WYDAWNICTWO LITERACKIE  
W KRAKOWIE

**CZESKIE  
SŁOWA  
- CZESKIE  
OBRAZY**



# „SLEZSKÉ SLUNKO”

## LITERATURA NA ZIEMI OPAWSKIEJ W LATACH 1990-2003 (KONTYNUACJA)

Filozof, historyk kultury, krytyk literacki, teolog-laik, publicysta i tłumacz Vladimír Neuwirth (2.8. 1921, Komárov pod Opawą – 22.5 1998 Opawa) powrócił w roku 1992 z wygnania na rodzinny Śląsk, na plebanię w Opawie-Jaktarzu. W roku 1932 rozpoczął naukę w gimnazjum realnym w Opawie. W roku 1951 ukończył studia teologiczne, jednak zrezygnował ze święceń kapłańskich. Po pobycie we Francji założył *Společnost*, (z franc. La communauté), świeckie stowarzyszenie, którego członkiem mógł być każdy z laickiej społeczności chrześcijańskiej. W roku 1960 nielegalna już podówczas działalność *Společnosti* została odkryta, a jej główny organizator w styczniu 1961 roku został zatrzymany, a wkrótce potem skazany na czternaście lat pozbawienia wolności za zdradę stanu. Podczas pobytu w więzieniu w Valdicach spotyka się z wybitnymi osobistościami życia duchowego, politycznego i kulturalnego. Amnestia objęła go w okresie Praskiej Wiosny w roku 1968. W okresie tym broni doktoratu z dziedziny filozofii kultury „Idea ziemi ojczystej w twórczości Bożeny Niemcowej”. W lipcu 1968 bierze udział w tygodniach akademickich w Salzburgu i Kremsmünsten. Okupacja ojczyzny skłania go do przedłużenia pobytu naukowego na obczyźnie. Na krótko znajduje zatrudnienie w Instytucie Sławistyki w Wiedniu, następnie podejmuje pracę w Instytucie Badań nad Europą Środkową w Leuven. W roku 1971 przenosi się do Frankfurtu nad Menem. Na emigracji V. Neuwirth organizuje sześć Tygodni Akademickich w różnych miejscach Niemiec i nawiązuje głębszą współpracę a opatem Anastazym Opaskiem i ma swój udział w powstaniu stowarzyszenia, a następnie wydania *Opus Bomum*. W roku 1985 zakłada we Frankfurcie nad Menem bibliotekę *Bibliotheca Cyrilo-Methodianna*, która ma na celu przyjąć z pomocą ludziom zainteresowanym historią i kulturą czeską w kontekście środkowoeuropejskim. W czasopiśmie emigracyjnych publikuje szereg esejów i analiz, poświęca się także działalności translatorskiej z języka francuskiego i niemieckiego. V. Neuwirth wydaje w roku 1976 *Dziennik Apokaliptyczny* (Frankfurt nad Menem – Rzym 1998), który stanowi wartą uwagi mozaikę literacko-historycznych rozważań nt. czeskich i zagranicznych autorów i stanowi przy tym odbicie duchowego i ideowego świata autora z lat 1969 – 1975. Na krótko przed jego śmiercią praca została wydana także i u nas (Praga, Triada). Zachował się maszynopis, będący kontynuacją dziennika aż do roku 1989 (pod roboczym tytułem „Z zapisków emigranta”). W roku 1992 V. Neuwirth powrócił na rodzinny Śląsk i przeniósł bibliotekę na plebanię w Opawie-Jaktarzu. Z jego artykułami o charakterze literacko-historycznym można się było spotkać w paru literackich i kościelnych periodykach („Akord”, „Souwislosti” czy „Světlo”). Aktywnie uczestniczył w życiu kulturalnym i naukowym, przykładowo na uroczystym posiedzeniu Instytutu Bohemistyki Wydziału Przyrodniczo-Filozoficznego Uniwersytetu Śląskiego w Opawie w maju 1993 roku, poświęconemu 25 rocznicy śmierci prof. Josefa Vašica, opowiadał o swoich osobistych kontaktach z mieszkańcem pobliskiej Štítiny, znakomitym badaczem literatury barokowej i staroczeskiej. Neuwirth przyznawał się do J. Vašicy jako do jednego ze swoich ojców duchowych i właśnie z okazji jego 110 urodzin przygotował zbiór monograficzny *Profesor Josef Vašica – jego życie, relacje z rodziną i ojczyzną* (1994). W swoich artykułach, publikowanych w czasopiśmie na emigracji

lub w kraju, zajmował się takimi osobistościami jak Vladimír Holan, Albert Vyskočil, František Doucha, Adam Kravařský ze Šlevic, Pavel Křížkovský, Metoděj Habáň, P. Antonín Šuránek, František Václav Mareš, Jan Ryba, Hans Urs von Balthazar czy Reinhold Schneider.

Osoba Jozefa Laicy (ur. 30.8.1884 w Štítnie na Šląsku, zm. 11.4.1968 w Pradze) została w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia ponownie częściowo przypomniana we wspomnianej publikacji *Josef Vašica – jeho życie, relacje z rodziną i ojczyzną* (Opava – Ołomuniec 1994; por. też Martinek 1995: 5), w której ujawnia stosunek Vašicy do rodzinnej ziemi opawskiej, a częściowo w wyżej wspomnianym zbiorze analiz Vašicy pt. *Josef Vašica: Eseje i studia nad literaturą staroczeską* (2001, Opawa, Ostrawa), który przygotował opawski badacz Libor Pavera i monografii *Josef Vašica. Próba portretu.* (2001, Opawa) tegoż autora.

J. Vašica był profesorem starosłowiańskiego przekładu Pisma Świętego i liturgii słowiańskiej. Urodził się w rodzinie mistrza kołodziejskiego. W dzieciństwie wielki wpływ wywarli na niego aktywny pod względem kulturalnym i politycznym ksiądz Antonín Gruda (1844 – 1903) oraz proboszcz i kaznodzieja ludowy Jan Böhm (1824 – 1909). Vašica ukończył gimnazjum w Opawie, gdzie wywarł na niego wpływ historyk, filolog i działacz oświatowy Vincenc Prasek (1843 – 1912), który nie tylko rozpoznał talent chłopca, ale nadał kierunek jego dalszemu życiu i twórczości. Po nauce w gimnazjum, pod wpływem stryja, księdza Eustachego Glabazni, Vašica postanowił skierować się ku kapłaństwu. Rozpoczął studia teologiczne w Ołomuńcu. Tutaj też miał szczęście do nauczycieli, spośród których największym szacunkiem darzył Alojza Musila (1867 – 1944), profesora Starego Testamentu, znanego podróżnika, archeologa i arabisty. Spotkał się też z tłumaczem i wydawcą Jozefem Florianem (1873 – 1942). Po ukończeniu wydziału w roku 1906 rozpoczął pracę jako prefekt w kromierzyskim gimnazjum arcybiskupim. Umożliwiono mu nie tylko rozwijanie talentu pedagogicznego, ale także pracę naukową. W roku 1907 podjął studia na Uniwersytecie Wiedeńskim, gdzie zetknął się z czołowymi filologami-slawistami, którzy ukierunkowali jego przyszłe zainteresowania naukowe. Skierował się ku językom (starosłowiańskiemu, czeskiemu, rosyjskiemu, serbsko-chorwackiemu, łacinie i grece), a do jego nauczycieli należeli Vatroslav Jagić (1838 – 1923), Milan Rešetar (1860 – 1942), Vacláv Vondrák (1859 – 1925), Konstantin Jireček (1854 – 1918) i dalsi uznani slawiści. Wiedeńskie studia filologiczne ukoronował obroną dysertacji pt. *Das Olmützer Evangelistar In seiner Sprache und Entstehung.* (Ołomuniecki ewangelista, jego język i pochodzenie). Po powrocie do Kromierzyża znów podjął pracę jako prefekt w gimnazjum. Podczas swej pracy w Kromierzyżu, Vašica dostał się do kręgu współpracowników morawskiego metropolity Antonína Cyrila Stojana (1851–1923) i został przez niego wciągnięty w działania unionistyczne. W roku 1919 zrobił habilitację i podjął pracę na ołomunieckim Wydziale Teologicznym i Katedrze Języka Starosłowiańskiego i Literatury, gdzie pracował początkowo jako nadzwyczajny (14.9.1921) a następnie zwyczajny (30.6.1928) profesor aż do roku 1937, kiedy to odszedł wykładać teologię do Pragi. W roku 1950 nie przeszedł do nowo organizowanego wydziału teologicznego w Pradze, ale zdecydował się podjąć samodzielną działalność naukową. Został specjalistą od języka starosłowiańskiego i literatury, historii przekładu staroczeskiego tekstów biblijnych, wybranych zabytków staroczeskich, literackich tekstów barokowych, języków i literatur słowiańskich, zwłaszcza literatury rosyjskiej. Potwierdził swoją pozycję jako tłumacz, wydawca i działacz. Badał również gwary na Śląsku, był wydawcą nowych edycji a także interpretatorem postylli barokowych, tzw. śląskich kaznodziejów (B. H. J. Bilovský, T. X. Latoska, D. Nitsch i inni). Pisywał do rozlicznych czasopism (*Hudka, Rozmach, Archa, Akord, Řád, Slavia, Slezský Sborník* i inne). Oprócz działalności edytorskiej i prac analitycznych wydał dwa opracowania syntetyczne *České literární baroko* (1938, wznowienie 1995) i *Literární památky epochy velkomoravské* (1966, wznowienie 1996). Był człowiekiem, który może być przykładem harmonijnego połączenia czystej nauki i duchowości.

Katolicką tradycyjną twórczość literacką w Opawie reprezentuje Mons. Josef Veselý (urodzony 26.07.1929 w Zlámance koło Kromierzyża). Ukończył gimnazjum arcybiskupie w Kromierzyżu. Studia w na tej uczelni, a później na wydziale teologii w Ołomuńcu, umożliwiły mu pierwsze spotkania z osobistościami, których dzieła miały decydujący wpływ na jego późniejsze poetyckie utwory: z Albertem Vyskočilem, Janem Dokulilem (w sześćdziesiątych latach 20. wieku współwięźniem), Janem Čepem, Jakubem Demlem. Studia teologiczne przerwała likwidacja wydziału w Ołomuńcu w 1950 i wstąpienie do PTP. Po zwolnieniu ze służby wojskowej pracował od 1963 roku jako robotnik budowlany, pracownik składu winnego i pracownik galerii. Od 30.01.1961 roku do 03.09 1965 roku był więźniem. Po uwolnieniu i chwilowej poprawie sytuacji dokończył studia teologiczne, a po wyświęceniu pracuje jako ksiądz. W 1991 roku został mianowany honorowym papieskim prałatem. Obecnie jest dziekanem w Opawie. Poezję zaczął publikować w formie małych zbiorów wydawanych własnym sumptem (*Po cestách proroků*, Ostrava 1992, *Boží přátelé*, Svitavy 1993, *Světlo kříže*, Opawa 1997), życzeń noworocznych, kilkustronicowych książek bibliofilskich i form okolicznościowych. Z poetyckich nekrologów wydał w 1991 roku zbiór *In memoriam* (drugie uzupełnione wydanie Opawa 1999), z życzeń noworocznych i wielkanocnych w 1993 zbiór P.E., w 1992 roku wydał poetyckie tomiki *Kamínky do mozaiky* (Praga, Řád) i *Znamení* (Brno, wyd. Salvador). Igor Fic z wierszy z lat 1957-1993 sporządził obszerny wybór *Civilizace lásky* (Kromierzyż) 1996) i opatrzył zwięzłym komentarzem. Innym obszernym wyborem jest *Ve znamení slunce* (Kotelní Vydří 1999), który zawiera oprócz wierszy także nekrologi przyjaciół i oryginalne pozdrowienia poetyckie.

Ten przekrój twórczości całego życia ukazuje jak twórczość Mons. Veselego w sposób szczególny rozwija najlepsze czeskie tradycje poezji duchowej. Na twórczość J. Veselego wpłynął kult maryjny w poezji i stosunek do ziemi ojczystej. Oba te aspekty przenikają się wzajemnie. U podstaw twórczości Mons. Veselego leży chrześcijaństwo i nadzieja, z których to promieniuje franciszkańska czysta niepohamowana radość, wynikająca z rzeczy zwykłych, przyjaźni, miłości i innych darów Bożych, która nie przygasa ani nad grobami przyjaciół, ani nad łóżkiem chorego czy murami komunistycznego więzienia. W sposób oczywisty wynika to z wiersza *Oblicze*:

*Z Twych oczu Twa dusza spogląda  
i w poniżeniu siła zniewalająca  
ukazuje Weronice wewnętrzne oblicze  
oblicze odbijające ludzkie wady  
odpuszczające i największe zdrady  
oblicze ubiczowane nienawiścią  
co jawi prawdę oczywistą  
że Boża miłość niestrudzenie  
towarzyszy nam codziennie  
dotykem miłości pełnym  
na drodze krzyżowej.*

Kolejnym autorem nurtu katolickiego jest P. Jindřich Jenáček (ur. 22.12.1917 roku w Dědicach). Zdał maturę w roku 1936 w arcybiskupim gimnazjum w Kromierzyżu. Po studiach teologicznych i ordynariacie w roku 1941 w Ołomuńcu, pracował jako duszpasterz w kilku miejscowościach na Wołoszczyźnie Morawskiej i środkowych Morawach (Zlín, Otrokovice, Kojetín, Dřevohostice). 28.10.1949 roku został zatrzymany przez Służbę Bezpieczeństwa i w tymże roku skazany na 25 lat więzienia. Więziony był w Borach, Leopoldowie, Jachymowie i Mirowie. W roku 1960 objęła go amnestia (w rzeczywistości został objęty zwolnieniem warunkowym na okres dziesięciu lat), w latach 1960 – 1985 pracował jako robotnik (ceglarz, kopacz, zbrojarz,

robotnik „na czarno”, ekonomista, magazynier, stróż nocny itp.). Kiedy ponownie zezwolono mu na pracę duszpasterską, związał się z Domem Charytatywnym sióstr franciszkanek w Mladecku pod Opawą, gdzie mieszka do dnia dzisiejszego. Większość wierszy Jenáčka przemycana była z więzienia w postaci mikroksiążeczek na papierze z papierosów (200 stron), albo też zachowała się w pamięci współwięźniów (*Sonety Josefovi* zapamiętane przez S. Ledabyła). Zbiór poetycki *Magnalia Dei I. Za mrakem světlo* (Jáchymov obóz I, 1953-56) został wydany przez wydawnictwo *Cor Jesu* w Czeskim Cieszynie w r. 1996. Oprócz tego tomu, w *Cor Jesu* został także opublikowany w roku 1998 zbiór *Magnalia Dei II. Světlo a Radost i Magnalia Dei III. Nic než světlo* (Mírov 1956-1960). Poezję P. Jindřicha Jenáčka porównywalna jest ze współczesną czeską poezją pisaną przez księży, o której niewiele się mówi, a jeszcze mniej wie. Tworzyli ją np. Josef Veselý, Franiek Daniel Merth, Jiří Vicha, arcybiskup Jan Anastáz Opasek i inni. Z debiutanckiego tomiku pochodzi wiersz *Śmiech, sumienie i pies*:

*I nie mam swojego nic  
co mógłbym ci dać  
chyba tylko płacz  
co obejmuje swój grzech  
kiedy na barkach ciszy  
wynoszą ciało mnisze  
a cieniuteńki śmiech  
jest jedynym z rodziny  
który idzie za nimi  
przez wioski morowe  
wynosząc pod niebiosą  
swoją prawie ludzki żal.*

P. Jiří Vicha urodził się 12 czerwca 1923 roku w Skřípovie pod Opawą. W latach 1934-1939 uczył się w gimnazjum arcybiskupim w Pradze-Bubenczu. Wiersze zaczął pisać w latach szkolnych, przestał po wstąpieniu do klasztoru kapucynów w Pradze na Hradczanach w roku 1940. W roku 1941 został przeniesiony do Ołomuńca na wydział teologiczny, następnie do Opoczna (w r. 1941), gdzie studiował teologię. Śluby zakonne złożył w maju 1945 roku. Po wojnie wstąpił do praskiego bubeneckiego gimnazjum, zdał maturę i wrócił na ołomuniecki wydział teologiczny. W czerwcu 1948 roku został wyświęcony na księdza w Katedrze św. Víta w Pradze. W 1950 roku zaczęła się likwidacja przez państwo zakonów, w kwietniu 1950 został zajęty hradczański klasztor, a zakonnicy zostali deportowani. P. Jan Evangelista (imie zakonne) Vicha – do Bromowa. We wrześniu 1950 roku wstępuje do PTP w Komarnie na Słowacji, zwolniony w maju 1953 z powodów zdrowotnych. Leczył się w Ostrawie na Fifejdach, po opuszczeniu szpitala został księgowym w zakładzie kominiarskim, od roku 1955 był księgowym w szpitalu witkowskich hut do swojego aresztowania w 1961 roku. W międzyczasie (w 1971 roku) zdał egzamin w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Ołomuńcu, organizował tajne zakonne studia, zakładał kręgi i zgromadzenia, jego działalność była śledzona przez Służby Bezpieczeństwa. Został skazany na 14 lat, karę odbył we Valdicach. Spotkał się tam z poetami (Janem Dokulilem, Jozefem Kostohryzem, Jozefem Veselým i innymi), którzy zachęcali Vichę do tworzenia poezji. W więzieniu powstała większość jego wierszy, które zapamiętywał, a po uwolnieniu we wrześniu 1967 zrekonstruował. Dopiero po rewolucji jego wiersze zostały wydane w zbiorze *Krajina milost* (pierwsze wydanie Ołomuniec 1991 r., drugie wydanie Kotelní Vydrří 1994). Od października 1967 do stycznia 1968 roku pracował jako księgowy w akademikach Wyższej Szkoły Górniczej w Ostrawie, od lutego 1968 roku do lutego 1969 znów przebywał w witkowskim szpitalu. W lipcu 1969 powrócił do

działalności duchowej i został mianowany wikariuszem w Fulneku, w roku 1984 został proboszczem parafii Fulneku. W 1976 został prowincjałem braci mniejszych kapucynów. Dzięki Vladimírowi Justli poezja Vichy zabrzmiała w praskiej Violi w lutym 1971 roku, jego wiersze pojawiały się w prasie i czasopismach samizdatowych, np. zostały wydane w ołomunieckiej samizdatowej publikacji *Texty přátel* i w praskim samizdatowym czasopiśmie *Vokno* w tomiku *Enato* (Ołomuniec 1987), który redagował Radoslav Valušek. Po roku 1990 ukazał się fragment twórczości Vichy w antologii czeskiej liryki duchowej *Krajiny milosti* (Kotelní Vydří 1994), jego wiersze były recytowane w radiu, pojawiły się na stronach kilku czasopism, w Violi w maju 1993 roku odbył się wieczór poezji *Krajiny milosti* nazwany zgodnie z tytułem książki. Ojciec Vichy uczestniczył w wielu spotkaniach literackich w Pradze, Brnie, Ołomuńcu, Opawie i Fulneku. W wlehradzkim wydawnictwie Refugium został wydany w 1997 roku wybór wierszy Vichy *Krajina milost* z dołączonymi fotografiami Tomasza Vážana. W 1997 roku stan zdrowia Vichy pogarsza się, 28.09.1997 roku umiera na probostwie w Fulneku.

Eduard Zacha w posłowie do zbioru *Krajina milost* o Vichowej poezji napisał: *Jego poezja jest podobna do lekliwego ptaka, przeganianego ze swojego gniazda hałaśliwymi odgłosami wbijania gwoździ, szczekaniem myśliwskiej zgrai, przekleństwami żniwiarzy... odlatuje do cichej krainy a w niej możemy usłyszeć odgłos tętna zranionego serca, spadającej rosy z polnych kwiatów, szum anielskich skrzydeł. Nieomylnie poczujemy objawione przez poetę Słowo, które otwiera kraty i odwala kamienie* (Zacha 1991).

Poeta i ksiądz oddaje Słowo ciszy, jak w wierszu *Tiší*. w ciszy rozwiązuje też kwestie relacji między powołaniem księdza a poezją.

*Tylko drzewo jest ciche  
i baranek  
i Słowo  
Czy drzewa są dlatego  
Że jest ogień?  
baranek są dlatego  
że są oprawcy?  
Czy słowa są dlatego  
Że są niemi?  
Czy wiersze  
pisane są dla milczenia?*

(z WIESZA *Tiší*)

Do najbardziej doświadczonych uczestników opawskiego życia literackiego należy Jaroslav Směja-Lončar (10.12.1911 Suché Lazce). Do literatury wpisał się powieścią *Zamžené hroudy* (1942), która spotkała się z przychylnym odbiorem czytelników i krytyków. Jego proza jest rustykalnym obrazem biednego przedwojennego Śląska, wpisuje się w nurt przedwojennej katolickiej prozy Durych. Směja-Lončar pracował długi czas jako pedagog, ważna jest także jego działalność naukowa, praca oświatowa i polityczno-kulturalna.

Do kierunku chrześcijańsko-humanistycznej twórczości literackiej należy także opawska poetka Dagmar Bezdičková (ur. 27.11.1928 České Budějovice-Čtyři Dvory – 05.12. 1995 Opava). Dzieciństwo spędziła we Francji, po wojnie wraz z rodziną wróciła do Czechosłowacji. Dopiero w podeszłym wieku wydała zbiór wierszy *Kytička* (Opava 1990). Zbiór został wydany ze środków własnych w kilku powielonych egzemplarzach w 1988 roku, w 1991 wydało je Wydawnictwo Listková edycja M.M. w Opawie, nakładem własnym autorki. Autorka w swoich lirycznych wierszach uwzględniła nauki z kwiatków sławiących Stworzyciela i połączyła je z chwałą Serca Zbawiciela:

*Prostym kwiatkiem lud cię nazywa i  
pierwszy wiosenny bukiet wiąże,  
bukiet uroczy i wonny.  
Obym i ja była tak skromnym a  
mimo to wonnym kwiatkiem ogrodzie Bożym  
Dla chwały Bożego serca!*

*Rozbrzmiewaj dla serca Jezusa, rozbrzmiewaj pieśni  
radosna, zgodnie z jego słowem,  
łaskę wszystkim rozdając.  
Tobie niech będą dzięki, O Serce Przenajświętsze,  
W Tobie nie będzie pochwalon, Zdrój łaski najgorętszy,  
(Z WIERSZA FIOLEK)*

Na ziemi opawskiej i w całym obszarze Sudetów mieszkała do końca II wojny światowej liczna grupa obywateli mniejszości niemieckiej. Z niemieckiej rodziny pochodzi piszący po czesku autor Josef Richter (ur. 04.03.1948 w Karlovicach koło Vrbna pod Pradziadem). Jego rodzice wrócili po wojnie do rodzinnej miejscowości dopiero w 1947 roku. Części dzieciństwa i młodości przeżył w Heřmanowicach, gdzie jego rodzice przeprowadzili się. Jesioniki wspomina jako swoją ojczyznę. Z tego okresu czerpie pomysł do książki *Něžná vina*, którą jednak stale poprawia. Szkołę podstawową skończył w Zlatých Horach, gdzie miał problemy z powodu swojego pochodzenia i stosunku do religii.

Czeskiego nauczył się od proboszcza: „Wiecie, czeski jest piękny. Ma dużo możliwości wyrażania piękna kobiecego ciała.” (z rozmowy z autorem). J. Richter chciał w dzieciństwie zostać marynarzem, ponieważ jego ojciec służył w czasie wojny w Kriegsmarine. W szkole powiedziano mu, że jego ojciec wprawdzie był marynarzem, ale po złej stronie, więc miał zakaz kształcić się w tym kierunku. Następnie rozważał studia prawnicze i dlatego na plebani wypożyczał *Prawo rzymskie* i wszystkie dostępne książki, które dotyczyły prawa. W szkole go jednak uświadomiono, że z powodu pochodzenia swoich rodziców na prawo się nie dostanie, nawet gdyby szkołę średnią ukończył z wyróżnieniem. Nie został także maszynistą, choć to rozważał, ponieważ maszynistą była w czasie wojny jego matka. Na koniec dał się namówić na pracę w ostrawskich kopalniach i w pałacu w Szilherzowicach zdobył górnicze kwalifikacje. Jako uczeń zaczął parać się twórczością literacką. Wreszcie nauczył się naprawiać zegary i stał się zegarmistrzem, ten zawód uprawia do dziś. Mieszka w Opawie.

J. Richter jest autorem powieści *Kárkaři* (Opawa 1998). Tematem książki są losy ludzi żyjących samotnie i zapewniających sobie byt zbieraniem odpadów i ich sprzedażą w punktach skupu surowców wtórnych. Tych ludzi nazywa się wózkarzami dlatego, że pchają przed sobą stare wózki i wózeki. Między nimi przymuszony okolicznościami znajduje się i stary profesor, który swoją mądrością zyskuje autorytet i przychyłność niektórych członków grupy. Na przykładzie jednej z postaw autor ukazuje problematykę stosunku Czechów i Niemców.

Szereg utworów prozatorskich Richtera pozostaje w rękopisie. Wraca w nich do okresu powojennych wysiedleń rodzin niemieckich czy też mieszanych. Jednak najczęściej opisuje autentyczne losy ludzi, nie tylko z terenu Jesioników.

(CDN.)

PRZEŁOŻYŁ JACEK MOŁĘDA



- 2x V10,20 - 25  
wg R14-0253-031 00

12-S01.06

## **W OKU WAŻKI**

W oku ważki kształty przywdziewają  
szaroniebieskie zroszone wiatrówki,  
tęczowa ciężka rzecz  
podobna do gałęzi sosny.  
Rozkołysana barwa, wachlarz krawędzi.

Jakikolwiek ruch, wahanie, wdech  
zarejestruje czarno na białym:  
litera tuszem, nasycona nić  
prześląka papierowy wiatr.

12/1999

## **W JASNYCH LASACH**

W jasnych lasach na polach  
są głowy pasażerów z gładkiego szkła,  
dymne wazy z moją twarzą  
i oczyma, w których

myszołowy nisko nad wysprzątanym terytorium,  
zupełnie takie same odcienie brązu,  
bażant w rozległych krzakach na skraju,  
dwie szare czaple, na zakręcie,

w ukryciu, sroka i lis, dwie sarny  
smutnie spoglądające spod nasypu.  
Nie wiem, co jest za oknem pociągu  
w jasnych lasach.

21/9/2002

## NAPISANO W DNIU ŚMIERCI

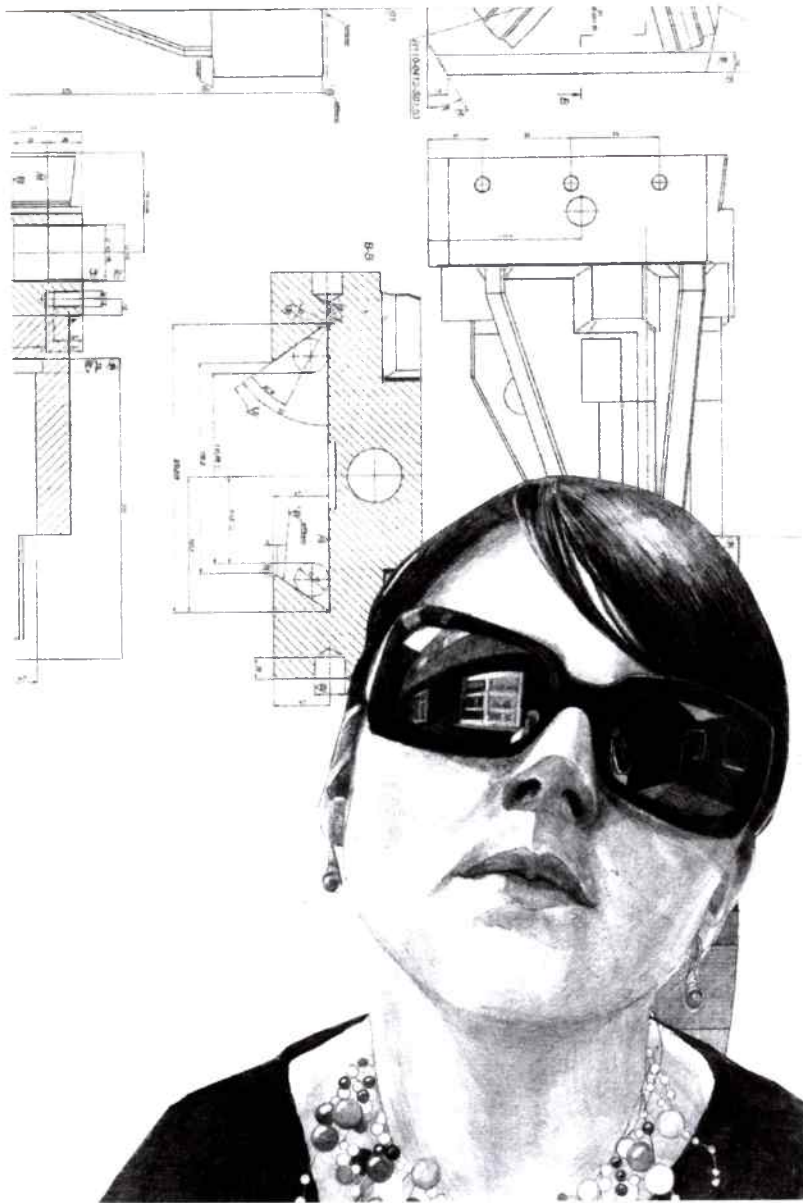
Oni wracają po nas, w legiony naszych wydechów,  
które każdej nocy tryskają spod pierzyny.

W otwartych ustach błyska im zimne szkiełko,  
w sukniach uszytych na miarę przezrzystego oddechu

gaszą świecę i zamykają okno, obiema rękami  
do błysku polerują nasze pochrapujące materie.

1/9/2001

PRZEŁOŻYŁA JOANNA MAKSYM-BENCZEW



## Petr Borkovec

jest jednym z najwyrazistszych poetów debiutujących w latach 90-tych. Urodził się w roku 1970 w Louňovicach pod Blanikiem, dorastał w Pradze, dziś żyje w Černošicích pod Pragą. Studiował bohemistykę w Uniwersytecie Karola w Pradze. Od 1992 jest redaktorem czasopisma poświęconego kulturze „Souvislosti”. Pracował jako redaktor wydawnictwa „Lidových novin” i „Literárních novin”, prowadził rubrykę kulturalną w „Lidových novinach”. Borkovec jest również tłumaczem, przede wszystkim poezji rosyjskiej, ale również koreańskiej oraz dramatów antycznych, przełożył razem z M.Havrdą „Króla Edypa” Sofoklesa oraz trylogię „Orestea” Ajschylosa. Jego wiersze tłumaczone były na wiele języków świata, znalazły się w między innymi w polskiej „Dekadzie” i raciborskiej antologii „Od słowa ke slovu”, w Niemczech ukazały się dwa tomiki, trzy wybory poezji i dwa zbiory eseju i prozy.

Petr Borkovec jest autorem siedmiu tomików poetyckich : „Prostírání do tichého” (1990), „Poustečna, věštrina, loutkárna” (1991), „Ochoz” (1994), „Mezi oknem stolem a postelí” (1996), „Polní práce” (1998), „A. B. A. F.” (2002), „Needle-Book” (2003) oraz wyboru wierszy „Vnitrozemi: Vybrané a nové básně 1990-2005” (2005).

Poezja Borkovca została oceniona między innymi prestiżową nagrodą Jiřego Orteny za zbiór „Ochoz” i nagrodami niemieckimi za tomik „Polní práce”, natomiast przekłady: nagrodą Josefa Jungmanna drugiego stopnia (za tłumaczenia utworów Władysława Chodasiewicza) i Premią Tomáša Hřácha (za przekład „Orestei”).

W 2003 roku gościł w Raciborskim Domu Kultury w ramach polsko-czeskiego projektu pt.: „Prowincja – matczynik słowa”.

Publikowane w „Almanachu prowincjonalnym” wiersze pochodzą z tomiku „Needle-Book”. (jmb)

# FELIETONY OŁOMUNIECKIE

## (Z POCZĄTKU LAT DZIEWIĘDZIESIĄTYCH)

### WSPOMNIENIA



**G**dzie podzieje się dusza gospody, kiedy wyniosą krzesła, stoły i bilard, zdemontują szynkwas i automaty do gier, a gospoda zamieni się w gruzy, zasypane przez buldożer pod wielopoziomym skrzyżowaniem?

Czy duch gospody „U krále Ječmínka” unosi się nad nieistniejącym placem nieistniejącej armii dwakroć nieistniejącego państwa? Czy wisi w powietrzu jakaś aura po minionych państwach, gospodach i pokoleniach?

Do otworu w automacie z łatwością wchodziła korona, a wcześniej także mniejsze monety, a grający z odpowiednio dobraną siłą uderzał palcami w metalowy krążek. Korona wlatywała do przeszklonej przestrzeni, wprawiała w ruch zestaw kółek zębatach i mosiężnych dźwigni. Jeśli moneta wpadła do właściwego otworu, u spodu wysypywała się cała garść monet. Zanim grający nauczył się uderzać metalowy krążek z właściwą siłą, właściciel zarabiał sporo pieniędzy. Jedynie doświadczony kelner, który grywał z rzadka, miał do tego rękę. Automat był jednym z najwyższych osiągnięć mechaniki stosowanej.

Automaty do gier dożywały swoich dni w latach siedemdziesiątych, w Ołomuńcu, zdaje się w hali targowej. Nastąpiła przerwa, halę targową w osobliwy sposób poprzedzielano, po czym nadeszła epoka automatów elektronicznych, wyposażonych w prosty komputer.

Do kawiarni „Opera” wchodziło się długim wyłożonym kafelkami korytarzem, w którym mieszały się zapachy z kuchni z zapachami z ubikacji, mieszanka charakterystyczna dla pewnego typu ustroju. Następnie przechodziło się korytarzem koło szatni, po poplamionej wykładzinie. Szatnia była na lewo. Jej personel roznosił okrycia po lokalu już o dziewiątej wieczorem, bowiem spieszył się na autobus. Po paru krokach stawało się przed wyborem. W prawo punkt handlowy z telewizorem. W lewo sala jadalna, która miała tę przewagę, że w niej telewizora nie było. Dopóki piwo było tanie, schodzili się w niej ci, którzy w innych okolicznościach tworzyliby młodą bohémę intelektualną. Trudno było nauczyć się języka obcego, dzieła Alberta Camusa, Franza Kafki i Jeana-Paula Sartra zostały z bibliotek usunięte albo je rozkradziono. Ten kto wpisał się na listę, żeby książkę zamówić, czekał tak długo, że nie zauważył, kiedy miał już rodzinę i z tego wyrósł. Dlatego też mówimy o ówczesnej młodej bohémie inteligenckiej w trybie przypuszczającym.

Dziś Ołomuniec ma swoją najmłodszą inteligencję, która bohemą nie jest; jej członkowie latają do Ameryki, skąd wracają jako wegetarianie, a wieczorami biegają wzdłuż rzeki Morawy. Po prysznicu czytają Alberta Camusa i Franza Kafkę w oryginale; Sartre'a nie czytają w ogóle.

Po premierach teatralnych przychodziła do „Opery” w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych pewna liczba starszych pań i panów w strojach wieczorowych, utrzymywali, że w tym miejscu była ongiś kawiarnia.

Gospodę „U muzea” zamykano w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych bardzo wcześnie, tak więc wpadali tam studenci, którym wypadł wykład, pracownicy przedsiębiorstwa komunalnego, w ogóle ci, którzy musieli się napić, bez względu na godzinę. Gospoda „U muzea”, a raczej chyba „Ponorka” ( tj. „łódź podwodna”) także miała swoją legendę; mówią kwitło tu w latach sześćdziesiątych życie intelektualne. Nie dało się tego potwierdzić, gdyż najbliżsi rzekomi świadkowie mieszkali w Austrii, a Austria była wtedy bardzo daleko.

Gdyby „Opera” zechciała znów stać się kawiarnią, musiałaby przemierzyć kilka dziesięcioleci drogi powrotnej. Do postawionego budynku trzeba by koniecznie importować właściciela kawiarni z Wiednia albo z Tel Awiwu. Duch czasu problem ten pokonał.

W „Ponorce” jest znów gwarno do późna w nocy. Jednakowo wyglądające włosy dawnych stałych klientów urozmaiciły różnie na różne sposoby ostrzyżone głowy i fryzury, które byłyby nie do pomyślenia, nawet w dobie późnej pierestrojki.

Tych najlepszych tam jednak nie ma, poświęcają czas na jogging i języki obce.

„Opera” należy do sportowców.



# UNIWERSALNY JUBILAT

**K**iedy tylko to możliwe, kieruje swoje kroki do parku. Wiosnę postrzega nie jako wiosnę, ale jako obietnicę, symbol przyszłego rozkwitu i nie dającego się stłumić zawirowania. Jesień nie jest dla niego jesienią, ale mementem, symbolem umierania i błędnego koła, którym się toczy wszelkie istnienie. Dzięki dżdżownicy i kosowi otrzymuje twardą lekcję na temat okrucieństwa życia i nieubłaganego losu wszystkich stworzeń. Dzięki łobuzerskim, lecz niepokąznym wróbelkom przemawia świergotliwie do niego nadzieja na wiecznie odradzającą się naturę. W alejach kasztanowych, wzdłuż sędziwych murów obronnych wyciągają się ku niemu kościste palce gałęzi i głaszczą go po skroniach sam majestat przyrody.

Kocha spacerować po starym mieście. W krętych uliczkach, a zwłaszcza miejscach, gdzie według podania stał ongiś dom kata, czule przemawia do historii. Historia przysłuchuje się cierpliwie pełnym szczegółów monologom, żeby za każdym razem cicho przyznać rację, mówiąc: „Tak to właśnie jest...”

Nawet w ciężkich czasach nie zdjął w domu ze ściany portretu Prezydenta Wyzwoliciele. Prezydent Wyzwoliciel umiał elegancko się ubrać i nosił wypielęgnowaną brodę. Pozwalał sobie jak wiadomo jedynie na małą ekstrawagancję w postaci filiżanki czarnej kawy. Nawet córka Alice nie miała o to pretensji.

Właściciel portretu nie ukrywa faktu, że na swojej drodze życia bezustannie przeskakiwał przez kłody, które epoka rzucała mu pod nogi. Na przekór nim zdobył jednak tytuły naukowe i sprawował funkcje publiczne, bo nawet obalony reżim nie mógł nie uznać jego fachowej przydatności. Na przekór wysokim tytułom naukowym i funkcjom publicznym został jednakże outsiderem. Przez dwadzieścia lat obalony reżim ograniczał mu wyjazdy za granicę. W ciągu dwudziestu burzliwych lat jubilat tylko raz był w Wiedniu, dwa razy w Leningradzie i raz w Sofii.

Darzy szacunkiem poetów, którym jakoś się udało. Od kiedy Ivan Jirous-Magor wystąpił w drugim programie Telewizji Czeskiej, uznaje także Magora.

Nie szukał towarzystwa dysydentów, gdyż ludzie ci niedostatecznie ostro występowali przeciw komunizmowi. Nic dziwnego. Sami byli komunistami.

Bardziej konsekwentnie od innych dręczony był przez tajną policję, bo mianowicie przez gęstą siatkę zazdrośników; demoniczna intrygantka pozostawała w tyle. W dniu, w którym odtajnią archiwa, wyruszy do Pardubic. Niczego na swój temat nie znajdzie. Jednak nie wpadnie w apatię. Darzy szacunkiem artystów, którym udało się zdobyć najwyższe uznanie. Najwyższe uznanie, to nie tytuł narodowego czy zasłużonego artysty, ba, nawet nie funkcja przewodniczącego związku twórczego. Mamy raczej na myśli przede wszystkim Maxa Švabinský'ego, jednak nie dlatego, że został mianowany Artystą Narodowym. Najwyższe uznanie zdobywa twórczość tych artystów, którym państwo zleciło stworzenie swoich banknotów. Reformy monetarne przychodzą i odchodzą, lud się burzy, następnie daje się ułagodzić, a sztuka trwa.

Niewielu jest nie skompromitowanych fachowców, więc można by kandydować do jakiejś organizacji, za której pośrednictwem lud kieruje sam sobą. Wydaje mu się, że mógłby pełnić w Radzie Miasta rolę mistrza ceremonii, albowiem jego mądrość nie może nigdzie indziej znaleźć ujścia.

Doświadczony sztab wyborczy wpisze go na ostatnie miejsce na liście, więc wybrany nie zostanie. Pomimo to jubilat pozostanie sobą i dożyje dalszych jubileuszy.

A o jego jubileuszach będzie się pamiętać, choćby nie wiem co.

(PIERWOTNIE NAPISANE DLA OŁOMUNIECKIEGO BIULETYNU KULTURALNEGO  
KDY-KDE-CO; NIECO POPRAWIONE)  
PRZEŁOŻYŁ JACEK MOŁĘDA



**ODPŁYWAJĄC Z POROS  
(SZEŚĆ UJEĆ ŚWITU)**

ANI

kiedy na wygodnych kanapach  
w klimatyzowanym salonie dolnego pokładu  
zasnęliśmy z T. snem sprawiedliwego pasażera  
„Ionnian Ferries”

Ty wyżej i na zewnątrz  
odbierałaś poród słońca na wodach  
powolny pochód blasku  
brzoskwiniowy brzask

najpierw wyczekiwanie  
tupot dziecięcych stópek za zasłoną z pluszu

spiczasty stożek który był wulkanem  
udaje nieśmiało wulkan jeszcze raz

na grzbiecie góry staje krążek żaru  
jak pachnący plasterek na szklance z koktajlem

radosny najazd cienistych rydwanów  
na plaże ze szwadronami śpiących parasoli

zanurzenie przy brzegu różowego palca  
w wodzie kiedy dopiero rozpuszcza się kamień

i wreszcie - wytworny ślizg po powierzchni luster  
cud idący od wyspy do wyspy i z niskości ku niebu

oddzielający nasz świat od przeraźliwego ogromu  
nieświata

1 WRZEŚNIA 2006





## NIGDY NIE ŚMIAŁEM GO NAŚLADOWAĆ

Kochany za humor i szczerość,  
za radość potrzebną do zbawienia.  
Zdumiewał się jak chłopiec powagą kościoła  
i jak niedowiarek szydził z pobożnego kiczu.  
Poeta nieco barokowy i nieco ludowy.  
Otwierały gęby zdziwione anioły,  
wzruszali się ludzie prości, kacyki i menele.  
Nigdy nie śmiałem go naśladować.  
Na wieść o jego śmierci  
składam potłuczone kryształki słów.  
Ciemna noc roziskrzona śniegiem.  
Z poczwarki łądygi na parapecie  
wyfrunęła fioletowa orchidea.  
A Pan Bóg ciągle inny,  
Bo niewidzialny i oddany bez reszty.

21.01.2006

## DO ANNY KAMIENSKIEJ

Jak zwracać się do umarłej –  
szanowna i droga Pani  
czy po prostu Anno?  
20 lat po śmierci poetki czytam jej książki.  
Pamiętam, jak chrząkał ksiądz Jaworowski,  
katecheta przywoływany w wierszu o dwóch nieskończonościach.  
Dziwił się, że chodzę do Unii, którą wiele lat po wojnie  
uważał ciągle za szkołę dla dziewcząt.  
Teraz pewnie znowu byłby zaskoczony,  
że pojawia się w wierszu jak pająk z kąta.  
Lubię stary dom pod rozłożystym bukiem,  
poznałem sagę pokoleń i zawiłości rodzinne.  
Nie spotkaliśmy się ani w Lublinie ani w Świdniku,  
jestem czytelnikiem, jednym z wielu.

W maju 1986 roku kiedy wstępowałaś na wzgórze wiekuiste,  
świat zamarł po wybuchu w Czarnobylu.  
Nie wiedzieliśmy, że już kończy się epoka.  
Wtedy właśnie wyjeżdżałem na długi pobyt w Dolinie Renu,  
gdzie przed najazdem barbarzyńców była granica świata.  
Na wykłady z filozofii współczesnej jeździłem drogą  
zbudowaną przez rzymskich żołnierzy.  
Spotykałem emigrantów, ale sam czułem się  
jak Janicjusz lub Kochanowski oswojony z wielością języków.  
Nad Europą umacniał się słoneczny wyż Jana Pawła II.  
Jak w horrorze, co wbrew regułom dobrze się kończy,  
upadł komunizm. Na tle Alp piliśmy szampana  
na wiwat dla świata, który nadchodził.

Notatnik jest ważniejszy niż myślał arbiter z Berkeley.  
Poezja wyprzedziła doświadczenie religijne.  
Poszukiwałaś zmarłego męża, a przemówił Bóg Biblii.  
Tak naprawdę, dopiero w ciemności,  
która świeci nad wszystkim, co przeżyliśmy,  
możemy spotkać się Anno.

11.05.2006.

# WOKÓŁ NOWEJ BRAMY



**Do** początków XIX stulecia ul. Nowa skończyła się na 'Nowej Bramie', usytuowanej u zbiegu z ul. Basztową i Leczniczą. Brama ta, o której wzmianka pochodzi z 1351 r., była jedną z trzech bram fortyfikacji miejskich Raciborza. W kierunku wschodnim odchodzi dzisiaj ul. Basztowa i przy niej jedyna, w całości zachowana, baszta, a obok niej kawałek dobrze utrzymanego muru obronnego. Jeszcze na początku XIX wieku takich wież obronnych było dziewięć. Stanowiły one istotne elementy fortyfikacji miejskich.

Zachowana baszta powstała ok. 1574 r. i została wzniesiona na wcześniejszym fundamencie. W latach 1896-1900 wieża była poddawana częściowej rekonstrukcji, a w 1945 r. podlegała renowacji. W czasie prac remontowych, przeprowadzonych w latach 1994-96, odkuto tynki zewnętrzne od strony północnej. Wtedy okazało się, że baszta pierwotnie miała tylko trzy ściany zewnętrzne a w kierunku do miasta była otwarta. Jednak od dawna baszta służyła jako więzienie miejskie, na co wskazuje dawna nazwa ul. Basztowej – „Stockhausstraße”, czyli „ul. Wiezienna”. Rzeczywiście jeszcze w XIX wieku baszta, wraz z piętrową dobudówką, służyła jako miejski areszt. Opis z 1880 r. wskazuje, iż w baszcie były cztery kondygnacje, na każdej znajdował się 'lokal aresztancki'. W przyległym budynku było mieszkanie dozorczy więziennego, zwanego „Stockmeister”, wielkie pomieszczenie aresztanckie bez okien oraz po dwa większe i mniejsze pomieszczenia.

Zanim ul. Basztowa zwała się „Stockhausstraße” była nazywana „Büttelstraße”; zaś w ten sposób określano woźnego sądowego albo siepacza, oprawcę. Jeżeli uwzględnimy, że ul. Basztowa doprowadzała do „Scharfrichtergasse”, a więc do 'Katówki', to wiele wskazuje na istnienie jakichś powiązań. Ze starej książki gruntowej, przechowywanej w archiwum Sądu Rejonowego, dowiadujemy się, że przy dzisiejszej ul. Węglowej pod nr. 10, mieściła się „Scharfrichterei” – siedziba kata.

Nie budzi wątpliwości – Racibórz miał niegdyś swojego kata. Znane są nazwiska niektórych katów miejskich. W 1770 r. katem był niejaki Ignacy Wildner, który otrzymywał uposażenie w wysokości 24 talarów. W 1814 r. właścicielem domostwa przy 'Katówce' był „kat Jan Wildner”, syn Ignacego. Józef Schwan, również kat z zawodu, kupił 'Katówkę' w 1829 r. Dwadzieścia lat wcześniej w dziejach Raciborza występuje kat Gotfryd Schwan, wszelako ostatnim katem, stale mieszkającym w Raciborzu, był zapewne Józef Schwan, który zmarł ok. 1840 r. Trzeba jeszcze wspomnieć, że kat był uznawany za rzemieślnika i w związku z tym przynależał do cechu. Generalne tabele statystyczne Śląska z 1787 r. wymieniają w Raciborzu wśród 'rzemieślników poza fabrykami' 3 perukarzy, 2 piernikarzy, 5 szmuklerzy, 4 kołodziejów, 3 rymarzy, 5 siodlarzy także „1 kata”.

Najbardziej znanym raciborskim katem był zapewne Jakub Glory – człowiek „o uczciwym nazwisku”. Żył w XVII wieku, a poza wykonywaniem swojego rzemiosła był słynnym uzdrowicielem. Swoje umiejętności wykorzystywał lecząc przedstawicieli szlachty, ale także ludzi ubogich. Ze względu na wykonywaną pracę kaci byli zaliczani do ludzi 'nieuczciwych' czy 'nieczystych'. Cesarz Leopold I (1658-1705) wydał dnia 4 stycznia 1685 r. dokument, w którym nadał raciborskiemu katowi Jakubowi Gloryemu i jego potomnym prawa przysługujące „uczciwym obywatelom”.

lom”. W dokumencie czytamy, że Jakub Glory może obecnie, propria sua industria (przez swoją pracowitość) zdobywaną wiedzę i umiejętności w zakresie medycyny wykorzystywać do leczenia bliźnich na równi z rzeczywistymi medykami i chirurgami. Jego dzieci natomiast, obecne jak i przyszłe, mogą poświęcać się rzemiosłom, jak i innym uczciwym działalnościom, a nawet sztukom wyzwolonym. Gdyby zaś ktokolwiek karygodnie występował przeciwko czci Glory’ego albo jego potomków, ma być skazany na zapłacenie grzywny w wysokości 10 marek w zlocie, która to grzywna będzie podzielona po połowie między poszkodowanego i królewską kamerę. Pięknie sporządzony dokument cesarski, opatrzony pieczęciami lakowymi, znajduje się nadal w raciborskim muzeum.

Stany generalne Śląska w dniu 29 marca 1694 r. wydały postanowienie określające zapłatę, jaką kat ma dostać za wykonywane czynności. Z tego dokumentu dowiadujemy się, jakie kary były wymierzane przez sądy. Kat miał otrzymać po 1 talarze i 24 grosze za każdą z wymienionych czynności: powieszenie na szubienicy, odcięcie ręki, wychłostanie, obcięcie nosa lub ucha, wypalanie znaku, łamanie kołem, nasadzenie ściętej głowy na ostrzu, wplecenie w koło, darcie pasów, szczypanie kleszczami albo spalenie na stosie.

Dokument stanów generalnych został wydany po licznie odbywających się na Śląsku procesach czarownic. Również w Raciborzu w sierpniu i wrześniu 1667 r. odbył się wielki proces czarownic. Znane są nazwiska tych wszetecznic: Marina Kempczyna, Helena Kokotka, Anna Kozub, Katarzyna Mazur, Jadwiga Nowak, Elżbieta Pustelnicka, Dorota Sobczyna, Anna Soyczyna, Anna Warmuczyna i Agnieszka Wilkowa. Jest znamienne, że wszystkie podsądne pochodziły w Lubomi, Syryni, Nieboczowów, Grabówki, Pogrzebienia i Kornowaca. Pierwsze posiedzenia sądu odbywały się w ratuszu względnie w więzieniu. Ale choć oskarżone przywiązano do drabin i przypiekano ogniem, niewiele zeznawały. Dopiero po cięższych torturach owe „czarownice” przyznawały się, że na wzgórzu między Syrynią i Lubomią ucztowały zapominając o dobrych obyczajach i moralności. Przyznawały się do wyrządzania szkód ludziom, zwierzętom a nawet zbożom. Krowom odbierały mleko, zaś powietrzne podróże odbywały na miotłach lub wrzecionach. Wszystkie „czarownice” spotkała kara: w dniu 23 września 1667 r. zostały żywcem spalone na stosie. Niektórym wysłuchano szczególną łaskę, najpierw je ścinając, a dopiero potem ciała spalono. Egzekucja – jak zawsze przy udziale licznie zebranej gawiedzi – odbywała się na „kattowce”, położonej niedaleko kościoła Matki Bożej. Na osiemdziesięcioletniej mapie znaleźliśmy oznaczenie tego miejsca „Ehem. Richtplatz” (byłe miejsce straceń), które znajdowało się w okolicach ul. Ocickiej i Mysłowickiej.

Z dniem 1 października 1817 r. powołano w Raciborzu Wyższy Sąd Krajowy dla Górnego Śląska (Oberlandesgericht der Provinz Oberschlesien). Była to najwyższa instancja sądowa dla całej prowincji – od Tarnowskich Gór i Tych na wschodzie po Nysę i od Hulczyna i Ostrawy na południu do Brzegu. Dla tego sądu trzeba było zbudować odpowiednio reprezentacyjny gmach. Pod budowę wyznaczono teren przed Nową Bramą, która w związku z tym musiała zostać rozebrana, bo nie godziło się, aby najwyższy sąd był usytuowany „poza miastem”. Pierwotny projekt radcy budowlanego Krausego z Opola dostał się do wyższej deputacji budowlanej w Berlinie do wybitnego architekta Karla Friedricha Schinkla (1781-1841), twórcy wielu obiektów w Berlinie, zamku w Owińskach (1805), przebudowy pałacu w Kórniku, kościoła w Krzeszowicach (1832), zamku Hohenzollernów w Kamieńcu Ząbkowickim (1838) itp. Schinkel opracował, datowaną na 15 kwietnia 1823 r., nową koncepcję architektoniczną dla raciborskiego sądu i odmienne rozwiązanie wnętrza.

Nie będziemy budynku opisywali, ponieważ stoi on nadal na swoim miejscu i w dalszym ciągu służy wymiarowi sprawiedliwości; zatem każdy ma możliwość podziwiania tej zabytkowej budowli. Poświęcenie budynku nastąpiło 26 kwietnia 1826 r. – obchodziliśmy zatem okrągłą rocznicę 180-lecia istnienia gmachu. W lutym 2006 r. budynek został ponownie poświęcony po prze-

prowadzeniu istotnej modernizacji. Każdy ma możliwość podziwiania pięknie oświetlonego wieczorami budynku. Namawiamy Czytelników, aby weszli także do wnętrza gmachu i podziwiali jego nowy wystrój – można tam również zobaczyć powiększenia starych fotografii, przedstawiających tę część miasta.

Warto jeszcze raz podkreślić, że gmach sądu rejonowego jest jednym z nielicznych w naszym mieście, który od początku służy temu samemu celowi – sądownictwu; boć przecież urząd miasta zajmuje budynek wzniesiony jako fabryka czekolady, starostwo urzęduje w byłej szkole, zaś urząd skarbowy – w byłej willi fabrykanta. I jeszcze jedna rzecz wydaje się znamienna: całe otoczenie sądu, które wzdłuż ul. Nowej i Drzymały było zabudowane pięknymi kamienicami zostało w 1945 roku zniszczone przez ‘wyzwolicieli’. A gmach sądu, podobnie jak sąsiadujący budynek obecnego zakładu poprawczego przy ul. Wojska Polskiego, nie uległ zniszczeniu, tak jak zespół więzienny przy ul. Eichendorffa, czy prezydium policji przy ul. Batorego (obecny ratusz). Jeżeli uwzględnić, że podobnie było w Głubczycach, w Koźlu, w Opolu, a nawet w tak bardzo zniszczonym Wrocławiu, należy dojść do wniosku, że wojska radzieckie szczególną troską otaczały gmachy związane z ‘proletariackim aparatem ucisku’.

Sądownictwo stanowiło istotny element krajobrazu kulturalnego miasta Raciborza. Świadczyć o tym może chociażby – mało znany współczesnym – fakt, że w Raciborzu wychodziło czasopismo p.t.: *Oberschlesische Gerichtszeitung* (Górnośląska Gazeta Sądowa). Pismo ukazywało się w wydawnictwie i drukarni Franza Lindnera raz w tygodniu, a pierwszy numer wyszedł w 1881 roku, zaś ostatnie znane numery pochodzą z 1917 roku. Nie była to wcale mała gazetka. Początkowy nakład wynosił 5 tysięcy 400 egzemplarzy. W 1911 r. ukazało się już 8 tysięcy 100 egzemplarzy, a w latach 1914-1917 nakład wynosił aż 14 tysięcy sztuk. Było to czasopismo ponadpartyjne, niezależne i – mimo nazwy – ponadregionalne, gdyż było rozpowszechniane na całym Śląsku, a nawet w Berlinie. A jeszcze mniej znany jest fakt, że w Raciborzu wychodziła także polska mutacja tego czasopisma jako „Gazeta Sądowa”. Była rozprowadzana w Poznańskim oraz w Prusach a także na Warmii i Mazurach. Ukazywała się w latach 1890-1898 raz w tygodniu w niemałym nakładzie 5 tysięcy egzemplarzy.

Z działaniami Wyższego Sądu Krajowego Prowincji Górnośląskiej, dla której zbudowano gmach, związana jest pewna ciekawostka. Drugim kolejnym nadprezydentem (Chefpräsident) sądu w 1820 r. został Hans Karl Erdmann baron von Manteuffel. Baron, choć niewątpliwie miał do dyspozycji tłumaczy, postanowił osobiście nauczyć się języka polskiego, z którym zapewne spotykał się na rozprawach. Ówczesny wikariusz w raciborskiej farze, ks. Bernard Weiss, był jednocześnie profesorem Królewskiego Ewangelickiego Gimnazjum w Raciborzu, gdzie uczył religii katolickiej i języka polskiego. Prezydent sądu właśnie u wikarego pobierał lekcje polskiego. Panowie spotykali się w piwnicy ratusza, stojącego na rogu Rynku i pl. Dominikańskiego. Grono zainteresowanych tymi „lekcjami polskiego” stale poszerzało się „uczonych, dystyngowanych i czcigodnych panów” – jak pisze kronikarz. Przodowali w tym gremium, co oczywiste, prawnicy. Baron von Manteuffel po dwóch latach został przeniesiony do Magdeburga, ale tradycja spotkań nadal się utrzymywała. Jeszcze pod koniec XIX wieku tradycja owych „Polnische Stunden” była żywa.



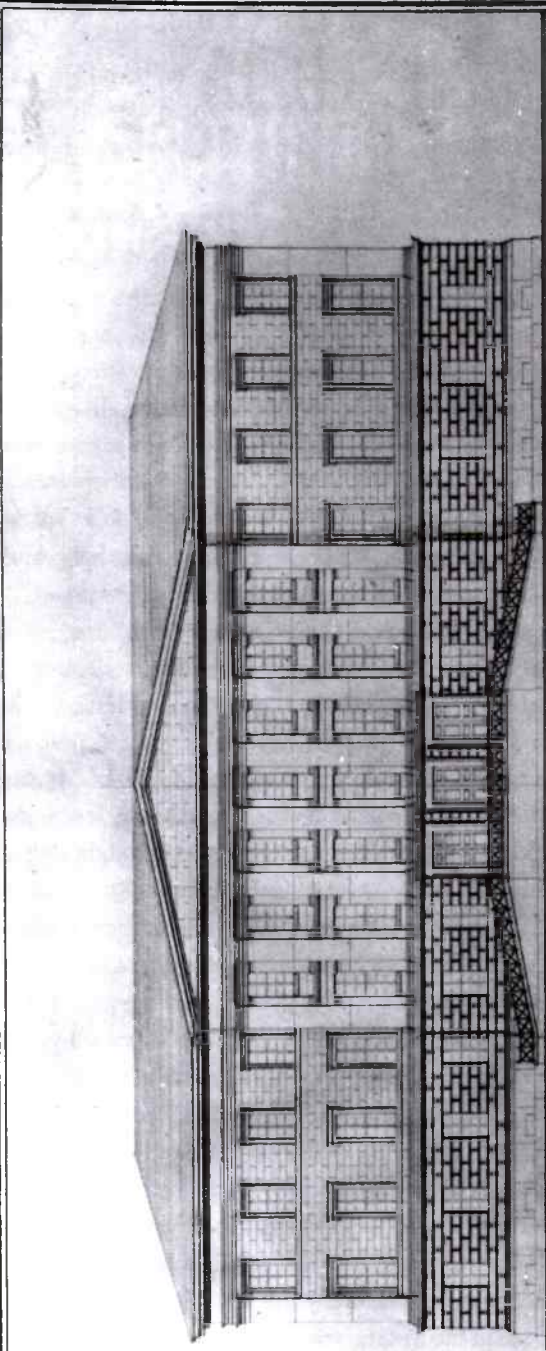
Wróćmy jednak do budynku sądu. Kiedy zbudowano gmach na końcu przedłużonej ul. Nowej podjęto dalsze kroki, zmierzające do – przynajmniej pozornego – włączenia budynku do miasta. Dlatego przy końcu ul. Nowej na jej skrzyżowaniu z ul. Wojska Polskiego i Drzymały wzniesiono nową bramę. Zbudowano dwie solidne kolumny, zwieńczone greckimi wazami. Na tych kolumnach zawieszono skrzydła bramy zrobionej z żerdzi – tak powstała brama akcyzowa. Przy bramie pobierano cła (myto) od towarów przywożonych do miasta. Po zamknięciu bramy zawieszono na niej tablicę z dwujęzycznym napisem „Gesperrt – Zaprzyto”. Brama akcyzowa została zlikwidowana w 1864 roku.

W pobliżu gmachu sądu w 1837 roku rozpoczęto budowę więzienia karno-śledczego. Mieściło się ono na rogu ul. Browarnej i Wojska Polskiego. Budowę oddano do użytku 1 września 1842 r. Początkowo zakład był przewidziany na umieszczenie 80 osób, ale już wkrótce ta liczba była trzykrotnie wyższa. Dnia 27 października 1854 roku na podwórzcu tego więzienia wykonano pierwszy wyrok śmierci według nowej procedury. Niejaki Jan Thomiczny został skazany na ścięcie głowy za morderstwo; wyrok wykonano toporem. Również dnia 6 czerwca 1855 roku w ten sam sposób wykonano wyrok śmierci na Pawle Wyleżychu z Pławniowic, a 18 września na Franciszku Plewigu z Raciborza za zamordowanie swojej pasierbicy. Wyroki wykonywano na podwórzcu więziennym ‘w obecności dwunastu nieskazitelnych obywateli miasta’. W tym czasie odzywał się dzwonek na wieży pobliskiego szpitaliku przy ul. Leczniczej. Wykonanie wyroku śmierci publikowano w wydaniach nadzwyczajnych raciborskich gazet.

Po kilkudziesięciu latach i kolejnych reorganizacjach sądownictwa okazało się, iż potrzebny jest nowy budynek dla sądu krajowego (Landgericht), którego obsada sędziowska była większa po sądzie wrocławskim. Dla tego sądu w 1889 r. rozpoczęto budowę na parceli między dotychczasowym sądem a więzieniem. Gmach ukończono w 1892 roku. Wyposażenie sądu było ascetyczne. I ten gmach przetrwał działania wojenne 1945 r. bez większych zniszczeń. W latach 1945-1950 mieścił się w tym budynku sąd okręgowy, obejmujący swoim zasięgiem sądy grodzkie w Głubczycach, Raciborzu, Rybniku i Wodzisławiu Śl.

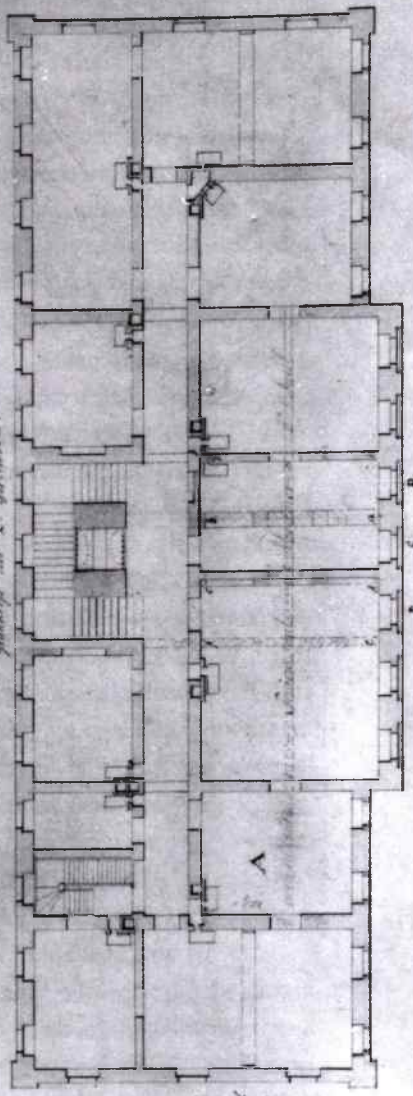
Ten budynek w stylu neorenesansu niderlandzkiego stoi nadal przy ul. Wojska Polskiego, choć od 1951 r. służy zakładowi poprawczemu.





Als mit der Zeit die Bedürfnisse  
 der in 1793 erbauten Kirche  
 durch die Vermehrung der  
 Gemeindeglieder zu groß wurden  
 so wurde im Jahre 1800 ein  
 Anbau an der Westseite  
 der Kirche gemacht, welcher  
 die Kirche in zwei Theile  
 theilte, nämlich in einen  
 Chor und in einen Kirchsaal.  
 Dieser Anbau wurde durch  
 die Kirche selbst erbaut und  
 die Kosten wurden durch  
 die Gemeindeglieder  
 getragen.

Grundriss der St. Michaelskirche.



Der Grundriss der Kirche ist  
 ein rechteckiges Gebäude mit  
 einem Chor an der Westseite  
 und einem Kirchsaal an der  
 Ostseite. Die Kirche ist in  
 zwei Theile getheilt, nämlich  
 in einen Chor und in einen  
 Kirchsaal. Die Kirche ist  
 durch einen Anbau an der  
 Westseite erweitert worden.  
 Die Kirche ist durch einen  
 Anbau an der Westseite  
 erweitert worden.



# RACIBORSKI KOŚCIÓŁ W SZYFROGRAMACH SŁUŻBY BEZPIECZENSTWA Z ROKU 1985. CZĘŚĆ I

**O**działaniach organów bezpieczeństwa w Raciborzu i powiecie raciborskim wiemy niewiele. Zapis ich działalności przetrwał jedynie w szczątkowych zasobach archiwalnych oraz pamięci skrzywdzonych, nieraz tragicznie doświadczonych osób i rodzin. Wiele takich przypadków jest wciąż żywych i bolesnych. Nad większością, zwłaszcza w pamięci społeczności lokalnej, wciąż zapada kurtyna milczenia i niewiedzy. Często uczestnicy wydarzeń nie zdają sobie sprawy, że pewne wydarzenia, następstwa tych wydarzeń w ich życiu, w życiu ich rodzin były skutkiem działań tajnej policji politycznej.

Obecnie w skali kraju wiele materiałów i wydarzeń z historii najnowszej dotyczących działania Służby Bezpieczeństwa jest publikowanych. Niestety dotyczy to Raciborszczyzny w znikomym zakresie. Poniższy artykuł ma na celu rzucić nieco światła na nieodległe wydarzenia z naszej historii.

Z uwagi na spory zakres materiału autor dokonał wyboru z szerokiej tematyki skupiając się na kwestii kościoła katolickiego oraz zawężając ją do roku 1985. Z uwagi na powyższy argument tekst został podzielony na dwie części: od stycznia do maja i od czerwca do grudnia 1985 roku. Z tego samego powodu pominięto meldunki dotyczące reakcji i komentarzy raciborzan dotyczących zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki i procesu funkcjonariuszy SB oskarżonych o tę zbrodnię oraz konfliktu we Włoszczowej i Bolesławiu, a także oskarżenia władz pod adresem biskupa Tokarczuka oraz meldunki dotyczące świadków Jehowy.

Ze względów praktycznych przypisy umieszczono w nawiasach kwadratowych wewnątrz tekstu.

## I SZYFROGRAMY MELDUNKÓW DZIENNYCH

Szyfrogramy meldunków dziennych były kierowane przez SB w Raciborzu do zespołu analityczno-informacyjnego przy kierownictwie Służby Bezpieczeństwa Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Katowicach. Posiadają one stopień „tajne”, są kolejno numerowane i przesyłane były codziennie. Zdarzały się jednak wyjątki, wtedy kolejny meldunek opisywał także dzień, w którym z jakiś powodów szyfrogram nie został wysłany. Dotyczył on zwyczajowo dnia poprzedniego, ale możemy w nich znaleźć także informacje dotyczące wydarzeń odleglejszych. Wynika to tylko z tego, że SB zdobyła wiedzę o tych wydarzeniach właśnie w tym czasie. W trakcie ważnych z punktu widzenia MSW dni, meldunki były na bieżąco uzupełniane telegramami.

Meldunki były wysyłane najczęściej w godzinach przedpołudniowych, szyfrowane przez dyżurnego funkcjonariusza i deszyfrowane w Katowicach. Podawano na nich numer, datę i godzinę sporządzenia meldunku, datę i godzinę zaszyfrowania oraz godzinę i datę deszyfracji. W Raciborzu kodowaniem zajmowała się głównie Jadwiga Pietrzak, sekretarka kpt Grzegorza Trojanowskiego, ale też: Otlík, Edward Jurczenko, Stanisław Piwowarczyk, Józef Marzec, Marian Konecki. Deszyfrantami w Katowicach byli m. in.: Różańska, Lorek, Nocoń, Kozłowska, Wieczorek, Rosół, Parzniewska. [Nie udało się ustalić wszystkich imion funkcjonariuszy MO i SB.]

Meldunki podpisywał najczęściej szef Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Raciborzu ppłk Ryszard Labocha, ale też zastępca RUSW do spraw SB kpt Grzegorz Trojanowski, zastępca szefa RUSW kpt W. Betlej oraz zastępca szefa RUSW do spraw polityczno - wychowawczych por. Franciszek Lichtorowicz.

W Katowicach na każdy szyfrogram przybijano pieczętkę o treści: szyfrogram otrzymany nr..., z ..., rozszyfrowano, data i godzina... Dane te uzupełniano ręcznie. Można sądzić, że zespół analityczno – informacyjny analizował przysyłane dane z całego województwa i opracowane przysyłał do Warszawy. Ciekawsze fragmenty były podkreślane przez pracowników sekcji analitycznej i kierowane do odpowiednich departamentów, czy sekcji, w przypadku analizowanych dokumentów najczęściej do Departamentu IV zajmującym się walką z Kościołem.

Meldunek składa się z punktów, które uzupełnione są podpunktami np. pkt 1/2c, 1/3, 5/2 itp. Każdy punkt i podpunkty odpowiadają tematyce, która była w zainteresowaniu SB. Autorowi do tej pory nie udało się dotrzeć do wzoru, na podstawie którego sporządzany był meldunek dzienny, a co za tym idzie poznać dokładnie zagadnień, które wymienione są w punktach. Możemy jednak zorientować się co do ich charakteru po tematyce poruszanej w poszczególnych punktach. I tak pkt 1 poświęcony jest sytuacji społeczno-politycznej, nastrojom i opiniom wyrażanym przez raciborzan. Zacytujmy jeden akapit oznaczony 1/1:

„Z operacyjnego rozpoznania wynika, że aktualną sytuację społeczno-polityczną w mieście i rejonie raciborskim można oceniać jako dobrą. Szczególnie wiele komentarzy w środowiskach inteligentnych Raciborza spowodował fakt znacznie lepszego zaopatrzenia sklepów w okresie poprzedzającym 1 Maja w artykuły żywnościowe i towary przemysłowe. Z wielu wypowiedzi można wywnioskować, że w środowiskach tych panuje przekonanie, że władze miejskie z premedytacją zwiększyły dostawy towarów i asortymentów do sklepów, aby „uzyskać”, ułaskać społeczeństwo. Padały również stwierdzenia, że takie zaopatrzenie jak przed 1 Maja winno mieć miejsce każdego dnia, a nie jedynie przed świętami państwowymi.” [IPN Ka 0103/139, t. 51, s. 184. Ppłk R. Labocha, tajne, nr 148/85, dnia 02.05.85, godz. 12:50, zaszyfrowała Pietrzak 02.05., godz. 13:00, rozszyfrowała Kozłowska o godz. 13:15.]

Wydarzenia dotyczące autochtonów i mniejszości niemieckiej pojawiają się w pkt 1/4. Na tym punkcie pracownicy MSW byli szczególnie przeczuleni. Do tego stopnia iż, po podjętych działaniach udaremnił rozegranie meczu piłkarskiego w Bojanowie pomiędzy jego mieszkańcami a drużyną z Berlina Zachodniego, w której mieli wystąpić bojanowiczanie mieszkający w Niemczech. [IPN Ka 0103/139, t. 51, s. 101. Ppłk R. Labocha, tajne, nr 292/85, dnia 28.08.85, godz. 12:50, zaszyfrowała Pietrzak 28.08., godz. 13:10, rozszyfrował Wieczorek o godz. 18:40.]

Punkt 2 dotyczy zapewne szeroko pojętej sytuacji w zakładach pracy. Sprawy rolnictwa i wsi przyporządkowane zostały punktowi 3. Tutaj pojawiają się zwłaszcza informacje z terenu powiatu raciborskiego. W pkt 4 porusza się informacje dotyczące inteligencji. Informacje o Kościele to pkt 5. Punkt 7 i 8 dotyczy przede wszystkim aktywności opozycji na terenie RUSW w Raciborzu, ale także włamań do kościołów, nielegalnego posiadania broni itp.

Większość materiału kierowanego do Katowic jest dość przypadkowa, pochodząca najczęściej od agentury. Jednak w większości przypadków dowiadujemy się tego, co można było wówczas przeczytać w „Trybunie Ludu”, czy „Żołnierzu Wolności” lub usłyszeć wśród ludzi w kolejce po deficytowe towary. A więc, że społeczeństwo Raciborszczyzny dyskutuje na temat wystąpień towarzysza Jaruzelskiego, pozytywnie komentuje ataki rzecznika rządu Jerzego Urbana na Kościół i Solidarność oraz od czasu do czasu narzeka na „chwilowe braki w zaopatrzeniu”. Są także cytowane wypowiedzi nieprzychylnie w stosunku do władz. Jednak te pozytywne jak i negatywne opinie są przypadkowe, losowe, nie pozwalające wyciągnąć obiektywnych wniosków na temat nastrojów i opinii lokalnej społeczności. Czynią to jednak funkcjonariusze SB, ich wnioski są powierzchowne, ograniczające się najczęściej do rytualnych sformułowań i utartych schematów

myślowych, czy są wręcz powielaniem propagandowych klisz wytworzonych przez ten sam przecież aparat.

Spora część materiału opisuje zjawiska, które obecnie są tematem doniesień prasowych: wypadki, włamania, katastrofy, spotkania, święta itp. W PRL-u wiele takich prozaicznych zdarzeń znajdowała się w zakresie zainteresowań policji politycznej, a w mediach istniał na nie zapis cenzorski pozwalający kreować propagandowy obraz rzeczywistości. Jednak dzięki temu możemy po latach poznać sprawy i wydarzenia skrywane wówczas przed opinią publiczną.

## II MELDUNKI DOTYCZĄCE KOŚCIOŁA.

### 1. „ZABEZPIECZENIE OPERACYJNE MSZY”

„Tajne nr 1/85, dnia 2.01.1985r., godz. 11:00.

W dniu 1.01.85r. w kościołach: WNMP, NSPJ, Matki Bożej oraz Paschalisa w Raciborzu zabezpieczono odbywające się w tym dniu msze noworoczne. Uroczystości kościelne przebiegały bez negatywnych akcentów, i również wystrój w/w kościołów pozostawał o charakterze religijnym. Uczestnictwo wiernych na mszach w wymienionych kościołach szacuje się po 800-1000 osób.”

szef RUSW w Raciborzu ppłk mgr Ryszard Labocha  
zaszyfrowała Pietrzak dnia 2.01.1985r. o godz. 11:10  
rozszyfrował Rosół, godz. 11:15. [IPN Ka 0103/139, t. 51, s. 283.]

Pierwszy szyfrogram wysłany do Katowic przez funkcjonariuszy raciborskiej SB dotyczy mszy noworocznych w raciborskich kościołach. Stopień ogólności meldunku nie pozwala nam poznać liczby zaangażowanych w tym dniu funkcjonariuszy, ani innych szczegółów. Większość meldunków dotyczy właśnie monitorowania nabożeństw odprawianych w raciborskich świątyniach. Zabezpieczenie, „zabezpieczenie operacyjne”, mszy polegało zapewne na bytności pracowników SB podczas odprawianych mszy. Prawdopodobnie SB nie wykorzystywało do tego sprzętu nagrywającego, ograniczając się do robienia notatek lub odtwarzając z pamięci fragmenty kazań.

Odwiedziny pracowników MSW w świątyniach nie były tajemnicą dla kapłanów, jak i wielu wiernych. Policję polityczną interesowały przede wszystkim trzy elementy: wypowiedzi księży (patriotyczne, krytyczne wobec władzy), wystrój wnętrza (nawiązujący do symboli patriotycznych, czy związany z Solidarnością) oraz liczba i reakcje wiernych.

Informacja o odprawianiu w kościele WNMP w każdą drugą niedzielę miesiąca mszy za ojczyznę oraz w intencji zamordowanego księdza Popiełuszki pojawia się w meldunku z 31.01.

W związku z tym zapowiedziano „zabezpieczenie operacyjne” tych mszy.

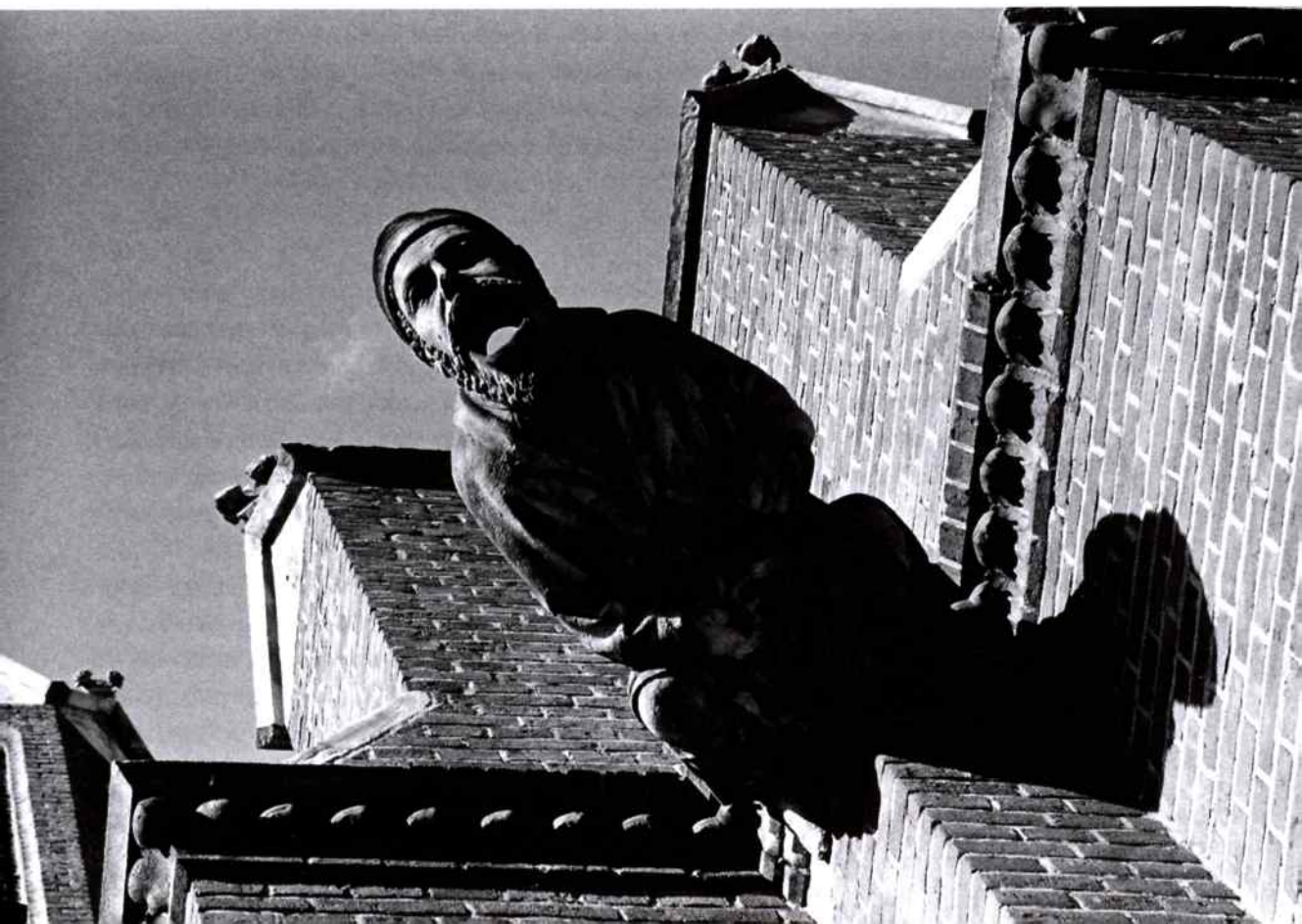
28.02 kontrolowano msze w kościołach NSPJ i WNMP w godz. 10:00 – 22:00, 03.02, 12.02, tam nie stwierdzono „wrogich akcentów”, „/.../ jedynie był odczytany list parafian kurii przemyskiej do sejmu PRL, rządu, prymasa i wiernych w całym kraju. W liście tym wnosi się protest do władz o zniesławienie dobrego imienia biskupa Tokarczuka z kurii przemyskiej. Stwierdza się, że w okresie 15.08.1984 roku na terenie Kalwarii Paławskiej (miejsce pielgrzymek wiernych) ukazały się ulotki szkalujące biskupa Tokarczuka. Pochodzenie powyższych ulotek jednoznacznie przypisywane jest organom MSW, gdyż zawierały cytaty z wypowiedzi Piotrowskiego na procesie toruńskim. Powyższy list odczytany był bez komentarzy.

W nabożeństwach brało udział około 200 do 300 wiernych” [IPN Ka 0103/139, t.51, s. 248. Kpt W. Betlej, tajne, nr 53/85, dnia 11.02.85, godz. 09:40, zaszyfrowała Pietrzak 11.02, godz. 09:55, rozszyfrowała Różańska o godz. 10:20.]

24.02 „zabezpieczono operacyjnie” mszę o godz. 9:00 w kościele WNMP i o godz. 12:00 NSPJ. W kościele farnym „kazanie wygłosił prof. Uniwersytetu Poznańskiego – Japończyk Jochimoto (fonetycznie). Przedstawił on swoją drogę do rodziny chrześcijańskiej oraz rolę, jaką w tym odegrał misjonarz z Niepokalanowa [---] [Ustawa z dnia 29.08.1997r. o ochronie danych osobowych]. Wystąpienie nie zawierało akcentów politycznych. W kościele NSPJ kazanie wygłosił w intencji trzeźwości i przetrwania biologicznego narodu, proboszcz, ks. Jurczyk. W swoim wystąpieniu nawoływał do życia w trzeźwości. Stwierdził m. in. „Polska to kraj ogarnięty potopem alkoholowym, alkohol jest przyczyną wielu tragedii /.../ Dawniej zaborcy rosyjscy płacili nim za pracę, aby ułatwić sobie rządy, a dzisiaj jest podobnie” (koniec cytatu)” [IPN Ka 0103/139, t.51, s. 238. Szef RUSW w Raciborzu ppłk mgr Ryszard Labocha, tajne, nr 71/85, dnia 25.02.85, zaszyfowała Pietrzak 11.02, godz. 11:20, rozszyfrował Wieczorek o godz. 14:30.]

Msze zabezpieczono 21.04 oraz 30.04 zaplanowano wizyty funkcjonariuszy w kościele WNMP na Rynku 01.05 o godz.6:00 – msza w intencji świata pracy, o godz. 18:00 – nabożeństwo maryjne; 03.05 o godz. 18:00 – msza w intencji ojczyzny z procesją wokół kościoła; 05.05 o godz. 10:30 – msza ku czci św. Floriana. W dniach 03 i 04 kontroli poddano także kościół w Pietrowicach Wielkich. [IPN Ka 0103/139, t.51, s. 187. Szef RUSW w Raciborzu ppłk mgr Ryszard Labocha, tajne, dnia 30.04.85, zaszyfowała Pietrzak 30.04, godz. 10:35, rozszyfrował Wieczorek o godz. 11:00.]

W sprawozdaniu z uroczystości kościelnych w dniu 1 maja czytamy: „Zabezpieczono 4 nabożeństwa w kościołach NSPJ, Matki Bożej, św. Mikołaja, WNMP – o godz. 6:00, frekwencja po 30 osób, bez kazań.” [IPN Ka 0103/139, t.51, s. 185. Szef RUSW w Raciborzu ppłk mgr Ryszard Labocha, tajne, 147/85, dnia 01.05.85, godz. 12:25, zaszyfowała Pietrzak 01.05, godz. 12:35, rozszyfrował Parzniewska 08.05.85, o godz. 15:40.]



W dniu rocznicy Konstytucji 3 Maja pracownicy MSW pojawili się na wieczornych mszach.

W kościele Farnym o godz. 18:00 została odprawiona msza w intencji ojczyzny, którą prowadził ks proboszcz Stefan Pieczka. Zanotowano iż w trakcie kazania „poruszył rolę matki bożej w dziejach narodu polskiego, a szczególnie uwypuklił okrucieństwo „moskali” w tłumieniu zrywów narodowych. W modlitwie wypowiedział słowa „aby Polska była Polska”. Po mszy odbyła się procesja [pisownia oryginalna, podkreślenie SB w Katowicach, zaznaczono cały akapit z dopiskiem „IV” – przyp BB.] wokół kościoła, w mszy uczestniczyło 1200 osób”. W kościele NSPJ ks Jurczyk odprawił mszę w intencji młodzieży przystępującej do matury. W mszy uczestniczyło około 700 osób, a w trakcie mszy przewidziano było ślubowanie młodzieży, które nie odbyło się, gdyż na wezwanie księdza nie wystąpili przedstawiciele młodzieży. [Op. cit.] W kościele pw. Paschalisa w mszy w intencji dobrych urodzajów i dzieci przystępujących do komunii wzięło udział ok. 250 osób. W podsumowaniu meldunku dowiadujemy się, że nie stwierdzono „wrogich i pozareligijnych elementów, wystrój kościołów nie odbiegał od codziennych, po zakończeniu nabożeństw wierni w spokoju rozeszli się do domów, nie stwierdzono gromadzenia się i nawoływania do tego”.

[Op. cit.]

Również nabożeństwa majowe, bierzmowanie i procesje odbywały pod kontrolą SB. W meldunku z 07.05 sporządzono i przesłano ich wykaz. Kolejne meldunki przynoszą szczegóły na ich temat oraz odnotowują przyjazd do Raciborza biskupa Jana Wieczorka. W trakcie mszy i uroczystości 13, 21, 22, 25, 27.05 pracownicy SB nie odnotowują wrogich wystąpień, czy też akcentów politycznych. Jedynie wspomniano, że 27.05 ks. Przywara „samowolnie zmienił termin procesji”. Miała ona odbyć się między godz. 9:00 a 11:00, a odbyła się o godz. 7:00. W związku z tym zaplanowano w tej sprawie przeprowadzenie rozmowy z księdzem oraz poinformować o zmianie godzin procesji władze administracyjne miasta. [IPN Ka 0103/139, t.51, s. 164. Ppłk R. Labocha, tajne, nr 182/85, dnia 27.05.85, 11:25, zaszyfrowała Pietrzak 27.05.85, godz. 11:35, rozszyfrował brak danych -BB].

„W dniu 27.05 w godz. 17:30 – 19:50 zabezpieczono mszę świętą w intencji rolników regionu raciborskiego, która odbyła się w parafii Pietrowice Wielkie z udziałem biskupa opolskiego Jana Wieczorka oraz 12 księży oraz 2 zakonnice. W uroczystościach wzięło udział 1700 wiernych. Nie odnotowano żadnych negatywnych akcentów.” [IPN Ka 0103/139, t.51, s. 163. Ppłk R. Labocha, tajne, nr 184/85, dnia 28.05.85, godz. 10:20, zaszyfrowała Pietrzak 28.05.85, godz. 11:35, rozszyfrował Wieczorek o godz. 11:50.]

## 2. WALKA O KRZYŻE

W meldunku z dnia 04.01 mowa jest o „przejawianych przez kler tendencjach do umieszczania krzyży na terenie szkół i obiektów służby zdrowia.” Ppłk. Labocha wylicza: „Aktualnie krzyże umieszczone są w szkole podstawowej nr.6 w Raciborzu (dzielnica Sudół – przyp. BB) 6 szt. i szkoła podst. w Rudach 7 szt. Poprzez działanie operacyjne zamierza się neutralizowanie zamierzeń kleru katolickiego”. [Pisownia oryginalna, IPN Ka 0103/139, t.51, s. 281. Ppłk R. Labocha, tajne, nr 3/85, dnia 04.01.85, godz. 11:00, zaszyfrował Jurczenko 04.01.85, godz. 12:00, rozszyfrował Nocoń.]

Pracownicy raciborskiej SB odkryli 12.02, że przed wejściem do budynku administracyjnego gminnej spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Pietrowicach Wielkich „jest zawieszony krzyż z wizerunkiem Chrystusa”. Także w placówkach handlowych tej spółdzielni znajdowały się krzyże. Jak informuje kpt Betlej: „Jak dotychczas kierownictwo spółdzielni nie zajęło żadnego stanowiska w tej kwestii, jak również nie podjęło żadnego działania w celu likwidacji wspomnianych krzyży, motywując to brakiem kompetencji”.

Za to jako sukces odnotowywano akcję przeciwko krzyżom w rudzkiej szkole, gdzie pod pretekstem przeprowadzenia przygotowań do zimowiska usunięto symbole religijne w pięciu klasach. Według SB akcja ta po wznowieniu zajęć 11.02 została przyjęta spokojnie przez młodzież i grono pedagogiczne. [IPN Ka 0103/139, t.51, s. 281.]

Do sprawy powrócono w notatce z 21.02 „Z rozpoznania operacyjnego wynika, że w szkole podstawowej w Rudach po usunięciu z niej krzyży sytuacja jest zadawalająca. Nie słychać na ten temat żadnych wypowiedzi ani komentarzy ze strony nauczycieli bądź uczniów. Również nikt z zewnątrz nie próbował w powyższej sprawie interweniować.” [IPN Ka 0103/139, t. 51, s. 245. Z-ca szefa RUSW w Raciborzu kpt mgr W. Betlej, zaszyfrował Jurczenko dnia 21.02.1985r. Godz. 10:10. Rozszyfrował Wieczorek, godz. 10:12.]

Dzisiaj ówcześni pracownicy szkoły wspominają, że nie pamiętają kiedy powieszono krzyże w klasach, zostały one zdjęte przed malowaniem, złożone w magazynie i wydarzenie to przeszło bez echa.

SB ustaliła 10.04, że do dyrekcji szkoły podstawowej w Szonowicach, gmina Rudnik, przed feriami wiosennymi przysłała delegacja rodziców uczniów tej szkoły, która domagała się wydania krzyży usuniętych z klas w roku 1983. Podczas rozmowy z dyrektorem oświadczyli, że przybyli z polecenia proboszcza parafii w Modzurowie i domagali się wydania krzyży, które są poświęcone i nie są własnością szkoły. Krzyże mają zostać powieszono w nowym budynku katechetycznym w Modzurowie. Dyrektor oświadczył, że nie ma ich na terenie szkoły. Na końcu meldunku SB stwierdza, że zamierza wydać krzyże za pośrednictwem dyrektora szkoły. Analityk z Katowic podkreślił ostatnie zdanie meldunku oraz dopisał: dokładnie, data?, ile osób? [IPN Ka 0103/139, t.51, s. 204. Pptk R. Labocha, tajne, nr 119/85, dnia 11.04.85, godz. 09:40, zaszyfrowała Pietrzak 11.04., godz. 09:55, rozszyfrował Nocoń o godz. 13:00.]

### 3. WIELKANOC 1985

Przed świętami Wielkanocnymi w szyfrogramie z 06.04 SB zarysowuje zakres swoich zainteresowań wobec Kościoła na najbliższy czas. Wydział społeczno-administracyjny UM w Raciborzu zezwolił na cztery procesje. Kpt Trojanowski wylicza: Dnia 85-04-07 procesja rezurekcyjna, organizator ks. Stefan Pieczka z parafii WNMP, godz. 5:30 – 06:00, trasa wokół kościoła. Dnia 85-04-08 procesja konna, organizator ks. Józef Przywara, parafia Matki Bożej Różańcowej, godz. 13:00 do 15:00 na obrzeżach miasta. Dnia 85-04-12 tradycyjna procesja tzw. za stodołami, organizator ks. Józef Przywara. Dnia 85-04-25 tradycyjna procesja św. Marka, organizator ks. Józef Przywara.

„Wymienione procesje zostaną zabezpieczone operacyjnie. Ponadto w dniu 85-04-08 będą zabezpieczone msze we wszystkich kościołach na terenie miasta Racibórz, natomiast w dniu 85-04-07 zabezpieczone zostaną cztery parafie, w których dotychczas najczęściej były wygłaszane negatywne kazania. Z rozpoznania wynika, że w dniach świąt nie będzie przebywał biskup na terenie miasta ani rejonu. Z rozpoznania przeprowadzonego w godzinach rannych w dniu 85-04-06 w kościołach na terenie miasta i rejonu raciborskiego nie stwierdzono wystroju grobów odbiegających od znamion religijnych”. [IPN Ka 0103/139, t.51, s. 208. Kpt G. Trojanowski, tajne, nr 114/85, dnia 06.04.85, 10:45, zaszyfrowała Pietrzak 06.04.85, godz. 10:55, rozszyfrował Wieczorek o godz. 11:05].

Sytuację podczas świąt omówiono w meldunku z 09.04. Podczas procesji 07.04 nie stwierdzono negatywnych akcentów politycznych: wypowiedzi, kazań, haseł, napisów, emblematów, wystrojów wnętrz. Jednak już dzień później funkcjonariusze MSW zanotowali: w kościele Matki Bożej odczytany [został] list z pozdrowieniami od władz i pracowników Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, którego treść kończyła się stwierdzeniem „wolność pochodzi od Boga i dlatego

wolność chrześcijańska zwycięży w każdym systemie politycznym i strukturze” [podkreślenie autorstwa zespołu analityczno – informacyjnego w Katowicach – BB.]

W kościele Matki Bożej Różańcowej w Sudole „w trakcie kazania ksiądz odprawiający mszę nawiązał do listu zmarłego kardynała Wyszyńskiego pisanego z więzienia na temat przebiegu uroczystości wielkanocnych w zakładzie karnym w Strzelcach Opolskich, [kardynał Stefan Wyszyński aresztowany przez komunistów od 25.09.1953 roku do 28.10.1956r. Przebywał w Rywałdzie k/ Grudziąca 26.09.53 – 28.10.53, w Stoczku k/ Lidzbarka Warmińskiego 28.10.53 – 06.10.1954, w Prudniku k/Głogówka 06.10.1954 – 26.10.1955, w Komańczy 27.10.1955 – 28.10.56r. – przyp. BB] myśl przewodnią dotyczyła prawdy absolutnej uzasadniającej zmartwychwstanie Chrystusa. Faryzeusze poprzez swoich żołnierzy pragnęli tę prawdę ukryć przed światem propagując w społeczeństwie kradzież zwłok Chrystusa. Na tym tle ksiądz /.../ dokonał analogii do śmierci ks.

Jerzego Popiełuszki stwierdzając, że zbrojcy przekonani byli o /.../ możliwości ukrycia prawdy o swym czynie jak faryzeusze. Swe słowa kierował przede wszystkim do młodzieży, która winna być w swym życiu prawa i wierzyć w prawdę bożą.” [pisownia oryginalna IPN Ka 0103/139, t.51, s. 206. Ppłk R. Labocha, tajne, nr 116/85, dnia 09.04.85, zaszyfowała Pietrzak 09.04, godz. 12:40, rozszyfował Lorek o godz. 14:50.]

W Markowicach ks. proboszcz swe kazanie poświęcił „ludziom rozumnym walczącym o pokój na świecie”. Zanotowano jedno zdanie „Niech jedną z form walki będzie walka o krzyże w szkołach, które stara się usuwać światopogląd naukowy”.

W kościele św. Mikołaja „ksiądz podczas kazania krzyżąc powiedział ”Nie bójcie się niczego i nikogo, nie chcecie w kościele nic słyszeć o polityce, zamykacie się w sobie, nie chcecie słyszeć prawdy /.../ tyle pieniędzy wydaje się codziennie na zagłuszanie /rozgłośni/ radia Watykan. Nasi wrogowie mają dużo pieniędzy, wydaje się je na opłacenie szpicli i donosicieli, ale nas wierzących jest więcej, dlatego nie bójmy się ...” [IPN Ka 0103/139, t.51, s. 206. Op cit.] Podkreślenia SB w Katowicach. Nad słowami „ksiądz podczas kazania” umieszczono dopisek „nazwisko?”, którego zabrakło w meldunku.

W kościele św. Krzyża w Studziennej odnotowano, że 19.05 odbędą się uroczystości z okazji 50-lecia kościoła, w których weźmie udział ks. biskup. W trakcie tej uroczystości zostanie poświęcony sztandar kolejarzy, który jest w trakcie wykonywania. Poinformowano także wiernych, że planuje się istniejącą obok kościoła stodołę zaadoptować na salę, „która może służyć do celów religijnych”. W związku z powyższym SB z Raciborza postawiła sobie za cel „nie dopuścić do zaplanowanych zamierzeń”. [IPN Ka 0103/139, t.51, s. 206. Op cit.]

#### 4. KOŚCIELNE INWESTYCJE

Także inwestycje kościelne były w kręgu zainteresowań policji politycznej. Zwłaszcza, że na tym polu partia toczyła z Kościołem wieloletnie zmagania. Meldunek z 15.02 donosi, że „w miejscowości Miedonia koło Raciborza [w rzeczywistości dzielnica Raciborza – przyp. BB] obok budynku zajmowanego przez siostry zakonne gromadzone są materiały budowlane z zamiarem budowy obiektu sakralnego. Wg ustaleń powierzchnia tego obiektu ma wynosić 600 m2. Służba Bezpieczeństwa RUSW w Raciborzu prowadzi rozpoznanie celem ustalenia bliższych danych o tym obiekcie.” [IPN Ka 0103/139, t. 51, s. 245. Z- ca szefa RUSW w Raciborzu kpt mgr W. Betlej, zaszyfowała Pietrzak dnia 15.02.1985r. Godz. 11:10.]



W marcu pojawia się kolejna informacja o pracach w Miedoni. [Obecnie dom rekolekcyjno-formacyjny przy ul. Ratajskiego 8.] „ /.../ Na terenie należącym do zmarłego ks. Szkatuły widoczne są przygotowania do budowy kościoła lub kaplicy. Zakonnice rozbierają znajdujący się tam stary budynek i gromadzą materiały budowlane. Miejscowe społeczeństwo twierdzi, że ma tu być budowany kościół. Powyższa sytuacja rozpatrywana jest przez pion czwarty” [IPN Ka 0103/139, t. 51, s. 223. Szef RUSW w Raciborzu ppłk mgr Ryszard Labocha, zaszyfrował Otlík dnia 13.03.1985r. Godz. 10:15. Rozszyfrował Wieczorek o godz. 10:35.]

Kolejna informacja dotyczy kaplicy w Ponięcicach, która jak ustaliła SB znajduje się na prywatnym terenie należącym do sołtysa tej wsi Teodora Pasja „znanego z klerikalnej postawy”. Gromadzenie materiałów budowlanych wokół kaplicy skłoniło SB do przypuszczeń, co do jej rozbudowy. W meldunku znalazła się także dodatkowa informacja o tym, że z inicjatywy sołtysa w październiku 1984 roku „dwie mieszkanki Ponięcic prowadziły po domach zbiórkę pieniężną z okazji urodzin księdza z Grzędzina, woj. opolskie /.../ Pieniądze te zostały przekazane księdzu wraz z listą wpłacających”. [IPN Ka 0103/139, t.51, s.194. Ppłk R. Labocha, tajne, nr 134/85, dnia 23.04.85, godz. 10:25, zaszyfrował Otlík 23.04.85, godz. 10:45, rozszyfrowała Parzniewska o godz. 11:00.]

## 5. INNE WYDARZENIA

Analityków z Katowic zainteresowała informacja, (którą zakreślono w całości, niestety ręcznie dopisane notatki są nieczytelne), że w dniu imienin Jerzego w gablocie ogłoszeniowej przy kościele WNMP zostało zawieszono zdjęcie ks Popiełuszki formatu 50x40. „Stało się to pretekstem do składania w tym miejscu kwiatów i palenia zniczy nagrobkowych. Z władzami miasta zostaną przeprowadzone rozmowy w wyniku, których podjęte działania zmierzają będą do ograniczenia i zapobieżenia rozprzestrzenianiu się wspomnianej akcji”. [IPN Ka 0103/139, t.51, s. 193. Ppłk R. Labocha, tajne, nr 136/85, dnia 24.04.85, godz. 09:15, zaszyfrowała Pietrzak 24.04. rozszyfrował NN.]

„Tendencyjne fotografowanie miasta Raciborza i posterunku MO w Rudniku” było powodem zatrzymania Moniki [---] [Ustawa o ochronie danych osobowych z dnia 29.08.1997r.], ur. [---] 1945 r. w Bad Landeck, zatr. w firmie charytatywnej Alfeter- Heiden jako księgowa, paszport nr e- 5493630, wiza nr 49493/15/152, ważna trzy dni i Wernera [---] [Ustawa o ochronie danych osobowych z dnia 29.08.1997r.], ur. 1953 r. w Enbrang, zatr. w pogotowiu ratunkowym w Bonn jako sanitariusz, paszport e-2440794, wiza nr 49492/15/152, ważna trzy dni oraz samochodu ciężarowego marki ford nr rej. BN-S-150. Wymienieni przekroczyli granicę w Olszynie, gdzie „poddani byli szczegółowej kontroli celnej”. Przewozili dary: używaną odzież, lekarstwa, żywność, strzykawki jednorazowe, specjalne łóżka sanitarne, kubki dla osób cierpiących na niedowład rąk oraz proszki do prania dla domu pomocy społecznej Caritas w Raciborzu. Zatrzymanii po wyjaśnieniach, że robili zdjęcia pamiątkowe oraz herbu miasta zostali pouczeni gdzie nie wolno fotografować i zwolnieni. Film z aparatu został zatrzymany do wywołania. Na marginesie notatki znajduje się odręcznie dopisane cyfry „II i IV”, co świadczy o przekazaniu tej informacji Departamentowi II – kontrwywiad i Wydział IV – zwalczanie Kościoła. [IPN Ka 0103/139, t.51, s. 180. Ppłk R. Labocha, tajne, nr 154/85, dnia 06.05.85, godz. 11:30, zaszyfrowała Pietrzak 06.05. o godz. 11:50, rozszyfrował NN.]

W punkcie 1/1 dotyczącym nastrojów i opinii społecznych znalazła się informacja z 24.05 o emisji w głównym dzienniku telewizyjnym 18.05 audycji o wizycie Papieża w Holandii. Według kpt. Betleja program „był w ostatnim tygodniu głównym tematem rozmów mieszkańców miasta i rejonu raciborskiego”. Pokazano w nim fragmenty materiału telewizji holenderskiej, w którym „przedstawiono Papieża w roli komedianta”. Program został „oceniony przez znaczną liczbę tutej-

szego społeczeństwa negatywnie. Podkreśla się, że Papież jako głowa Kościoła jest osobą dostojną i ośmieszanie go jest nie na miejscu. Ponadto mówi się, że holenderska telewizja /.../ naruszyła dumę wszystkich wierzących Polaków, wysuwa się również pretensję, że telewizja polska do programu tego nie ustosunkowała się krytycznie.” W tym samym meldunku w pkt 2/4 poznajemy opinię pracowników raciborskiego węzła PKP. Mowa jest o „konsternacji /.../ [w związku – BB] z wystawieniem pociągu specjalnego obsługującego uczestników pielgrzymki do Piekar Śląskich w dniu 85-05-26. Pociąg ten jako pusty skład ma wyjechać z Katowic do Raciborza, po czym po skończonej pielgrzymce z Raciborza ponownie wraca pusty do Katowic. W wypowiedziach podkreśla się, że obecna sytuacja finansowa śląskiej DOKP jest niekorzystna z uwagi na zadłużenie i puste przejazdy są niezrozumiała dla tut. pracowników PKP” [IPN Ka 0103/139, t. 51, s. 166. Z-ca szefa RUSW w Raciborzu kpt mgr W. Betlej, godz. 11:50, zaszyfrowała Pietrzak dnia 24.05.85, godz. 12:00, rozszyfrowała Różanska.]

Prawdopodobnie z tego samego agenturalnego źródła pochodzi informacja, że 26.05 „specjalnym pociągiem” wyjechało na pielgrzymkę do Piekar Śląskich 60 osób. Informator ocenia, że fakt ten jest negatywnie oceniany przez pracowników PKP – „jak długo będzie stać nasz kraj na takiego rodzaju prezenty” – cytuje opinię. [IPN Ka 0103/139, t.51, s. 164. Ppłk R. Labocha, tajne, nr 182/85, dnia 27.05.85, 11:25, zaszyfrowała Pietrzak 27.05.85, godz. 11:35, rozszyfrował brak danych -BB].

W dniu 18.01.1985r. niepokój SB wzbudziły dwie katechetki. „Pkt 5/5. W wyniku rozpoznania operacyjnego ustalono na terenie gminy Nędza dwie osoby świeckie nauczające religii młodzież pierwszych i drugich klas szkół podstawowych. Są to:

[---] [Ustawa z dnia 29.08.1997r. o ochronie danych osobowych], ur. [---] 1962r. w Raciborzu, panna, wykształcenie średnie, studiuje w Opolu.

[---] [Ustawa o ochronie danych osobowych z dnia 29.08.1997r.], ur. [---] 1963r. w Raciborzu, panna. Wymienione zostaną objęte kontrolą operacyjną.

[IPN Ka 0103/139, t. 51, s. 269, szef RUSW w Raciborzu ppłk mgr Ryszard Labocha, zaszyfrowała Pietrzak dnia 18.01.1985r. Godz. 10:40. Rozszyfrowała (brak danych- BB).]

Niestety nie wiemy, jakie podjęto wobec nich działania i czy udało się SB doprowadzić do przerwania prowadzonych przez nie lekcji religii.

## 6. WŁAMANIA DO ŚWIĄTYŃ.

Zespół analityczno-informacyjny w Katowicach informowano także o włamaniach do świątyń. O włamaniu do kościoła św. Jadwigi w Markowicach organa RUSW poinformował proboszcz tej parafii w dniu 21.03. „Na miejsce zdarzenia udała się grupa operacyjno-dochodzeniowa. Z dokonanych ustaleń wynika, że zostały skradzione wota w postaci medalików, łańcuszków, pierścionków, obrączek. W tej sprawie prowadzone są dalsze czynności wyjaśniające /.../” [IPN Ka 0103/139, t.51, s. 215. Ppłk R. Labocha, tajne, nr 98/85, dnia 22.03.85, godz. 10:45, zaszyfrowała Pietrzak 22.03.85o godz. 11:15, rozszyfrował Nocoń o godz. 16:00.]

Już w dwa dni po kradzieży zatrzymano podejrzanego. „Na miejscu zdarzenia został użyty pies służbowy oraz wykonano niezbędne czynności dochodzeniowe w wyniku, których został wstępnie ustalony sprawca, jest nim [---] [Ustawa o ochronie danych osobowych z dnia 29.08.1997r.], ur. [---] 1960r. Wykształcenie podstawowe, bez zawodu, nie pracuje, rozwiedziony, zam., Lubomia [---] [Ustawa o ochronie danych osobowych z dnia 29.08.1997r.]. W wyniku przeszukania w miejscu zamieszkania w/w odzyskano część skradzionych przedmiotów tj. oznaczenia państwowe, trzy pierścionki z metalu złotego, jedna obrączka z metalu białego oraz kilka kolii z metalu białego. W/w nie przyznaje się do kradzieży, ale został rozpoznany przez świadków. W/w w 1978 był karany za kradzież mienia prywatnego i w 1973 za pobicie.” [IPN Ka 0103/139, t.51, s. 214. Kpt G. Trojanowski, tajne, nr 100/85, dnia 23.03.85, godz. 10:35].

Tematem obszernego meldunku 26.04 było włamanie do kościoła Matki Bożej Różańcowej oraz Matki Bożej w dniu 25.04. W pierwszej świątyni nic nie zginęło, sprawcy wyłamali drzwi zakrystii, uszkodzili kredens wyłamując drzwiczki i zamki oraz zniszczyli jeden z dwóch witraży w drzwiach oddzielających zakrystię od kościoła. W Matce Bożej wyrwali dwie wmurowane skarbonki, które zabrali. Co ciekawe w drugim wypadku obok ekipy operacyjno - dochodzeniowej na miejsce włamania udał się zastępca szefa ds. SB. [IPN Ka 0103/139, t.51, s. 191. Ppłk R. Labocha, tajne, nr 139/85, dnia 26.04.85, godz. 11:40, zaszyfrowała Pietrzak 26.04., godz. 12:10, rozszyfrował Wieczorek o godz. 12:50.]

Kolejne włamanie odnotowano 28.02. Tym razem na plebanię kościoła WNMP, do mieszkania jednego z wikarych. Tu też obok ekipy operacyjno-dochodzeniowej pojawił się zastępca szefa ds. SB. [IPN Ka 0103/139, t.51, s. 189. Ppłk R. Labocha, tajne, nr 144/85, dnia 29.04.85, godz. 12:15, zaszyfrowała Pietrzak 29.04., godz. 12:30, rozszyfrował Lorek o godz. 18:00.]

DALSZY CIĄG ARTYKUŁU, MATERIAŁY Z DRUGIEJ POŁOWY ROKU 1985 ,  
ZOSTANIE ZAPREZENTOWANY W KOLEJNYM NUMERZE  
„ALMANACHU PROWINCJONALNEGO”





## **JAKO DROGA**

*Muzyka - Bartłomiej Abramowicz*

Bo przeznaczona nam jest Barcelona  
 Bo lipcową nocą  
 Przy rozłożystej fontannie  
 Kiedy wieże oddawały ducha otchłani  
 Spotkaliśmy się na promenadzie  
 Bo bezbrzeżnie zagubiony  
 Ramieniem zatokę uczyniłeś  
 By utopić się w mojej żrenicy  
 Bo nie ma piękniej niż moje zapatrzenie  
 Bo nie ma głębiej niż w dal  
 Bo to wszystko ja przecież jestem  
 Bo to wszystko ja

Twoja droga  
 Z prochu planety  
 Z głową u boga  
 Nie zauważasz  
 Kiedy cię chłonę  
 Łodygą jestem  
 Puls twój w odnogach  
 Po mnie realny  
 Twój kształt się dłuży  
 Kto by cię stwarzał  
 Mną się posłuży  
 Ja jestem droga  
 Najdroższa z dróg  
 Poznasz mą cenę  
 Gdy padniesz z nóg



## **Jan Kondrak**

ur. 1959 r., ukończył polonistykę w UMCS. Autor, kompozytor i wybitny pieśniarz. Zwycięzca Ogólnopolskich Spotkań z Piosenką Kabaretową OSPa w Ostrołęce (Grand Prix), laureat nagrody głównej Ogólnopolskich Spotkań Estradowych OSET w Rzeszowie, laureat Studenckiego Festiwalu Piosenki w Krakowie (1985) i Krajowego Festiwalu Piosenki w Opolu (za tekst), dwukrotny laureat FAMY w Świnoujściu (za scenariusz i utwory dla Marka Dyjaka). Twórca i szef artystyczny Festiwalu Kultury Ekologicznej w Józefowie. Wydał trzy pozycje fonograficzne z własnymi tekstami: „Wyzwanie”, „Tym, co pod wiatr”, CD „Romanse ballady”; cztery pozycje z tekstami Edwarda Stachury (Missa Pagana, Tango Triste, Madamme i Madamme II) oraz Kolędy przy gitarze.

Autor, kompozytor i wykonawca piosenek poetyckich. Swego czasu nagradzany na festiwalach w Krakowie, Ostrołęce, Rzeszowie, Opolu i Świnoujściu. Ostatnio wyróżniony „Złotym indeksem” na czterdziestolecie Studenckiego Festiwalu Piosenki za - jak to widnieje we wpisie - „stworzenie księstwa piosenki artystycznej w Lublinie”. Współtwórca Lubelskiej Federacji Bardów. Nagrywał i wydawał utwory z tekstami Edwarda Stachury (4 tytuły). Nagrywa i wydaje autorskie utwory (3 tytuły); opublikował także poemat „13.30”. Nagrywa i wydaje utwory z LFB (4 tytuły). Dostarczył repertuaru następującym laureatom SFP w Krakowie: Robert Mróz, Jagoda Naja, Marek Dyjak, Arkadiusz Dziewulski, Agnieszka Skarżyńska, Jolanta Sip.

Bo piaszczysta zamszowa dłoń woła  
Bo jak ten chiński mur  
Tak osobnym ciebie czyni  
Bo kokardą jestem tybetańskich grani  
I tak budzę twój instynkt zdobywcy  
Bo dawno powiedziałbyś pas  
Gdybym nie była igłą kompasu  
I śadem kół na innej planecie  
Bo to przez pogoń moją na dnie kanionu  
Bo to przez komety trop  
Bo to wszystko ja przecież jestem  
Bo to wszystko ja

Twoja droga  
Z prochu planety  
Z głową u boga  
Nie zauważasz  
Kiedy cię chłonę  
Łodygą jestem  
Puls twój w odnogach  
Po mnie realny  
Twój kształt się dłuży  
Kto by cię stwarzał  
Mną się posłuży  
Ja jestem droga  
Najdroższa z dróg  
Poznasz mą cenę  
Gdy padniesz z nóg



# „KSIEŻYC NAD GŁOWĄ JAK CZECHOWICZ”

**P**rzyjeżdża Garczarek! Rozległo się konspiracyjnym szeptem po akademiku Femina. Była zima roku 1983. Niektórzy wiedzieli o kogo chodzi. Innym musiałem zanucić: ... *przyjaciół nikt nie będzie mi wybierał/ wrogów poszukam sobie sam/ dlaczego kurwa mać bez przerwy/ poucza ktoś w co wierzyć mam...?(1)* Działo.

Koncert odbył się na Czechowie, w mieszkaniu asystenta Instytutu Romanistyki UMCS Tomasz Stróżyńskiego. Skradaliśmy się konspiracyjnymi trójkami w improwizowanych odstępach. Trzeba było mieć kogoś wprowadzającego i grosz jakiś na honorarium. Audytorium obsiadło podłogi mieszkanka. Mężczyźni o rozpoznawalności asa wywiadu (na ogół), zaś niektóre panie były po artystowsku „odstrzelone”. Prywatny salon lubelski otwierał swoje tajemne podwoje. Tak to odbierałem. Gospodarz i artysta pojawili się tego spóźnieni. Audytorium bez pytania wiedziało o co chodzi: tak, tak... musieli kluczyć żeby zgubić ogon. Garczarek wyglądał jak powinien. Pokażna postura, twarz inteligenta, zdziwione brwi, wnikliwe spojrzenie spod ciężkich powiek, długie włosy, koszula flanelowa w kratę – coś jakby uciekinier z Polskiej Akademii Nauk, który wybrał los farmera w Bieszczadach.

Po koncercie podniosłem się szybko z podłogi, bo kości bolały ale przeżywałem go jeszcze półtora roku. Tyle bowiem czasu minęło zanim odważyłem się napisać coś nowego. Wszystko co śpiewał Garczarek tamtego wieczoru było niewiarygodnie wiarygodne. Szalenie podobne do życia jakie przeżywa zwykły człowiek, bliźniutko mu towarzyszące, a jednocześnie uniwersalne i monumentalne. Można powiedzieć, że w tym co zrobił „część staje się większa od całości” (2), i ta część ma w tej całości wielbiciela. Szlagiery z list przebojów stały się dla mnie raptem małe i nie z tej planety. Śmieszne jak krasnale ogrodowe Jak on osiągnął tę wiarygodność? Musiałem sam sobie odpowiedzieć zważywszy, że cała bieżąca twórczość podziemna, poza tym co robił Jan Kelus była niewiarygodna.

*przyjaciół nikt nie będzie mi wybierał  
wrogów poszukam sobie sam  
dlaczego kurwa mać bez przerwy  
poucza ktoś w co wierzyć mam ...?*

*niech się gazeta „Neues Deutschland”  
wstrzyma z wstępniakiem o pomocy  
bo tu są ludzie którzy jeszcze  
budzą się z krzykiem w środku nocy*

*zaiste wielki to przyjaciel  
znowu pucuje śniedź pomników  
na wieczną chwałę i pamiątkę  
pruskich kaprali Fryderyków*

*przyjaciół nikt nie będzie mi wybierał  
wrogów poszukam sobie sam  
dlaczego kurwa mać bez przerwy  
poucza ktoś w co wierzyć mam ...?*

*jakim wy prawem o wolności  
głosicie bracia w „Rudym Prawie”  
wszak to od waszej nie ostatni  
zwariował pisarz Ota Pavel*

*przebac mi smutna Bratysława  
Hradcu Kralowy Zlata Praho  
za śmierć jaskółki tamtej wiosny  
i polskie tanki nad Wełtawą*

*przyjaciół nikt nie będzie mi wybierał  
wrogów poszukam sobie sam  
dlaczego kurwa mać bez przerwy  
poucza ktoś w co wierzyć mam ...?*

Cytowana piosenka jest osobna w twórczości Garczarka i osobliwa w całym kontekście literatury śpiewanej. Jednakże kilka cech twórczości mistrza ujawnia:

- Utwór Garczarka lubi konkret. Również historyczny. Zawiera wiele ogólnej wiedzy o świecie, takiej którą można zdobyć oficjalnie (inwazja wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację) jak i wiedzę, którą trzeba umieć zdobyć („jaskółka tamtej wiosny” to Jan Palach – popełniający samobójstwo w proteście przeciwko inwazji, a losy Oty Pavla, autora *Śmierci Pięknych Saren* też nie były oficjalnie znane). Zamiłowanie do konkretności to też nasycenie nazwami własnymi miast, miejsc i codziennych gazet. Metodą aluzji i presupozycji autor szybko wytwarza u słuchacza wrażenie, że tej wiedzy w piosence jest minimalna, niezbędna tylko ilość. Czyli, że on sam ma przewagę nad piosenką – mówiąc żartem.

Tak pojęty historyzm wystąpił częściowo w utworach: Łazienki (aluzje do Powstania Listopadowego; *Do obywatela Jana Jakuba Rousseau kilka pytań w sprawie „Umowy Społecznej”*; *Sobocie* (o taksówkarzu z Pittsburga)

- Garczarek jak każdy rasowy artysta widzi to czego się na ogół nie zauważa - stały element postawy twórczej (aluzja do Fryderyka Wilhelma i całej plejady książąt o tym imieniu daje właściwe światło na fakt, że idea wrogię Polsce państwa pruskiego przetrwała w dawnej NRD - wbrew oficjalnej propagandzie). W innym utworze dostrzeże - pośród powszechnej nienawiści do patroli wojskowych w stanie wojennym - że żołnierz jest też ofiarą, figurką podobną do dziecięcych zabawek: *...dali ci karabin/kulek łódki dwie/ w serce soku z malin/ po kolana śnieg...* Gdzie indziej zauważy, że tarcza od frontu jest bezbronna, podczas gdy cały literacki świat patrzył na nią od zplecza: *....taksówkarzu ze snu wydrążony/ z potylicą **BEZBRONNĄ** jak tarcza...* czyli - w sposób symboliczny ujmuje się za bitym.

- Metodą Garczarka jest mówić o tym co przemilczane. Tu mianowicie, że propaganda państwowa i religie wszelkie stale ingerują w prywatność poszczególnego obywatela, że jest traktowany przedmiotowo, jako niedojrzały i nieodpowiedzialny element większej całości, której dobro wymaga odeń ofiary podporządkowania. Tak jak w piosence *„popękało ze śmiechu sreberko”*: *...spokojna głowa myśli kotyśze/ prawdziwa forsa dzwoni najciszej/ a w bój ostatni o garść miedziaków/ pójdą hołtyśze szkoda chłopaków....*

- Robić to co nie jest zrobione ; taki cel zdaje się również stawiać sobie Garczarek. Nikt nie przeprosił Czechów i Słowaków za udział Polski w inwazji. Zrobił to pieśniarz. Od siebie. Odważnie i skromnie jednocześnie. W innych utworach będzie tę zasadę wcielał w życie zadając trudne pytania obiegowym sądom, przyłapując dogmat na gorącym uczynku. Ot choćby w utworze „modlitwa”: ... *z pokorą raba nie potrafię/ brać – gdy się kto zamierzy- w pysk/ widać ułomny jestem Panie.../ nic tylko usiąść z żalu wyć...*

- Koniecznie znaleźć odpowiednią formę i stylistykę. Bo rzecz jest również w samym języku i w koncepcji opowiadacza. Jan Kelus zastanawiał się: „...*jak tu znaleźć słowo, które nie będzie brzmieć fałszywie potem...*”(3) Otóż nic tak nie służy wiarygodności pieśni jak pierwsza osoba liczby pojedynczej (tu akurat skonfrontowana ze zbiorowością nazywaną raz braćmi, a raz zastąpiona nazwą gazety). Nic tak dobrze nie robi na trwałość pieśni jak odpowiedni dystans do aktualnej mowy żywej, tu z założenia niezbyt odległy, a użycie wulgaryzmu świadczy prawdziwie o stanie psychiki podmiotu. W końcu to pieśń buntownicza. A że to hymn - przeto zastosował autor dominujący zabieg stylistyczny: pytania zamiast odpowiedzi. Czysta, klasyczna retoryka, organizująca formalnie cały tekst.

Konkret plus jasny tok narracji powodują, że ucho słuchacza i oko czytelnika nie zatrzymuje się na powierzchni tekstu, gdyż ten został uczyniony maksymalnie przezroczystym. Opowieść konkretyzuje się w głowie odbiorcy jako suma obrazów, zdarzeń i stanów emocjonalnych. To dla piosenki szalenie ważne. Ona jest przeznaczona do słuchania i w trakcie tegoż aktu powinna być zrozumiała. Poszerzenie warstw intelektualnych odbywa się tu poprzez system aluzji. Nie wpadłem na to od razu choć to widać. Kiedyś zapytałem Garczarka co aktualnie robi. Odpowiedział, że czyści najnowszy tekst z „ozdobników polonistycznych”. Dla mnie, studenta polonistyki, fakt, że mówi to „skończony polonista” był szokiem. Ale to jest element metody i konsekwencja przyjętych założeń.

Nawiasem mówiąc ani ojczyzna polszczyzny ani takie spotkania jak u Strzyńskiego niespecjalnie rozpieszczały swojego wybitnego szermierza słów, skoro pojawiały się w jego ustach takie zwrotki: ... *w Bełchatowie zamieszkam w hotelu/ odkrywkowym górnikiem zostanę/ by spod ziemi potrzebny minerał/ dla ojczyzny dla kraju wydzierać...*

Albo: *drogą prostą jak w pysk strzelił na Wandalin/ lecieliśmy zrywać jabłka do Zadola/ ksiądz poeta dobre miejsce nam naraił/ lecieliśmy za urodzaj chwaląc boga...*

Albo bardzo lubelska: *u Tereski Zajęzycy/ połonińskiej carycy/ nikoguško przed sezonem/ tylko krzoki z Górnych/ zapodziałem się i Wacek/ Biały z miasta Lublin/ zapodziałem się i Wacek/ Biały z miasta Lublin/ ech ty losie nielaskawy/ jebał cię pies bury/ żeś nas obu zadołował/ tośmy poszli w góry...*(4)

Myliłby się jednak ten, kto sądzi, że skarga na los dominuje u Garczarka.. Czymś co zdecydowanie wyróżnia tego poetę jest usilna dążność do dostrzegania pozytywów życia. Dążność do homeostazy, stoicyzm pewien. Nigdy natomiast nie jest to oderwana od racjonalności deklaracja optymizmu.

*nie jest mi dobrze tak do końca  
ani tak bardzo w końcu źle  
pod bladożółtą blaszką słońca  
dopóki mogę wierzyć że*

*jest jeszcze tutaj pieśni parę  
których nikt za nas nie napisze*

*i prawda jest ze w życia prozie  
poetów wini się za ciszę ... (5)*

Albo:

*Dopóki w dulkach chodzą wiosła  
I sprzyja siostra – widoczność ostra  
Praca nienudna  
Woda niebrudna  
- cudna żegluga*

*póki w marzeniach pająk cukrzyk  
tęsknoty słodkiej przędzie nić  
sprawa jest prosta  
musi się udać  
i dobre będzie  
co ma być... (6)*

Człowiek sięga po pióro na ogół wtedy, gdy spotka go nieszczęście. Niefart jest pierwszym posądzanym o nosicielstwo twórczości. Każdy, kto próbował napisać coś dobrego o życiu, wie jak ciężko jest radość istnienia uzasadnić artystycznie, nie popaść w naiwność. Garczarek to umie. Z mistrzowskim wyczuciem dozuje zachwyty i zwątpienie. Dobro jest uwarunkowane. Wszak mówi, że jest mu dobrze ale nie do końca, a dobre będzie tylko to co ma dobre być.

- Garczarek, jak każdy współczesny twórca, przed posądzeniem o naiwność broni się ironią, poczuciem humoru, nawet satyrą. Za to w przeciwieństwie do konkurencji nie jest w tym złośliwy. Nie stara się dokuczyć, zniszczyć. Prezentuje raczej czeski typ humoru, hrabalowski. Wyrozumiały i troskliwy. Jest w tym absolutnie wyjątkowy. Należą do niego teksty poświęconym poetom: *weź ty się ożeń poeto Piotrowski/ chodzisz tak chodzisz po tym Krakowskim/ daj się namówić/ co ci w końcu szkodzi/ ludzi w aniołów nie przerobisz...* (7)

Albo: *święty Piotr na bramie/swoją ma kanciapę/ wytapetowaną/ w plakaty behape/każden kto do raję dostał skierowanie/musi z nim obgadać zakwaterowanie/ kto tam.../Piotr się pyta/ stoi ktoś przed kratą/ wpuść mnie święty piotrze/(...) to ja Kazik Ratoń/ Piotr się ulitował/ przepuścił niebogę/ bezinteresownie/ naprawił mu nogę...* (8)

W Średniowieczu nazywaliby Garczarka Dobrotliwym. Bez wątpliwości. Zdziwił mnie kiedyś pytaniem o los Kazimierz Grześkowiaka. Zaraz po tym, gdy się okazało, że przyjechałem z Lublina. On, doskonale pominięty przez branżę, król undergrundu śpiewaczego pyta o krezusa estrady? Otóż pytał. Był wyraźnie zafascynowany jego twórczością. Nawet jednemu z aniołów rękodzielniczych nadał imię Kazik. Ba - potrafił nawet złożyć w piosenkach rodzaj hołdu Jonaszowi Kofcie i Agnieszce Osieckiej. Przyznam, że łatwiej mi było zrozumieć Jaltę niż ten gest w stronę przedstawicieli tak nieprzeniknionej socjety. No ale cóż, prawdziwa wielkość jest bezinteresowna. Starałem się wysnuć z tego wnioski dla siebie.

- Nie ma miejsc lepszych i gorszych dla twórczości, są tylko opisane i nieopisane - zdaje się mówić Garczarek poprzez zamiłowanie do konkretnych miejsc. Na szlaku jego peregrynacji poetyckiej znajdziemy autentyczne warszawskie ulice - ale też Olecko, Wyszembork, Grzmiącą, Gawliki Wielkie, czy Lublin. (W katalogu odniesień - frekwencja miejscowości jest ogromna). Miejsce, gdzie wydarzyło się coś inspirującego zawsze wchodzi do wiersza z nazwą własną. Ktoś powie, że to brak zaufania do fikcji literackiej. Być może, ale w czasach relatywizmu, umowności i niechęci do wartościowania takie zakotwiczenie dzieła wspomaga wiarygodność i już.

Poeta zauważył swoją obsesję miejscowości peryferyjnych i z wrodzoną przekorą napisał tekst:  
*nie byłem nigdy w Dorohusku/ Krajniku Dolnym Sławatyczach/jakoś nie przyszło mi do głowy/  
żeby Miedonią się zachwycać/(...)w Szczecinie byłem/lecz Szczecinek...!/po nocach sen mi spędza z  
powiek/wstyd mi że również tam nie byłem/ dlatego więcej nic nie powiem(9)*

Tak więc konkretne zdarzenia, miejsca, nazwiska. Ponadto przekora, pokora wobec faktów i wielkości, poczucie humoru, dobroć, chęć pod włos rzeczywistości, branie w obronę przegranego, pokazywanie drugiej strony medalu i jego ząbków - to elementy składowe zjawiska piosenek panaandrzejowych. Nie wszystkie. Nie da się objaśnić całej alchemii słowa i sposobu kojarzenia, które towarzyszą każdej oryginalnej twórczości. Także tej, Garczarkowej. Natomiast da się udowodnić, że miała ona ogromny wpływ na kształtowanie się gustów i stylów pieśniarzy debiutujących w latach osiemdziesiątych. Myślę tu o Mirosławie Czyżykiewiczu, Piotrze Bukartyku, Tomaszu Olszewskim i o piszącym te słowa. A zdarzenie opisane w piosence „Lublin” miało miejsce rzeczywiście. Wracaliśmy do Lublina po koncercie w klubie Iskra, w Świdniku. Sztuka się odbyła bez aplauzu. Organizatorzy powiedzieli nam, że na sali byli wyłącznie głuchoniemi z pobliskiej szkoły, którzy tego dnia mieli zbiorowe wyjście do lokalu. Mogliśmy trafić gorzej, na wycieczkę Węgrów - skwitował pan Andrzej w charakterystyczny dla siebie sposób. W Lublinie śniegu było tyle, że droga przez Park Ludowy się wydłużyła i nie zdążyliśmy na kolację z kolegami grającymi w klubach miasta królewskiego. Pozostało nam zauważyć fizjonomię księżycy i przeżyć w cichości sukces świdnicki.

*na karku prawie czwarty krzyżyk  
w papierach grajek estradowy  
i znowu Lublin i cześć Pieśni!  
Księżyc nad głową jak Czechowicz*

*na skrótach brachu ścieżką pieszką  
prowadź przez noc i Park Ludowy  
z sześciostrzałówką na ramieniu  
śpiącą w kołczanie brezentowym*

*trza by tutaj swojskich pieśni  
naszeptać Jaśku skośnooki  
w żłoby nadziei sześciokonnej  
sypnąc złościście garść obroku*

*na skrótach brachu ścieżką pieszką  
znów od Zamościa duje mrozem  
napalić w sercach ludziom trzeba  
a wiosną sływać z pierwszym lodem (10)*

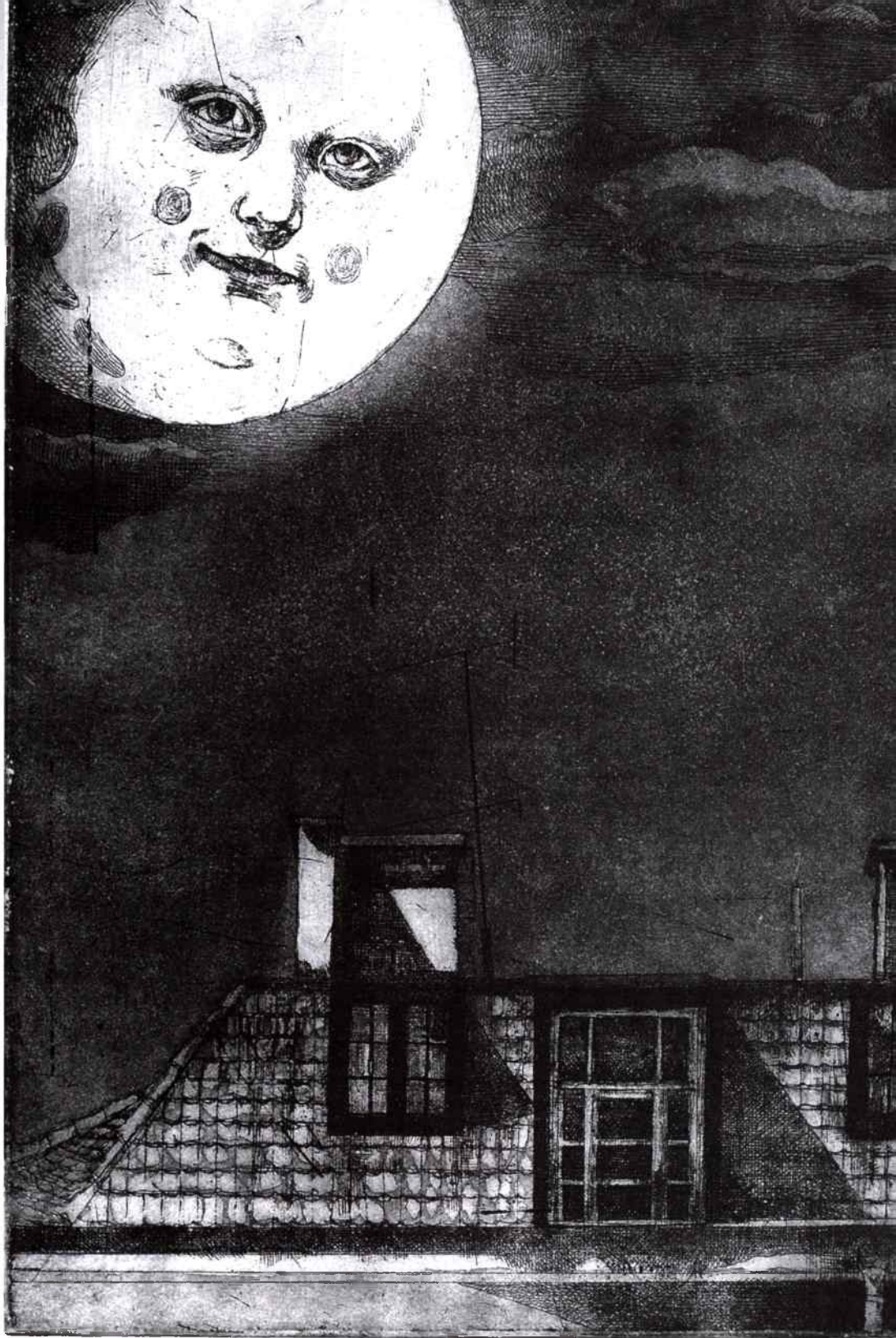
**PRZYPISY:**

1. A. Garczarek, Przyjaciół nikt nie będzie mi wybierał
2. Cezary Listowski, przytoczenie z wiersza Drogowskazy na wietrze
3. Jan Krzysztof Kelus, Przed nami było wielu
4. Wacek Biały (s.p.): chodzi o zaprzyjaźnionego z poetą redaktora Radia Lublin i później naczelnego Gazety Wyborczej w Lublinie
5. A. Garczarek, Pod bładożółtą blaszką stońca
6. A. Garczarek, Cudna żegluga
7. „Do Piotrkowskiego – poety
8. „Kazik Ratoń
9. „Nie byłem nigdy w Dorohusku
10. „Lublin

**ANDRZEJ GARCZAREK**

UKOŃCZYŁ POLONISTYKĘ W UNIWERSYTECIE WARSZAWSKIM. AUTOR, KOMPOZYTOR I WYKONAWCA PIOSENEK. WYDAŁ JEDNĄ PŁYTĘ WINYLOWĄ I DWIE KOMPAKTOWE. TEKSTY OPUBLIKOWAŁ W DWÓCH TOMACH: KROWIE CIEPŁO I ANDRZEJ GARCZAREK. WSPÓŁPRACOWAŁ Z RADIOWĄ TRÓJKĄ, W PROGRAMACH TAKICH JAK: ZGRYZ I KANTOR WYMIANY MYŚLI I WRAŻEŃ ANDRZEJA GARCZARKA. W KILKU MIASTACH POLSKI ZORGANIZOWAŁ KANTOR JAKO ZDARZENIE ULICZNE. OD PARU LAT MIESZKA NA MAZURACH, PIĘĆ KILOMETRÓW OD DROGI BITEJ I TYLE SAMO OD JEZIORA GAWLIK WIELKI.





# nasze debiuty



## Aneta Musiol

– tegoroczna absolwentka I Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Kaspro-wicza w Raciborzu. Obecnie studentka prawa w Uniwersytecie Opolskim.

### EROTYK PORANNY

słońce rozbiera ciemność pokoju  
delikatnie powoli wchodzi w nią  
między szafkami

dzień został poczęty  
pod łóżkiem

obnaża nagość  
wplecioną w jego ramiona  
pośpiesznie rozrzucone w pościeli  
słowa pocałunki nocy  
jeszcze pachnącej  
sukienkami

odeszli do rana

dzień spływał po ścianie  
jej łzami

# *nasze debiuty*

## **NIE BO NIE**

„Tak ciasno tak obco  
to nie to niebo”

Inne zamknięte  
Pozostaje zostać

Rozchodzimy się nie pamiętając  
Godziny spotkania

Każdy ma swoje miejsca  
Coraz częściej do nich uciekamy  
Nie zabierając się nawzajem

Kiedyś się zgubimy  
Nie będziemy mogli się znaleźć

Ty weźmiesz Ariadnę  
Ja

Nić



## **Elżbieta Gładkowska**

– tegoroczna absolwentka I Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Kasprówicza w Raciborzu. Obecnie studiuje filologię polską w Uniwersytecie Wrocławskim. Inicjatorka wielu pozytywnych działań społecznych.

# ZNIKNIĘCIE MESJASZA

**To** wszystko dzieje się, powiedzmy, między 23 a 27 sierpnia 1936 roku, a możliwe że do połowy września, bo dwa dni po powrocie bohater nasz pisze list do znajomej, że pewnie wybierze się do Katowic, aby tam sfinalizować sprawę małżeństwa z Juną.

Możemy się domyślać, że za sprawą głośnej pisarki z Warszawy, której przyjaciel z kręgów ministerialnych postanawia pomóc śmieszному, czarniawemu prowincjuszowi, Bruno Sch. już w początkach sierpnia zostaje wpisany na listę pasażerów szwedzkiego statku handlowego „Trelleborg”, którym odpłynie z redy w pobliżu gdyńskiego Dworca Morskiego o jedenastej przed południem 23 dnia sierpnia. Powinien pojawić się z bagażami na godzinę wcześniej.

- To pana miejsce – mówi steward w przybrudzonej białej kurtce. Otwiera skrzypiące drzwi i wskazuje ciemną kajutę ruchem dłoni. – Pomogę się rozpakować.

- Nie ma potrzeby – mówi Bruno. Walizka niewiele waży. Sięga do kieszeni po monetę, ale nic tam nie znajduje, dlatego szybko tą samą ręką zdejmuje kapelusz i zaczyna się nim lekko wachlować.

Bruno patrzy na wysokiego młodzieńca lekko przekrzywiając głowę, z tym swoim spojrzeniem kogoś wiecznie zawstydzonego, kto bardzo zawinił, i usiłuje ukryć prawdę, która jasno maluje się na twarzy.

Kajuta jest wąska i nic nie wskazuje na to, że będzie wygodna. Wąska prycza po lewej, naprzeciw przymocowany do żelaznej ściany pomalowanej na szaro stolik i wieszak, na którym zaraz umieszcza płócienną marynarkę i kapelusz.

Nie wiadomo z kim Bruno wybrał się w tę podróż. Może jest sam, aby wszystkie te spiętrzone kwestie dokładnie, definitywnie przemyśleć – nieszczęsny żywot nauczyciela w prowincjonalnej dziurze, który zajmuje tylko czas, nie przynosząc ani możliwości pisania, ani stabilizacji finansowej. Słał list za listem do urzędów stołecznych, ale odpowiedzi nie przychodziły, albo formułowano mętne zalecenia, radzono cierpliwość, responsowano wymijająco.

Bruno ma jednak kilka spraw do załatwienia. Kiedy we Lwowie wygłaszał odczyt na temat Tomasza Manna, pojawił się na sali Ochorowicz. Tam go poznał, jeszcze kilka wizyt sprawiło, że pojął po jakimś czasie, iż tamta oferta, osoba rozmówcy, wizja świata naprawionego, bez lęków i ciemnego wstydu, staje się obiecująca, kusi.

Ma więc dwie sprawy – powiedzmy: obowiązek i przyjemność. Odwieźć papiery, zamknięte na kluczyk w cienkiej skórzanej teczce komuś ze Sztokholmu. Potem zaś czeka go wycieczka na Gotlandię, obiecana jazda na rowerach i coś w rodzaju malarskiego pleneru grupy z Janowa i kilku ludzi z wyspy.

Tym kimś, kto czeka na przystani, jest Lars, szwedzki kuzyn mistrza Filipa Hohmana, Różokrzyżowca. Także wtajemniczony. Wie, że pisarz i malarz z Polski potrzebuje pociechy, chce odzyskać poczucie równowagi. Orientuje się także, że Bruno nie tylko cierpi na coraz bardziej nasilające się stany depresyjne, ale i na agorafobię. Musi pamiętać, aby przechodzić z Brunem tuż pod murem sztokholmskich kamienic, a po odkrytych przestrzeniach placów przemieszczać

się w dorożce lub choćby tak absorbować gościa rozmową, aby nie rozglądał się nerwowo na boki.

Możliwe, że Bruno pierwszego popołudnia gdzieś się zawieruszył. Wymyka się z pokoju, w którym go umieszczono, i pojawia się dopiero późnym zmierzchem. Lars pukał do niego i zapraszał na posiłek, ale, gdy nie usłyszał żadnej reakcji za drzwiami, uznał, że gość śpi mocno, i nie słyszy pukania. Potem Bruno tłumaczy się twardym snem po morskiej podróży, kiedy tak niepewnie stąpał po delikatnie rozkołysanym pokładzie.

Niektórzy twierdzą, że widziano go w willi, zwanej Czerwonym Domkiem, przy Vegagatan 66, gdzie gości spragnionych uciech cielesnych przyjmowała w gronie innych dziewcząt olbrzymka z Jutlandii, z którą można dogadać się po niemiecku. Kariatyda z pejczem z barwionej na



różowo skóry w potężnej ręce, która, jak żadna, potrafi dostarczyć prawdziwie bolesnych przyjemności. Czy tam był? Czy w samej koszuli i skarpetach ledwo trzymających się na chudych, owłosionych łydkach biegał na czworakach wokół empirowego stolika, nic o tym pewnego nie wiadomo. Zwłaszcza, że okno buduaru na piętrze osłonięte było szczelnie zasłoną, za oknem zaś rosło rozłożyste drzewo.

Nazajutrz, nie mieszkając, jechano do portu, gdzie cumowały kutry rybackie i większe łodzie motorowe. Morze było spokojne. Krótka podróż do V. zapowiadała się niemal komfortowo.

Lars umieścił go w dawnym towarzystwie gimnastycznym dla chłopców, domu ufundowanym przez Kronprinsa Oscara ponad sto lat temu, stojącym nad urwiskiem, przed jedynym czynnym kościołem w tej części miasta. Miał pokój z widokiem na wysmukłe, białe wieże, a dalej, na morze, po horyzont. W trawie pod oknem zauważył jeże i wychudzonego kota.

Pierwszego dnia jadą na rowerach na krótki rekonesans wokół stolicy wyspy, docierają aż do południowego klifu. Z tej wysokości mur okalający stare miasteczko i parterowe, w większości, domki z modelami żaglowców w okienkach, sprawiały wrażenie czegoś fantastycznego.

Drugiego ranka przez Lummelundę i Martebo jedzie z przewodnikiem obejrzeć półnaturalną warownię w lesie, wielki wał ziemny okalający dużą przestrzeń, gdzie chronili się zbiegowie i okoliczna ludność przed najeźdźcami. Wracają koło kopca – grobowca wodza Gotów i obok kamiennej łodzi, w której zmarli wojownicy wracali do wieczności.

Nie może uwierzyć, że tę surową północną wyspę opływa przyjazny, ciepły prąd, dzięki któremu rosną tu obficie róże, a w czerwcu miejscowa śmietanka towarzyska i przyjezdni artyści obchodzą „święto szparaga”.

Wieczorami w ciągu tych kilku dni, jeśli tylko nie wraca zbyt późno, popija drobnymi łykami piwo z tutejszego browaru. Łagodzi nieco pojawiające się dolegliwości nerkowe, zdumiewająco korzystnie usuwa niedawną dyspepsję żołądka. Gunilla Forsen, gospodyni, stawia przed nim blaszany kufel, a on w kącie przy oknie usiłuje czytać Skandynawów i Niemców.

Myśli o wpływie światła na twórczość tutejszych pisarzy i ich losy. Ibsen, Strindberg, Ham-sun... krótkie dni, długa zima, wielogodzinny zmrok od wczesnego popołudnia do późnego ranka. To nie mogło wróżyć szczęśliwych rozwiązań.

Długo w noc, gdy wracał do siebie i usiłował usnąć, słyszy krzyki obłąkanych w zakładzie psychiatrycznym za łąką w nowej części miasta.

Kiedy Bruno ze szkicownikiem i książką w rękę siada po śniadaniu w załomie muru, tuż za jedną z bram, tam gdzie biegną ku morzu dwie ścieżki, a przed samą plażą stoi odtworzona według dawnych wzorów potężna katapulta, temperatura nie przekracza dziesięciu stopni Celsjusza. Trochę więc drży, zaciera ręce, nie może skoncentrować się na słuchaniu i oglądaniu ptaków, które przelatują na południowy cypel wyspy. Popasają tam, a potem szykują się do odlotu, Mistrz Teofil, około kilometra na północny wschód, za stromym dachem dawnego szpitala choleryków, ustawia sztalugę w kamiennym kręgu, pozostałości po dawnym kulcie. I choć przed nim kołysz się wielka, rozświetlona blacha morza, a za nim kłębią niskie krzewy, maluje słonia w kolorowej dżungli, pełnej strzelistych drzew skosmaconych sierścią porostów.

Bruno rozgrzewa się dopiero koło południa, a przed samym obiadem w stroju kąpielowym przechodzi przez otwór w murach prowadzący wzdłuż małego ogrodu botanicznego, mija miłorząb i już siada na plaży, zanurzając drobne dłonie w warstwie ciepłych kamieni. Wybiera te, które według tutejszych wierzeń przynoszą szczęście, z dziurką, przez którą, jak przez okular, raz po raz spogląda na dziwaczne skały wyrastające prosto z morza.

Seanse odbywają się po dziesiątej wieczorem – w ruinach jednej z kilkunastu katedr miasta V. naprzeciwko piekarni. Pozostałość ołtarza służy za stół, zebrani przynoszą z podcieni, w których wygoszodarowano pomieszczenie zamknięte na kłódkę, dziewięć drewnianych krzeseł.

Mistrz Świątyni Ducha i Światła kładzie na chłodnej o tej porze kamiennej powierzchni starą Biblię. Otwiera Księgę na apokalipsie Janowej, tam gdzie ze strony na stronę umyka zdanie o Fałszywym Proroku: „I zwoździ mieszkańców ziemi znakami, które jej dano uczynić przed Bestią, mówiąc mieszkańcom ziemi, by wykonali obraz Bestii, która otrzymała cios mieczem, a ożyła”. Pod Biblią leży sztylet. Mistrz kładzie prawą rękę na księdze, a lewą podaje Pierwszemu Wtajemniczonemu, ten ujmuje dłoń następnego brata. Zawiązuje się krąg. Ostatni w kolejności wznosi rękę w powietrze jakby w geście pozdrowienia, skierowaną ku wąskiemu, gotyckiemu oknu, przez które prześwieca teraz bladożółty księżyc.

Teofil odzywa się cicho do Bruna:

- Mamy na celu osiągnięcie zdrowia, szczęścia i pokoju w ziemskim życiu. Dobrze, że zwróciłeś się do nas o pomoc i radę. Widziałem twoje rysunki, twą Księgę – nie żyjesz zgodnie z założeniami natury. Daleki widok przesłania ci to nieczyste w tobie, które sprawia, że boisz się kobiety. Ten widok, aż na drugą stronę zielonej doliny, przysłania ci też zwykły niedostatek i by-



lejałość życia, i zmęczenie idące od marudnych krewnych, i niezafatwione sprawy, bo nie chcesz ich rozstrzygnąć, bo uważasz to za niewykonalne.

Mylisz się, i tylko to musisz sobie uzmysłowić. W ciągu tych paru dni badaj znaki, rysuj, co serce dyktuje, a znajdziesz wytłumaczenie i uspokojenie. Bracia będą cię wspierać, ptaki tutejsze prowadzić. Idź za światłem, za świetlistością północy podążaj.

Zdumiewa go ta przenikliwość, wiedza o nim, bo przecież nie lubi zwierzeń, czasami tylko dzielił się z przyjaciółmi swymi kłopotami, ale przecież nie wszystkimi. Niektórych nie udawało się nawet nazwać. Dziwi go i to, że ci ludzie, którzy teraz trwali w medytacji, nazajutrz spokojnie, jak wszyscy, jedzą śniadanie, przyjaciel Larsa naprawia buty, Lars po tamtym seansie wraca zaraz do piekarni, aby już przed świtem świeże bułki i korwy zapiekane z mielonym mięsem czekały w witrynie na wieśniaków jadących na targ. Może widok tamtego szewca podzelowującego stare trzewiki i głośny śmiech jego chłopaka w ciemnej izbie z zakratowanym oknem na tyłach sklepu przypomni mu się, gdy siądzie nad ostatnim opowiadaniem - o synku szewca upodabniającym się stopniowo do zydła.

Ostatniego popołudnia przed podróżą spotyka się z Mistrzem raz jeszcze. Mistrz napomina go powtórnie, i żegna.

Przed nim niespokojne godziny, z pojawiającym się we śnie ojcem Jakubem, który wręcza mu w przedpokoju przy Floriańskiej 10 srebrnego talara, na awersie święty Jerzy zabija smoka. Przez szkło powiększające Bruno widzi łaćński napis, którego nie sposób odczytać.

Nad ranem, kiedy czuje przenikliwe zimno niewyspania, już spakowany, pisze do Romany H., że zarzuca pomysł Mesjasza, prócz dwóch fragmentów publikowanych w poprzedniej książce, nie ma już nic, i nic więcej nie powstanie. Rękopisy i szkice niszczy, resztki wrzuca do kubła przy piecu kuchennym. O tej porze Gunilla czyści już popielnik. Bruno nakazuje sobie wszystko, co niepotrzebne, zapomnieć.

List oddaje na poczcie, tuż za murami, zanim wejdzie po wąskim trapiu na stateczek unoszący go z tej świetlistej wyspy na ląd.

Koperta, trzeba trafu, spada ze stołu w sortowni, między ścianę a przylegające do niej brunatne linoleum, tam gdzie nigdy się nie zagląda. Za parę dni, kiedy Bruno wsiądzie do warszawskiego pociągu wiozącego go w dół mapy, na południowy wschód, pęknięcie rury na piętrze spowoduje zalanie urzędu pocztowego.

Z listu pisanego czarnym atramentem, z rzędów równego pisma, muru okrągłych liter, zostanie przybrudzony papier, na którym, zamiast słów przetrwa, też na niedługo, ciemny krąg, smuga szarości. Nic.

## GNIAZDA

DLA MARTY-PRAŻANKI

zakładamy gniazda pod latarniami  
obcych miast. mościmy leże  
w zaułkach i na wzgórzach skąd bliżej w błękit.  
pędzimy stropioną nadzieję. boso  
po kocich łbach gdzie mieszka szczęście.  
ale nas nie poznaje. obce i odwrócone.  
a ból. w liszajach kamienic na twarzach  
kloszardów wita nas z otwartymi kikutami.  
no. wreszcie jesteście. a już myślałem  
że chcecie tego co wszyscy. bez was  
nie dam rady opłakiwać pustki. przytulić się  
do mchu. pochować tego gołębia. odetchnąć.  
przywołać wszystkich odartych ze skóry  
złudzenia.

10 X 2006





MUSEUM

CONNEXION  
01 42 85 84 84

Paul Robespierre

8



Z NASZYCH MIEJSC

JADĘ NA UKRAINĘ. AUTOSTOPEM. SAM.  
 LUDZIE, KTÓRZY O TYM SŁYSZĄ, POWTARZAJĄ:  
 „TO JEST NIEBEZPIECZNE”, „TAM DZIAŁA MAFIA”,  
 „MOGĄ CIĘ OKRAŚĆ I ZABIĆ”, „NIE BOISZ SIĘ?”  
 BOJĘ SIĘ.  
 LUDZI, KTÓRZY ŻYJĄ W TAKIM STRACHU...

# UKRAINA

**P**rzedsmak Ukrainy już na targowisku w Przemyślu. Wokół strefy przygranicznej podejrzane interesy. Tępe osiłki ze złotymi zębami to nie tylko stereotyp.

Przekraczam granicę pieszo. Pobili się dwie Ukrainki, bo wszyscy śpieszyli się na ostatni pociąg w kierunku Lwowa. Z wizowym karteluszkim nie ma najmniejszego problemu.

Pierwsze wrażenia kształtuje walka olbrzymich psów - na środku drogi pomiędzy ciągiem kantorów i przystankiem. Coś barbarzyńskiego wisi w powietrzu. Przesławiam czas.

Zabiera mnie na stopa Hiszpan, wytrawny podróżnik. Ciemno, ciemno, ciemno... - mówi, że nawet w Mali jest więcej nocnego oświetlenia ulicznego...

Wjazd do Lwowa - nie trzeba żadnych ograniczeń prędkości, bo główna arteria przykryta przedwojennym, silnie powybrzuszonym brukiem. Ale gdyby tak parę operacji plastyczno-kosmetycznych, to Kraków wyglądałby przy Lwowie bardzo blado.

Zatrzęsienie busów. Sprzedaje się wszędzie i wszystko. Ceny nieraz podwójne albo próby oszukiwania na wadze. Funkcjonują staruteńkie liczydła. Ogromna pazerność. Nagabywacze. Dużo małych spożywczych sklepów, ale myślenie „klient nasz pan” dopiero raczkuje. W aptekach tyle samo ludzi, co w spożywczych.

Jakiś tubylec porównuje Ukrainę do Hondurasu. Starszy mężczyzna przeprasza, że już zapomniął polską mowę.

Chyba każde miasto widziane z góry, z wieży widokowej, traci swój urok i specyfikę - staje się jakieś podobne do wszystkich innych. Z Lwowem jest podobnie.

Straż miejska nie goni za pierdołami. Nie czuje się, że niedziela - ruch taki sam. Na chodnikach siedzą ludzie, którzy oferują zważenie się na wadze łaźienkowej, za parenaście kopiejek, a do tego sprzedają słonecznik. Wokoło mało muzyki.

Sporo prymitywnych salonów gier, a na ulicach automaty, do których wrzuca się tylko pieniądze i czeka na wynik. Przy zupełnej bezwolności grającego. Chętni stoją w długiej kolejce.

Potrącisz kogoś niechcący, dopytasz o cenę, a mogą na ciebie sfrustrowani wybuchnąć - drażliwi, obrażalscy, swarliwi, nieraz nieprzychylni, w najlepszym razie obojętni. Nieokrziesanie

w środku, na zewnątrz przygnębienie i depresja. Ale powoli się z tym oswajam. Co nie znaczy, że nie ma ludzi, którzy się uśmiechną i są skorzy do rozmowy.

Kieruję się na południe od Lwowa. Pasterze i pasterki, jadąc na rowerach, poganiają dobytek. Na górskiej drodze wyprzedzają się ciężarówki. Opustoszałe, zardzewiałe resztki zakładów.

Kontrola drogowa - uff, nawet się nie zająknęli o łapówce. Ponoć pierwszym wymiernym efektem rządów Juszczenki było zlikwidowanie starej milicji drogowej, wymuszającej pieniądze.

Syf. W niektórych miejscach bieda aż piszczy. Ale główny rytm wyznacza nie tyle bieda i głód, co beznadzieja.

Kible kucane - nic oprócz dziury w podłodze i opłaty w kwocie 50 kopiejek. Na prowincji szare, nieciekawe ubrania. Babiny w chustach. Młodzi trochę lepiej ubrani. Dziko, wcale nie w znaczeniu przyrodniczym. Śmierząca smoła na jezdniach. Dziury, że „hoho”. Liczne furmanki. Sprzęt powojсковy, używany do wszelkich innych rzeczy, ze żniwami włącznie.

Moskwicze, zaporozce, lady - w nieskończoność naprawiane, wciąż działają. Do tego wołgi klasy lux, trzykołowe motory, ale także mercedesy z pierwszej półki. Dużo samochodów z przyciemnianymi szybami. Z reguły miejsca zajęte w całości. Auta, które sprowadzono z zagranicy, dalej jeżdżą z nalepkami identyfikacyjnymi tamtych państw.

Zakarpacie przy granicy z Rumunią - góry jak góry, po Dolomitach czy Pirenejach dosyć przeciętne. Autor przewodnika wpada w nieuzasadniony zachwyt, chyba nigdzie poza Ukrainą nie był ...

Ludzie nie podróżują, nie znają walorów turystycznych swojego regionu. Mało domyślni, gdy brakuje mi jakiegoś słowa. Informacja turystyczna, jeśli jest, to zamknięta. Trzeba pytać i pytać samemu. Ma to wszystko swój urok, można poznać do głębi odmienną tętejszą mentalność.

Stosunek do kobiet często nie wykracza wcale poza zwierzęcość. Przypomina mi się tekst pewnej piosenki: „jak ciastka musisz robić dzieci”. A sutki tętejszych dziewczyn i kobiet wyjątkowo sterczą spod bluzek - grube, twarde, mięsiste, rzeczywiście seksowne. Spomiędzy tej zwierzęcości nieśmiało wзира Ukraina europeizująca się. Stare plakaty wyborcze Juszczenki: „Ja wierzę w Ukrainę”. Ja chciałbym, ale na razie nie bardzo mi się udaje.

Często widać kąpiących się w rzekach. Albo te rzeki są tak czyste, albo ich tolerancja na brud jest tak wysoka. Czasami to pierwsze, a czasami to drugie. Mało boisk i w ogóle wszelkiej infrastruktury. Ale za górami wioski już trochę bliższe polskiemu standardom. Naturalnie. Nie bulwersuje nikogo golizna - to znaczy wędrownik w samych batkach. Na Zachodzie różnie z tym bywa ...

Malownicza twierdza chocimska nad Dniestrem. Burcząca, apodyktyczne babsko w kasie. No to nie wejdę do środka, żeby wiedziała. Listonoszka wyrysowuje mi na kartce z Avonu jak bocznymi ścieżkami dojsć i zobaczyć twierdzę z zewnątrz. No, no, no ...

Przy ogólnodostępnym źródle wysokojakościowej wody mineralnej babcia sprzedaje kwaśne papierówki. Widząc w jakim spragnieniu poję się wodą, daruje mi jeden worek. Słodki gest.

Potem rozdzielałam to wśród dzieciaków jadących autobusem na kolonie.

Zupełnie bezpiecznie.

Sporo sympatycznych rozmów - każdy albo sam pracował kiedyś w Polsce, albo zna kogoś, kto to robi. Wiezie mnie też nowobogacki - bardzo zadowolony ze swojej sytuacji materialnej. Ten nie zamieniłby się na życie w Polsce.

Za autostop chcą pieniędzy!! Działa to tutaj jak taksówka, ludzie nawet sami podchodzą i pytają, czy gdzieś nie podwieźć. Nie trzeba wystawiać ręki, wystarczy stanąć przy drodze!!! Jeżdżą tak wszyscy, nawet ludzie w garniturach. Jestem pryncypialny - nie przyłożę ręki do splamienia tak pięknej idei opłatami. Przed pytam, czy to będzie bezpłatne. Przeważają odmowy, do Kamieńca Podolskiego jednak dojeżdżam.

Nowe miasto jako takie. Stare - mimo ogromnego potencjału zabytkowego wymarłe... Małe cwaniaczki zaczepiają po polsku, rzekomo chcą na chleb.

Za zamkiem wielkie przestrzenie łąk - w sam raz na nocleg.

W sobotni rano na wzgórzu zamkowe gramoli się kobiecina - idzie na wesele, niesie dwa bukietki kwiatów, mówi: „niech nowożeńcy któryś sobie wybiorą”.

Polska parafia - polski ksiądz. Ależ nieuprzejmy i w dodatku, przepraszam, zakuty łeb.

Na placu żołnierza radzieckiego parada nowo zaprzysięganych rekrutów - nikt nie widzi problemu. W modzie męskiej buty z wydłużonym i lekko zakrzywionym ku górze szpicem.

Imponujące, olbrzymie, zakurzone bazarzyska same w sobie są wielką atrakcją. Usiąść, przystanąć, a kto ma uszy do słyszenia i kto ma oczy do widzenia, ten się dowie ... Produktem obowiązkowym są wszędzie łapki na myszy.

Gdzie się podziały koty? Uciekły przed sforami bezpańskich psów? Które na pierwszy rzut oka mogą być zatrważające, ale na drugi i trzeci rzut oka są osowiałe, pokorne, niegroźne. Czasem nienachalnie wpraszają się na wspólny posiłek.

Hala mięsna na pierwszy, drugi i trzeci rzut nosa śmierdzi niemiłosiernie.

Jeśli kurs kantorowy nie zadowala, dolary można na bieżąco wymieniać bez problemu w każdym sklepie czy na każdym stoisku. Kupując jedzenie, słyszy się szczerze „na zdrowie” - często chcą coś za resztę dorzucić, a bardzo małą resztę bez pytania wydają chętnie cukierkami. Ceny jedzenia porównywalne z polskimi, albo tańsze.

Arbuzem dzielę się z dziadkiem - mówi bardzo niewyraźnie, syna zabili mu Cyganie. Mołdawscy Cyganie. Te dzieci, które obok żebrzą, też przyjechały z Mołdawii.

Internet czasem jest dziwnie rozliczany równocześnie i minutowo, i megabajtowo.

Mało brodaczy, a na słupach ogłoszeniowych liczne anonse o skupie włosów.

Podróż pociągiem. Chaos biletowy, płatna informacja, poczekalnie o podwyższonym standardzie też płatne! Nieraz trudno znaleźć porządną, widoczny zegar. Przy szczęśliwym zakupie biletu (ceny bardzo niskie) podajesz swoje nazwisko - sprawdzają, czy w całym tym cyrku nie zapomniałeś kim jesteś. Na dalekobieżne pociągi miejsca tylko numerowane - reszta na lewo. Ktoś straszy konduktorów: „poczekajcie, jak wszyscy będziemy kupować bilety w kasie!”

W wagonie więź małżeńska umacniana grą w karty. Rodzinna - wzajemnym wachlowaniem się. Są nawet discmany i ipody. Poznaję młodą Holenderkę - też chce się dostać na Krym. Będziemy kombinować razem, kawałek po kawałku. Anglojęzyczny przewodnik Froukje trafia w dziesiątkę: „Na Ukrainie nie warto pytać, gdzie są toalety - toalety są wszędzie”.



Młodzian pod wpływem narkotyków nagania do przydworcowych barów. Chwali się, że jest czystej krwi tutejszym, rzekomo jakimś szlachetniejszym „jewrejem”. Teraz pracuje w Niemczech.

Odessa. Ofertami noclegowymi zasypują już na dworcu - mnie to nie dotyczy. Miasto ma coś w sobie - taka metropolitalna ukraińska Barcelona, ale dosyć zaniedbana i brudna. Raj dla fotografii artystycznej.

W cerkwi robią obszerny, precyzyjny, wielokrotnie powtarzany znak krzyża. Przyklękają i biją pokłony, również czołem do ziemi. Zapalają chudziutkie świeczki. Jakaś kobieta szaleje, pluje święconą wodą. Chyba tu znana, bo przez pomocnika popa traktowana dosyć familiarnie. Ten ma elektryzujące oczy, rodziców z Pragi i nieprzyjemny zapach z ust. Matka wyręcza zapatrzone we mnie dziecko - sama robi mu przy wyjściu potrójny znak krzyża.

Na opustoszałej uliczce leży stos wyrzuconych książek. Szperam. Jest m.in. biografia jednego z moich wielu mistrzów: Gandhiego. Przechodzą obok Polacy - mówią: „na tej ulicy nic nie ma”. Prostuję: „są książki”. Udają, że nie słyszą - ze śmietnikarzami się nie gada....

Ileż razy to słyszę: „30 lat i jesteś nieżonaty!?” - zdziwieni, oferują pomoc swacką. A te handlarki na bazarze same się deklarują jako zainteresowane.

Na kolację wielkie, słodkie, rozkoszne śliwki - sprzedająca jest była mołdawską nauczycielką rosyjskiego. Na Ukrainę przyjeżdżają dorobić. Gdy słyszy, że chcę spać na dziko, proponuje mi nocleg za jedyne 6 hrywien. Tyle co dwa kilo śliwek. Pierwszy raz po dwóch tygodniach używam dezodorantu. Przyrządzają placki z dżemem. Po zamknięciu okiennic, sprawdzam, czy nie straciłem wzroku, tak bezgranicznie ciemno.

Śmietnikarka obdarowana hrywną robi znak krzyża. W konsulacie polskim pytam, co robić z felernym paszportem, w którym odkleja się zdjęcie. Proponują wydanie wyjazdowego paszportu za 40 dolarów. Pani się puknie w czoło, tyle to ja mam na dwa tygodnie podobnej włóczędzy, a mam język w gębie i przemówię celnikom do rozumu.

Otwarty tramwaj, z żelaznymi balustradami, konduktorką-bileterką i motorniczą, która ogłasza na bieżąco nazwy stacji. Bilet zmyślny jak znaczek pocztowy.

Kupienie ciekawej widokówki graniczy z cudem. W luksusowym domu towarowym młody ekspedient mówi o średnich odeskich zarobkach około 100-250 dolarów. Jego propolską sympatię próbuje podważyć mężczyzna-rusofil, który nieproszony włącza się do rozmowy - wytyka antyrosyjski incydent w Warszawie. Dobra, bo nie zdążę na pociąg - już na sam Krym.

Można skorzystać z gorącej wody z wagonowego samowaru, a na stacjach z dłuższym postojem czatują sprzedawcy świeżych pirożków i wody z kranu, która jest rzekomo mineralna. Nabrała się moja sąsiadka, rubaszna kobieta. Dumnie oświadcza, że nie pojedzie do Polski zbierać za grosze jagody. Ukrainę uważa za kraj duraków. Inna sąsiadka, młodsza, czyta kolorowego szmatławca - podoba mi się jego tytuł: „Odpocznij!”

Zmiana elektrowozu na parowóz - przez otwarte okno czuć spaliny w środku. Alternatywą byłby zaduch. Podróżuję najniższą z możliwych klas. Sapią, chrapią, charczą, czasem gorzej jak świnie.

Symferopol. Można kupić sobie taniutki olejki eteryczne w małych fioleczkach, w przegromnym wyborze. I dłużej można się tu nie zatrzymywać.

Eupatoria. Już bezpośrednio nad Morzem Czarnym. Szczyci się 25 wiekami tradycji. Ale ma się wrażenie, że od takiego samego czasu nie robiono tu porządków ani remontów. Ulice zalane już po małej ulewie. Dziewczyna sprzedająca wycieczki po mieście udaje, że nie wie, gdzie są najważniejsze zabytki. A jest i sobór, i meczet, i kościół katolicki, i świątynia staroarmeńska, i kenasy karaïmskie, i synagoga...

Za grosze można kupić rozmówki turystyczne - biorę arabskie, tureckie, portugalskie, greckie, fińskie, szwedzkie, rumuńskie. .

Nie oglądają tu pogody? - dróżniczka dziwi się, gdy pytam o długoterminowe prognozy. Na szczęście deszcz okazał się tylko chwilowy.

Jeszcze powakacjuje, co jednak nie równa się wypoczywaniu fizycznemu. Zdarza się, że wypoczywam, ale to rzadkość. Jestem bardzo mobilny, chodzę, jeżdżę, pytam, obserwuję, zaglądam - jakby zgodnie z przekazem zawartym w moim imieniu. Bo Węgrzy mnie potem informują, że w ich języku „leszek” oznacza właśnie jakieś podglądanie.

Pytają często, czy nie nudno samemu. Jeśli ktoś jest nudny i nijaki, to może mu jest nudno...

Morze Czarne - gładkie, niefaliste. W niektórych miejscach kamyki takie, że poezja!! Ponadczterdziestoletni zaporożanie patrzą z podziwem, jak je selekcionują. Oni są pierwszy raz w życiu nad tym morzem.

To już strefa wybitnie turystyczna i można kupić wreszcie sensowne widokówki. Zaczynają się zauroczenia. Jak do tej pory było bardzo bogato poznawczo, ale estetycznie dużo mniej.

Spisuję drobiazgi na gorąco. W lokalnym pociągu podpity, pocieszny dziadek zwraca mi uwagę, że podgryzam długopis jak dziecko. Jako jedyna osoba w wagonie znająca angielski, udzielam pomocy Turkowi. W międzyczasie młodzi ludzie beztrząsowo wyrzucają śmieci za okno.

Pałac chanów w Bakczysaraju odrestaurowany, jak mało który zabytek na Ukrainie. Rodzice karcą swoich malców, że nie potrafią się ustawić do zdjęcia.

Za miastem skalne płaskowyże. W jednym wykuty monastyr Uspieński. Brakuje słów, cudnie. Jak tu nie napisać nowych sonetów krymskich...

Opryskliwa siostrzyca zabrania zakonnikom, by udzielili jakiegoś tymczasowego schronienia. Śpię tradycyjnie na dziko - pośród skalnych bloków. Przenajlepsza noc.

Rano się okazuje, że Andriej i Elwira z Rosji rozbili się niedaleko mnie. Ten dzień spędzamy razem, zachwycając się Czufut-Kale, pozostałościami miasta skalnego, skąd widoki pierwszego sortu!! Niskie tam progi, dwa razy się rąbnąłem w głowę. Nie zmniejszyło się przecież moje 190 cm wzrostu. W odróżnieniu od wagi, która od wyjazdu z domu, spadła o kilka kilogramów.

Jak ważne jest akcentowanie w językach wschodnich. W rosyjskim, który na Krymie dominuje już niepodzielnie, może nie tyle, co w chińskim, ale też. O czym przekonuje mnie próba kupna „kiefiru”.

Spotykam grupę Estończyków na wypożyczonych rowerach. Najbardziej kontaktowa Riina, socjolożka, w tym roku będzie studiować w ramach Erasmusa w Bolonii.

Lenin wiecznie żywy. Po niejednej jego ulicy przechodzę i przy niejednym jego pomniku toczy się życie towarzyskie miasteczek. Ale poza tym kapitalizm aż się iskrzy. Zarabia się na wszystkim. Na plażach, w pociągach, na chodnikach non stop ktoś coś oferuje. Szczególnie namolne są hieny taksówkarskie. Ale może, dlatego, że się aż tak intensywnie myśli o zarabianiu, jest tutaj tak bezpiecznie dla turysty. Niejedyny to paradoks ukraiński.

Przy drodze wylotowej, gdzie stopuję, starsza kobieta ścina trawę i liście dla kur i kóz. Daje jej okrajki z przysychającego chleba. To Ljuda - prawie 70-letnia, domorosła, ludowa artystka (poetka, śpiewaczka, tancerka). Zaprasza na nocleg na ich garażu. Pomagam jej zaciągnąć wózek do domu. Czestują czym chata niebogata ... Mąż schorowany po pobiciu przez brata, który chce im odebrać dom.

Południowy brzeg Krymu. Przyrodniczo cudowny. Po jednej stronie morze, po drugiej - skaliste góry. Słonecznie. Cykady swym donośnym skrzeczeniem oznajmują klimat śródziemnomorski.

Na zachód od Jałty, gdzie wybrzeże bardziej skalne, liczne domy wypoczynkowe i sanatoria, czasem rządowe, blokują dostęp do plaż. Każą sobie za to płacić. Bezpłatne miejsca tylko gdzieś na uboczu, ale znajdzie się coś i to wcale nie przeludnione. Choć generalnie bardzo tłoczno - dużo nowych ruskich i nowych białoruskich. Polacy też się zdarzają.

Na wschód od Jałty, gdzie przeważają pagóry drzewiasto-winne, problemu z plażami nie ma. Problemem może być nieraz brud. Chociaż woda - to kolejny paradoks - czysta.

Same miejscowości mniej ciekawe od przyrody. Ale są wyjątki. Np. w Ałupce dostojny pałac. Ludzie jeszcze się nie znieczulili na drugiego człowieka. Rano dostrzegła mnie pod drzewami jakaś kobieta i pyta: „młody człowieku, żyjesz?”. Za chwilę facet ostrzega, żebym się stąd lepiej już wyniósł, bo leżę w parku chronionym.

Na autostop trzeba się naczekać - ewentualnie zabiorą Rosjanie czy Łotysze. No to nieraz idę, np. prawie 30 kilometrów do Faros. Swą ignorancję turystyczną przenoszą na mnie i huczą: „zgubisz się”. Nie potrafią podawać odległości w kilometrach, a jeśli już, to rozbieżności są kosmiczne. Moja mapa też zawodzi. Porozumieniu nie sprzyja funkcjonowanie głównych atrakcji pod innymi nazwami niż to, co mam wypisane z przewodnika. Wypróbuję to, że plecak, obrywający się do kamyków, można ciągnąć na kółkach - ale niespecjalnie jest to wygodniejsze. Hałas silników i spaliny potęgują nastrój anysamochodowy i anty-”cywilizacyjny”. Ale doszedłem - w nagrodę dostaję pół arbuza.

Docieram na plażę i wnet zaczyna się potężna burza z ulewą!! Chowam się pod zadaszeniem domu wypoczynkowego. Leżę na leżaku 20 metrów od wzburzonego morza, na którym rozgrywa się festiwal żywiołów. Wszystkie kina i wszystkie efekty specjalne są bezradne, by coś podobnego powtórzyć. Niestychane katharsis!! Mordęga z całego dnia może spłynąć razem z tym deszczem. A wyrozumiały strażnik na szczęście pozwala tam przenocować.

Przed Jałtą właściwą, Pałac Liwadyjski. To tu sprzedano Polskę. Niewiele się zmieniło. Wokół nadal się handluje i sprzedaje - teraz już nie państwa, ale tony pamiątkarstwa. Jałte widzę króciutko. Z jednej strony brzydka, pofałdowana smętkowatość, a z drugiej świecidełkowaty, drogi, wielki świątek. Pośrodku dosyć niepozorna perełka w postaci cerkwi Aleksandra Newskiego.

Kuleję, bo odciski. Trochę liczę dni do domu. Przy drodze podpity Andriuszka leży na trawniku i czeka na wczasowiczów chętnych do jęgo kwatery. Wielu takich na całym wybrzeżu - z kartonem informacyjnym wspartym o drzewo czy płot, spędzają tak całe dni.

W Sudaku pogenueska twierdza. Na tym polega magia Krymu: jakich wpływów tu nie było, nawet włoskie... Akrobatyczne pozy przepięknej czarnowłosej straganiarki w jaskrawozielonej

opiętej sukience - pomaga ojcu w zamontowaniu zadaszania. Kolacja na skwerze przy popiersiu bolszewickiej przodowniczkę pracy z miejscowej spółdzielni winogronowej.

Wychodząc na nocleg do odległej winnicy, słucham zwierzeń młodego moskwiczana, jadącego na rowerze (przywiezionym tu oczywiście pociągiem). Jest pracownikiem metra. Nienawykły do trudu zapowiada: „to moja pierwsza i ostatnia taka podróż”.

Krajobraz zapiera dech w piersiach (a co się tyczy piersi, to opalanie topless, w odróżnieniu np. od Hiszpanii, tu prawie nie istnieje). Pięknie. Można piszczeć z radości. W Koktieblu prawie bajkowo. Przygrywają „Cztery pory roku” Vivaldiego. Ach tam cztery pory - jedna: lato, lato!!! Kompletna laba plażowa.

W dzień zanurzam rękę, nogi też (żeby rozmiękczyć odciski) w Morzu Czarnym, a nocą, drugą ręką, nogami nie, sięgam nieba białego od gwiazd. Śpię w tysięc gwiaźdzowym hotelu. Noce są ciepłe. Inne żyjątko, które śpią ze mną, przędą własną melodię - nie wchodzimy sobie w drogę. Jeśli na nieszczęście jeszcze budzi mnie lekki deszczyk, to się chowam pod mostem drogowym, omijając wcześniej dziury po studzienkach-widmach.

W autobusie (ponoć sztucznie opóźnianym, żeby mogli zarobić taksówkarze) ludzie stłoczeni jak bydło. A jak na ironię, nad miejscami dopisane flamastrem numerki siedzisk. Że niby porządek. Pomiędzy tą cizbą siedzi kobieta z wielką klasą, zupełnie nietutejsza. Ubrana w Paryżu, o urodzie włoskiej.

Centralna dzielnica Teodozji: cyrk na kółkach - jeden wielki lunapark. „Jak dojść tu czy tam? - Jakiś typ udaje, że nie wie, o co go pytam, ale najczęściej nie wiedzą, co kwitują beztróskim wzruszeniem ramion. A ja pytam przecież o ruiny zamku, czyli nie o sklep, który otworzono miesiąc temu. A jeśli już wiedzą, to proponują wsiąść w autobus. Nie uznają długiego chodzenia pieszo.

Nocleg na wzgórzu poza miastem. Któryś już raz przed snem oglądam pokaz sztucznych ogni. Na cześć udanego wyjazdu? Nie mów „hop”.

Rankiem zamiast porannej kawy, której nie pijam, ciśnienie podnosi mi groźne wielkie psi-sko. Wyjątek potwierdzający regułę. Rzuca się w moją stronę. Na tym odludziu ni stąd ni zowąd przechodzi babuszka, która radzi wziąć do ręki kamień. Nie ma czasu, ale jej głos jakimś cudem zbija psa z pantałyku. Ujada, ale odstępkuje od ataku. Nie jestem głodny. Najadłem się strachu. Znowu oszczędności. A gdyby mnie ugryzł... Przecież nie wykupuję turystycznego ubezpieczenia...

Ubezpieczenie można znaleźć w cerkiewkach. Niektóre bardzo pozytywne, bardzo kolorowe, jak pokój dziecienny.

Wbrew przypuszczeniom nie mogę znaleźć części do mojego roweru - 25-letniego urala. Znajduję za to bardzo taną, lekką, wydajną latarkę. Rychło w czas....

Dziękuję Krymie, do zobaczenia.

Pociągiem znowu w stronę Odessy. Już po wyjeździe z wybrzeża krajobraz staje się generalnie nudny jak flaki. Dzieciaki przekarmione lodami i batonami potwornie kaszlą - nic nie dzieje

się przypadkowo. Spomiędzy nich brzmi wagonowy, prosowiecki stary propagandysta. Jestem akurat tak zmęczony i niedospany, że nie ustępuję nikomu miejsca.

Przy przesiadce do dalekobieżnego, żeby w ogóle jechać i mieć miejsce na podłodze, trzeba zapłacić konduktorce. Bo bilety w kasie na miejsca siedzące wyprzedane na dwa tygodnie naprzód. Jadę z grupą czternastu Łodzian. W tak liczonym składzie osobowym nie wytrzymałbym dłużej niż dwa dni. Za dużo kompromisów, mimo paru udogodnień.

Wracam inną trasą. Przez Białogród. Bylejaki kawałek morza i plaży, a dzieciaki wniebowzięte. Nie dostrzegają brudnych ruder, pustostanów, złomowisk. Ludzie zadowoleni nawet jeśli mogą wynająć nad morzem tylko jakiś lichuteńki garaż...

Nie można wyjechać z Ukrainy, nie wypiszą stakańczyka kwasu chlebowego. Bardziej słodki niż kwaśny, nalewany z popularnych, wszechobecnych beczkowsów. Zostaje mi w kieszeni 15 kopiejek.

Opuszczam kraj, dla którego warto stworzyć neologizm. Tu się jeszcze nie tyle żyje, co głównie „przetrwuje”, czy „przetrwują”.



# WIERSZE ANGIELSKIE

„Będą walczyć przeciwko tobie, ale nie zdołają cię zwyciężyć,  
gdyż Ja jestem z tobą – wyrocznia Pana – by cię ochraniać”

(JR 1,19)

„Jaki wdzięk? Jaki blask? Umiłowanie miłości, abys mógł  
biec kochając i kochać biegnąc...”

(ŚW. AUGUSTYN, IN IOHANNIS EPISTULAM, IX, 9)  
GRUDZIEŃ 2004 R.

## STARY PUB W COOKHAM

KS. DARKOWI KUWACZCE

Mówił: słyszysz, widzisz, czujesz:  
niektórzy piją piwo,  
kilku wrzuca sękate kloce do ognia,  
dwóch połyka kawę jak ogień,  
wszyscy boją się śmierci

Nie słyszę, nie widzę, nie czuję.

Słyszę stale słowa: „jest ksiądz w objęciach Boga”.  
Widzę ciągle pocałunek złożony na wewnętrznej stronie mojej dłoni.  
Czuję pokój serca.  
Nie boję się.

COOKHAM, 19 GRUDNIA 2004 R.

## ZAKUPY W WINDSOR

Ten człowiek, stary Hindus, kaszle krwią.  
Popatrz na Tamizę, ciemnożółty ściek  
pod niskim dachem sinoczarnych chmur

Niech cię obejmie tutejsza wilgoć.  
Popatrz: znikąd litości –  
– cokolwiek pęka, ktokolwiek znika.

Ale pisząc to, już w to nie wierzę.

bo kupimy świece, bożonarodzeniowe ciasto,  
herbatę z Yorkshire, lametę,  
kubek z kotem – dla Marysi.

bo rękawem kurtki wytrę łzę.  
Wilgoć oblepia wszystko  
To wilgoć jest znikąd, nie my.

WINDSOR, 22 GRUDNIA 2004 R.

## KAZANIE W SLOUGH

SOBIE I INNYM KAZNODZIEJOM

Wygłaszam je w kwadrans.

Przez cały ten czas między amboną  
a kościelną publicznością  
odstawia własny teatr  
dziecko.

Bawi się, płacze, gaworzy,  
przewraca, wstaje, wrzeszczy, piszczy, kwili.  
Na oczach rozentuzjasmowanej mamy.

„Jestem bogiem i niech tak zostanie”, brzmi komunikat.  
Dwulatek jako nasza kwintesencja:  
tokować bez końca,  
mieć własną publiczność, skupić ją na sobie,  
odebrać ją rywalom i odwlekać  
„amen”.

SLOUGH, 21 GRUDNIA 2004 R.

# SPÓŹNIONE BRATERSTWO BRONI

Jechać asfaltową szosą po nadrzecznym nasypie, trochę większym jak ten nad Ulgą w Raciborzu, można chyba tylko w Holandii. W dole, za wałem, Ren, po drugiej stronie rzeki Arnhem, a tu – nie przymierzając – jak Krzanowice, małe Driel. Miasteczko, w którym stacjonowała polska Brygada Powietrzno-Desantowa, kiedy źle zaplanowana przez aliantów operacja MARKET GARDEN dobiegała smutnego i krwawego końca.

Kiedy wchodzimy na główny plac miasta w upalną sobotę 16 września 2006 zachodzi nam drogę kamerzysta Telewizyjnej Agencji Informacyjnej z Warszawy: mały chłopczyk w stroju komandosa z wielką białą-czerwoną flagą to łakomy kąsek, nawet tu, gdzie nie brakuje militarnych atrakcji. Przed południem na przykład odbył się zrzut spadochronowy, w którym skakali... weterani z sił alianckich, dziś panowie przynajmniej 80-letni!!! Staś za chwilę ma okazję jednemu z nich zaśpiewać "Czerwone maki", a kiedy potem słychać oklaski polskich, angielskich, szkockich, amerykańskich oraz holenderskich dłoni, odbieramy to jako przypadkową i spontaniczną zapowiedź godziny pojednania, której świadkiem ma dziś zostać ten plac!

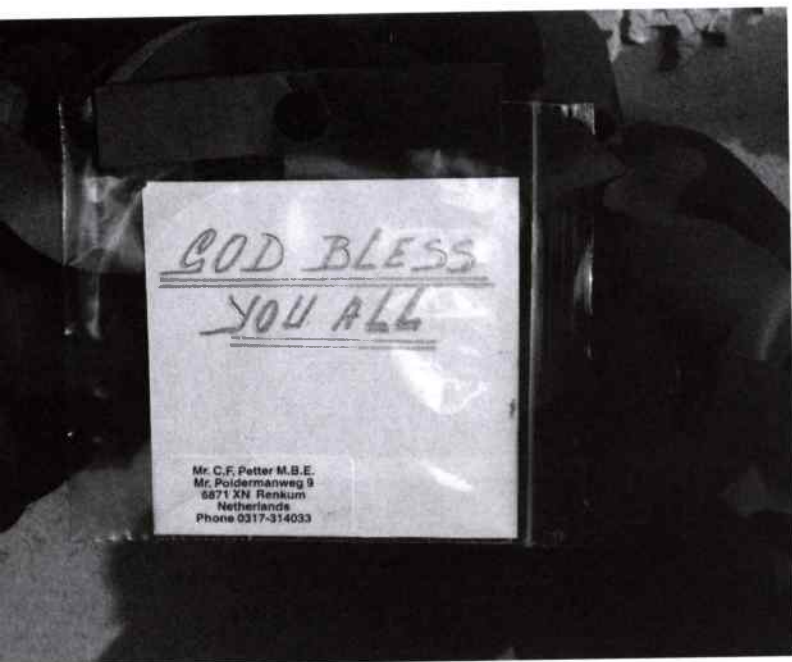
Skąd? Jak? Dlaczego pojednanie pomiędzy aliantami, walczącymi wszak przeciw wspólnemu wrogowi? Otóż stało się w przeszłości tak, że generał Stanisław Sosabowski (ur. 8 maja 1892 roku w Stanisławowie!) został przez brytyjską propagandę obarczony winą za nieudaną operację nad Renem, a za kłamliwy pretekst posłużył krytyczny stosunek polskiego dowódcy, niewątpliwie służbisty i perfekcjonisty, do planów i sposobów przeprowadzenia całej akcji. Dodajmy, że polski spadochroniarz marzył o tym, by ratować ginącą w Powstaniu Warszawskim stolicę, na to jednak dowództwo sił sprzymierzonych nie dało zgody; polski żołnierz był potrzebny na froncie zachodnim, miał osłaniać – jak się okazało – tragiczny odwrót aliantów. I stało się tak, że oprócz represji stalinowskich w kraju (niemożliwość powrotu do Ojczyzny, odebranie przez komunistów obywatelstwa polskiego wraz z innymi generałami Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie) generał doczekał się szykan w Wielkiej Brytanii, m.in. odmówiono mu renty generalskiej. Czepiając się rozmaitych zajęć zmarł właściwie w nędzy w 1967 roku.

Minęło kilka dziesiątków lat i oto przy udziale generała Briana Urquharta, ówczesnego szefa zwiadu brytyjskiego (niezapomniana rola Seana Connery w filmie "O jeden most za daleko!") powstał Gen. Sosabowski Memorial Appeal, komitet, który postawił sobie za cel przywrócenie





czci sponiewieranemu przez ludzi i historię polskiemu dowódcy. Ukoronowaniem tych starań stało się odsłonięcie pomnika ku czci Generała na rynku w Driel, obok istniejącego pomnika polskiej Brygady Powietrzno-Desantowej. Bo trzeba dodać, że jeśli ktoś w Europie nie zapomniał o bohaterstwie polskiego żołnierza w II wojnie światowej, to byli to Holendrzy! Wszak przechodził tędy na czele Dywizji Pancerniej, siejąc postrach wśród Niemców, generał Stanisław Maczek, wyzwoliciel wielu holenderskich miast. I kiedy tak spacerowaliśmy po miasteczku, wzruszenie budził widok polskich flag na wielu holenderskich domach i na kościele, gdzie przy przykrytym biało-czerwonym obrusem ołtarza miała odbyć się wieczorem msza święta. Ponadto wielu Holendrów paradowało w koszulkach bordowego koloru, podobnie jak co krok porozwieszane w tych barwach flagi, zapewne - symbolach tamtych dni.



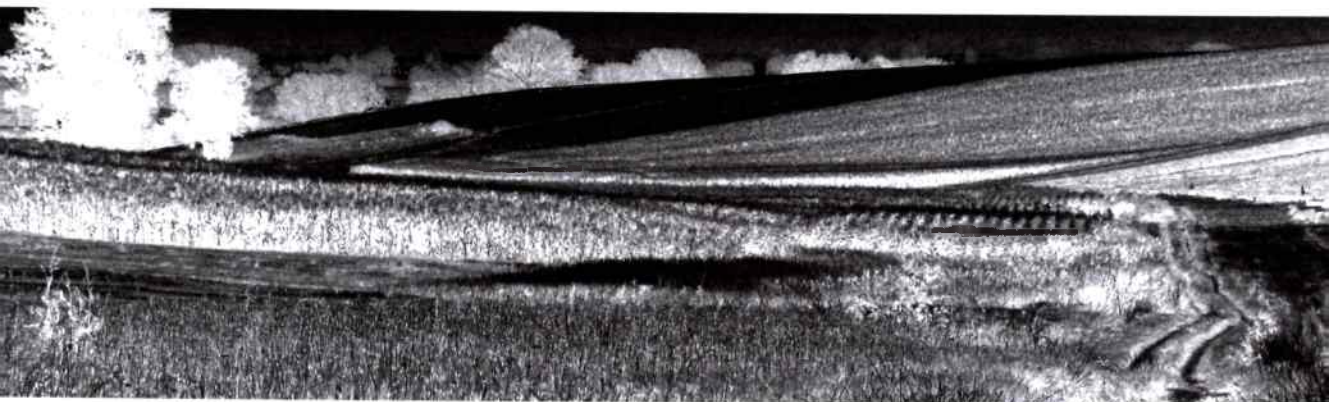
Tymczasem plac zapełniał się weteranami wszystkich alianckich armii, a także grupami młodych pasjonatów kultuwujących dawną broń i barwę. Oczywiście najwięcej było szarych beretów polskich spadochroniarzy. Przybyli m.in. generałowie Urquhart i Drummond, ambasadorowie Polski i Wielkiej Brytanii, pani burmistrz Driel, a kiedy pojawił się przedstawiciel królowej holenderskiej Beatrix – uroczystość rozpoczęła się.

Takiej gali nie widział w życiu ani mały Staś, ani ja! W każdym przemówieniu czuło się wagę chwili, której znaczenie w istocie polegało na symbolicznym NAPRAWIENIU WIN! Piękny, skromny obelisk, wykonany za brytyjskie pieniądze (!) odsłonił prawnuk Generała, uczony z Uniwersytetu w Brighton. Potem były hymny – polski, brytyjski i holenderski

– i... “Boże, coś Polkę”, zaśpiewaną przez cały plac na stojąco. Dosłownie lzy cisnęły się do oczu, gdy Anglosasi, kalecząc co drugie słowo, śpiewali z karteczek ten drugi polski hymn! A potem były wieńce, dziesiątki wieńców, składanych nawet przez delegację młodych Niemców. I pieśni w wykonaniu dzieci w polskich strojach ludowych... “Piękna nasza Polska cała” rozlegało się wśród pocztów sztandarowych, żar lał się z nieba; wśród najstarszych gości roznoszono wodę. Po uroczystości rozpoczęły się przyjacielskie rozmowy, robienie zdjęć pod pomnikiem – radosny gwar towarzyszący niezwykle spotkaniu. Z dużą satysfakcją rozpoznaliśmy w tłumie Normana Davisa, prawdziwego przyjaciela Polski, jak się po raz kolejny okazało. Nie chciało się z tego miejsca odchodzić!

Ale czekał jeszcze na nas aliancki cmentarz po drugiej stronie rzeki, w Oosterboek, gdzie na jednym z polskich grobów znalazłem świeży wieniec od holenderskiej rodziny (był adres!) z podiskiem GOD BLESS YOU ALL.

Z taką właśnie myślą opuszczaliśmy Holandię. Ja miałem przed oczyma dobrą, okoloną białą czupryną włosów, piękną twarz generała Urquharta; mrużył oczy siedząc pod słońce. Obok z kamiennego obelisku patrzył na nas generał Stanisław Sosabowski, jak żywy, podobny do znanych zdjęć z czasów, gdy walczyli ramię w ramię. Na twarzy Brytyjczyka jaśniał i odmładzał mu oblicze przedziwny spokój, jak po spełnieniu najważniejszego zadania. Czy znał polskie przysłowie, że *przyjaciół poznaje się w biedzie?*



# PO CO NAM DNI RACIBORZA?

**W**rześień za nami. Tegoroczne Dni Raciborza też. Głosy, które dochodzą do mnie od miazdzącej większości mojego otoczenia (w tym mój własny głos wewnętrzny) pozwalają mi uznać je za nieudane. Zresztą – podobnie jak kilka poprzednich edycji. A tak naprawdę – jak ich stała, szara i nie rozwijająca się formę. Najwyraźniej nadeszła chwila, kiedy należy się zastanowić, po co je robimy, jak powinny wyglądać i kto powinien je organizować...

## KOGO, CO?

Pierwsze nieporozumienie dotyczy kwestii, czym te dni są i które imprezy należy do nich zaliczyć. Osobom mniej zorientowanym należy się tu drobne wyjaśnienie. W błąd mogą wprowadzać ulotki, z których wynika, że z okazji Dni Raciborza nagle całe miasto napręża mięśnie, wyteżę siły i organizuje całą masę imprez. Nic bardziej błędnego. W praktyce wygląda to tak, że w czerwcu wszystkie instytucje miejskie oraz organizacje pozarządowe dostają od prezydenta informacje o tym, że we wrześniu odbędą się „Dni Raciborza” wraz z prośbą o przedstawienie wykazu imprez, które dana jednostka/organizacja zamierza z okazji tych „dni” zorganizować. O tym, że wraz z tą prośbą nie jest przekazywany żaden budżet ani nawet obietnica pomocy logistyczno-organizacyjnej wspominać chyba nie trzeba. Nie powołuje się żadnego komitetu organizacyjnego, nie ma kierownika zamieszania, nikt też nie zajmuje się koordynacją działań tych instytucji i organizacji (choćby zgraniem terminów imprez). Jedyną formą „organizacji” Dni Raciborza jest wrzucenie wszystkiego co się dzieje na jedną ulotkę i jej wydrukowanie. Tegoroczna ulotka, trzeba przyznać - wyglądała pięknie...

## WOREK Z NAPISEM „DNI RACIBORZA”

W efekcie „Dni Raciborza” stają się więc workiem, do którego wrzucane są wszystkie „normalne” (stałe i statutowe) działania jednostek miejskich (OSiR, RCK, Biblioteki) i imprezy organizowane w trybie normalnego funkcjonowania stowarzyszeń czy parafii. Tyle, że organizowane są one we wrześniu. Tym właśnie sposobem program „Dni Raciborza” pecznieje do kilku stron. Jeśli jednak odrzecz go z tego, co dzieje się i tak, w normalnym trybie funkcjonowania instytucji miejskich czy stowarzyszeń (w ten sposób do programu „Dni Raciborza” trafiły np. Dni Muzyki Organowej, Dni Filmu Polskiego czy cały szereg rozgrywek sportowych i wystaw w bibliotekach) to zostaje jeden weekend. W czasie tego weekendu Urząd Miasta rozstawia na Placu Długosza wielką scenę (tj. wykupuje rozstawienie, bo swojej ciągle nie mamy, choć koszt notorycznych wynajmów dawno przekroczył cenę zakupu własnej) i organizuje tzw. „wielką imprezę”, która ma być czymś na kształt Wielkiego Finału Dni Raciborza. Na ogół zaprzęga do tego Raciborskie Centrum Kultury...

## WIELKA KLAPA!

W tym roku owo apogeum przypadło na weekend 9 i 10 września. W sobotę zwykle organizowana była wielka impreza. Miała ona różny charakter, gdyż co roku skierowana była do innej publiczności (dla starszaków - Perfekt, dla seniorów - Krzysztof Krawczyk, dla młodzieży szkół podstawowych – Stachursky, dla młodzieży licealno-studiującej – Pidżama Porno). Tym razem wyszedł wielki niewypał. Wskutek nietrafionego doboru programu artystycznego, zawiedzeni poczuli się chyba wszyscy. Po pierwsze - tzw. „przeciętni mieszkańcy”, którzy strasznie się wynudzili. Po drugie - występujący artyści, którzy musieli się strasznie namęczyć (kto lubi produkować się patrząc w kilkunastoosobowy krąg realnie zainteresowanych i nieliczną grupkę zdezorientowanych dzieciaków i emerytów, którzy z pewnością woleliby posłuchać np. zespołu Biceps). Po trzecie – przedsiębiorcy, którzy rozstawili budy, dmuchane zjeżdżalnie i stoiska z watą cukrową wychodząc na tym jak Zabłocki na mydle. Po czwarte (i w tym wypadku najsmutniejsze) – prawdziwi miłośnicy prezentowanej muzyki, którzy tego poziomu sztukę zwykli chłonąć ją w wygodnych murach sal koncertowych. Tym razem skazani byli na kolebiące się ławki rozstawione przez sprzedawców piwa, na które zresztą z racji chłodu nikt nie miał nawet ochoty. Po ostatnie – podatnicy, którzy zapłacili za kompletnie niepotrzebne rozstawienie sceny i honoraria zespołów, które w tym miejscu i czasie nie znalazły nabywców...

## KTO JEST TEMU WINIEN?

Można oczywiście domniemywać, że trochę zawałiła chłodna pogoda. Można też zastanowić się, czy aby brak zapotrzebowania na kulturę wyższego kalibru (bo do takiej należy zaliczyć genialną Federację Bardów Lubelskich) nie wynika z tego, że Rada Miasta, poza wszelkimi konkursami, sownie finansuje masowe imprezy organizowane przez radnego (przynajmniej w chwili pisania tego tekstu) Borowika, które – jeśli nie ogłupiają, to przynajmniej nie kształtują wyszukanych gustów muzycznych Raciborzan. Wypada jednak także zastanowić się nad tym, czy ma sens wpuszczanie na scenę w roli gwiazdy wieczoru zespołu, który choć świetny i wyjątkowy, to jednak w Raciborzu ani nie jest szeroko znany, ani nie wykonuje muzyki, która może „rozgrzać publiczność”, ani nijak nie trafia w formułę imprez plenerowych. Rozstawianie potężnej sceny w sytuacji, kiedy nie ma się środków (albo pomysłu) na wypełnienie jej treścią jest jak przysłowiowe wydawanie ostatnich pieniędzy na zakup portfela...

## CZTERY RAZY „FEDERACJA” ...

Co więcej – jaki sens, zwłaszcza w sytuacji notorycznego braku i dostępu do nowej muzyki, ma organizowanie koncertu zespołu „Federacja”, której lider w Raciborzu gościł kilkanaście razy w ciągu ostatnich dwudziestu latach (i wiadomo, że nie gromadzi tłumów, a jedynie grupę kilkudziesięciu koneserów)? Wszak w samym roku 2006 mogliśmy go oglądać po raz czwarty... (wcześniej gościł [gratis!] na otwartym wieczorze poetyckim Marka Rapnickiego, na powiatowym finale OKR -u i podczas wręczenia tegorocznych nagród prezydenta). A jeśli już kochamy go tak bardzo, to czy aby zorganizowanie sobotniego koncertu nie miałoby większego sensu w gościnnej sali widowiskowej RCK przy ul. Chopina? Artyści mają godne warunki, publiczność nie cierpi na chłód i wiatr, przedsiębiorcy nie zwracają sobie głowy, a miasto oszczędza kilka tysięcy na rozstawieniu sceny...

## JAZZ NA STOJAKA

Przed rokiem w D.K. „Strzecha” zorganizowano „Śląskie Spotkania Jazzowe – Pokolenia” Bomba. Impreza wysokich lotów, kawałek dobrego, śląskiego jazzu, po części oficjalnej długa impreza i jam session w Mexico. W tym roku (domniemywam, że z braku gotówki na osobną imprezę) festiwalem tym wypełniono drugi dzień „Dni Raciborza”. Wiem, że jazz to muzyka ulicy. Wiem, że w plenerze odnalazł się o wiele lepiej niż poezja śpiewana. Ale i tak uważam, że przeniesienie dobrej prestiżowej imprezy jazzowej z porządnej, wygodnej i pięknej sali „Strzechy” na płytę rynku i skazanie fanów jakże wybornej muzyki na kiepskie piwo, zapach grilli i towarzystwo podchmielonych bywalców festynów – to zbyt duże ryzyko. Ja osobiście odczułem tylko absmak. I nie wytrzymałem dłużej niż pół godziny...

## CO DALEJ ?

Po co cały ten wywód? Bynajmniej nie po to, by pozostać przy krytyce jednej imprezy. Wpadki zdarzają się wszystkim, nawet najlepszym. Problemem nie jest bowiem błąd w zaproszeniu jednego zespołu, ale wytarta i wypalona formuła, czy może nawet cała idea Dni Raciborza. Nasze Miasto dojrzało do szerokiej debaty nad tym jak chce obchodzić swoje dni, jak mają one wyglądać, dla kogo mają być organizowane, kto ma być za nie odpowiedzialny i jaką rolę (czy w ogóle jakąś) powinien odgrywać w nich Urząd Miasta. No ale po kolei...

## KILKA WAŻNYCH PYTAŃ

Żeby jakiegokolwiek „Dni Miasta” miały sens i prezentowały przyzwoity poziom, należy zadać sobie dwa podstawowe pytanie.

### PYTANIE I: PO CO I DLA KOGO ROBIMY DNI RACIBORZA?

Teraz najwyraźniej robimy je dla podtrzymania tradycji. Ale to zdecydowanie za mało. Podstawowe pytanie dotyczy tego, czy „Dni Raciborza” mają być skierowane do raciborzan, którym staramy się zapewnić dobrą rozrywkę, czy traktujemy je jako festiwal promujący to co sami wytwarzamy i kierujemy je do gości z zewnątrz. W tej chwili staramy się robić jedno i drugie, czego efekt jest żaloszny.

Jeśli kierujemy je do raciborzan, to stawiamy na jakość artystów, wydajemy środki na 1-2 gwiazdy, ściągamy artystów z Polski i krajów sąsiednich, zapraszamy teatry uliczne, tancerzy ognia i robimy duże show. Jednocześnie otwieramy na cały weekend (z nocą włącznie) mury zabytków i muzeów. Promocja Raciborza dzieje się w takim wypadku samoistnie poprzez fakt, że dobra impreza ściąga ludzi z zewnątrz. Ci ludzie są, jedzą, piją, czasem śpią i przy okazji zwiedzają miasto. Przy Placu Długosza stawiamy stoiska promujące nasze wartości turystyczno-krajoznawcze, informatory, promujemy lokalne atrakcje (pomimo tego, że MCI jest w ciągu weekendów zamknięte), organizujemy wycieczki, rajdy, przejazdy rowerowe...

Jeśli natomiast chcemy promować produkty lokalne – gminne gwiazdy, zespoły parafialne, zespoły i grupy amatorskiego ruchu artystycznego itp. – to przede wszystkim powinniśmy postarać się zorganizować te dni ... poza Raciborzem! Na tej zasadzie organizuje się właśnie Polskie Dni w Masso Corto. Impreza osiągnęła niebywały międzynarodowy sukces właśnie dlatego, że odbywa się na zewnątrz. No bo ile można pokazywać samemu sobie własne walory, zwłaszcza, że w zasadzie od 20 lat są to takie same zespoły i te same grupy, które robią mniej więcej to samo? Znajomi i rodzina z powodzeniem mogą podziwiać znanych artystów w sali RCK czy Strzechy...



Jeśli jednak podejmiemy decyzję, że „Dni Raciborza” są dniami promocji raciborskiego ruchu amatorskiego, to albo zamykamy je w Domu Kultury i nie wydajemy zbędnych pieniędzy na scenę, albo przynajmniej... jesteśmy konsekwentni i stajemy na głowie, by ściągnąć na nie ludzi z zewnątrz poprzez zastosowanie wszelkiego rodzaju „wymian” (tak działo się na Biesiadzie Folkloru). Impreza będzie mała, ale przynajmniej postawimy na promocję w stylu „eksportu turystycznego”. Przyjadą młodzi artyści, ich rodzice, dziadkowie, przyjaciele itp. Warunek jest wszakże jeden – Promocja, promocja i jeszcze raz promocja. W tym roku Dni Raciborza nie udało się wypromować nawet wśród raciborzan. Patronatu prasowego nie objęło żadne medium spoza miasta, ba - nawet w lokalnych niewiele pisano. Nawet na mieście nie było żadnych plakatów, jeśli nie liczyć kilku spisów imprez, niewiele różniących się od obwieszczeń o rozpoczęciu poboru do wojska. Na ulotkach też niewiele informacji. Nie wynika z nich, która impreza warta jest odwiedzenia, nijak nie wyróżniono finału imprezy.

90 % moich znajomych nie wiedziało o żadnej imprezie na Placu Długosza. Większa publiczność zgromadziła się podczas imprezy w ogródkach pizzerii przy Rynku...

Można też próbować szczęścia w imprezie mieszanej – pierwsze dwa tygodnie poświęcamy na promocję walorów własnych, drugie dwa na import i wielkie atrakcje dla tych, którzy nie wyjeżdżają poza Racibórz zbyt często. Ale nie wszystko na raz...

#### **PYTANIE II: KTO JEST ZA NIE ODPOWIEDZIALNY?**

Wiemy już jak wyglądają „Dni Raciborza” organizowane przez wszystkich na raz i pilnowane przez Urząd Miasta. Koncerty i imprezy są raz gorsze, raz lepsze. Raz jest świetnie, raz kiepsko. Pewne jest jednak to, że ich formuła się wyczerpała. Odkąd pamiętam – nigdy nie było wyraziście ani oryginalnie. Nie było czegoś specyficznego, nie było nuty odlotu, nie było egzotyki itp. Może więc pora pomyśleć o tym, by dać się ponieść europejskiej fali zlecenia wszystkiego co możliwe poza własne urzędy i dopuszczenia do głosu różnych świeżych, pełnych pomysłów i zapału nowych podmiotów? Niech raz od początku do końca zorganizuje je RCK, potem ASK, potem TZMR, Grupa Rosynant, Tęcza czy ktokolwiek inny. Dajmy im środki i pozwólmy działać. Niech normalnie konkurują, wyężdżają siły i umysły, niech coś zmieniają! Dlaczego w zasadzie Dni Raciborza nie miałyby być organizowane przez tego, kto wygra konkurs na ich najciekawszą formułę? Dlaczego nie obchodzić ich w klimatach ogólnopolskiego zlotu rycerstwa, street-art festiwalu, zjazdu mimów, przeglądu teatru i kina offowego, spotkania z Afryką, albo co roku zmieniać temat przewodni (np. muzyka celtycka, cyrki uliczne, gwiazdy nowej muzyki folkowej itp.?). Skoro stać nas na kilkadziesiąt tysięcy dofinansowania do dwudniowego memoriału, to z powodzeniem możemy też przeznaczyć je na wielką imprezę z okazji Dni Raciborza. I nie bójmy się wypuścić ich z urzędu i dać ludziom spoza niego. Kilka małych, ale bardzo świeżych akcji przeprowadzonych w tym roku przez ASK (za darmo!) pozwala wierzyć w to, że w młodości i w organizacjach pozarządowych siła. Musimy TYLKO pozwolić im działać...

## POSTSCRIPTUM REDAKCYJNE

Powyższy tekst interwencyjny publikujemy między innymi i z tego względu, iż zgadzamy się z jego zasadniczą tezą. Od lat postulowałem, aby scenariusz Dni Raciborza powstawał w gronie raciborskich animatorów kultury i był realizowany przez nasze instytucje, powołane i przygotowane do „upowszechniania kultury.” I przede wszystkim: by środki finansowe na takie cele, pochodzące z gminy, kierowane były do tych właśnie instytucji (w myśl zasady: płąć i wymagać), a nie dla poszczególnych radnych, gdyż ci – potrafią wydać 50 – 100 tysięcy złotych w dwa dni (o takich sumach na roczną działalność merytoryczną domy kultury w Raciborzu mogą tylko pomarzyć!).

Po lekturze artykułu przychodzą na myśl dwie uwagi:

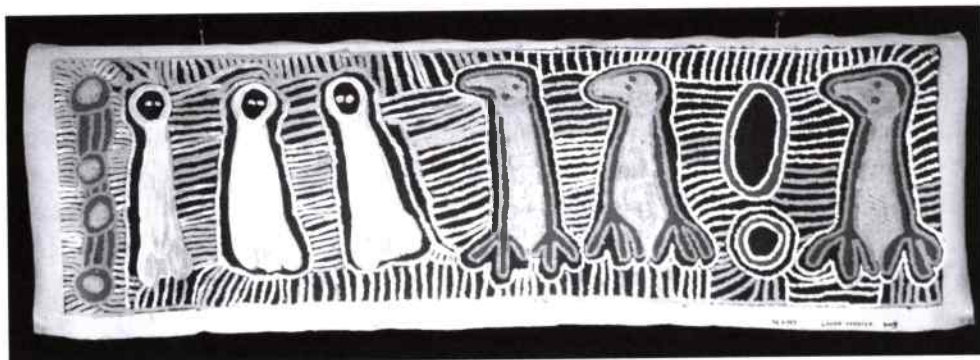
- po pierwsze: nie da się stawiać na jednej szali instytucji kultury z wieloosobową wysoko wykwalifikowaną kadrą oraz stowarzyszeń działających poprzez wolontariuszy, jednak na ogół akcyjnie (od imprezy [wiosną] do imprezy [jesienią]); domów kultury, działających permanentnie (i notabene – wspierających gratisowo wspomniane stowarzyszenia) nie trzeba w pracy zastępować, trzeba je tylko sensownie uzupełniać. Tak więc, w zestawieniu „ciurkiem” np. RCK i ASK równość obu podmiotów da się wymierzyć jedynie wielkością czcionki; szerokość dokonań, a także (zgoda, że czasem niewykorzystanych) możliwości jest nieporównywalna, i nie jest to przytyk, lecz stwierdzenie faktów.

- po drugie: w ferworze polemiki oberwało się Bogu ducha winnej Federacji, która (uwaga!), w tym kilkunastoosobowym kształcie była w Raciborzu – po raz pierwszy. Widziałem pełną salę na 600 miejsc słuchającą z entuzjazmem ich koncertu: było to przed trzema laty w... Teatrze Ziemi Rybnickiej (być może nazywa się to – genius loci...); a co do samego Jana Kondraka – jest to wspomniały „tekściarz” po porządnych studiach i wybitny pieśniarz, którego głos fachowcy wymieniali jednym tchem obok Czesława Niemena; to, że pojawiał się tu średnio co dwa lata, to był zawsze słodki i nobilitujący przywilej Raciborza! Trudno więc klapą medialno-organizacyjną obciążać bardzo dobrej formacji muzycznej, która dała bardzo dobry koncert (kto był, ten potwierdzi!).

A już całkiem na marginesie: z darmowym (!) koncertem – na ten przykład – Dody za jedyne 30 – 50 tysięcy polskich złotych (Racibórz to bogate miasto, stać nas!) w towarzystwie play-backu, kielbasek i piwa nie mogliby konkurować ani Maryla Rodowicz, ani Maria Callas (gdyby żyła), ani chyba Luciano Pavarotti!

MAREK RAPNICKI

# SMAK AUSTRALII



Już od początku roku w Raciborskim Centrum Kultury mówiło się o wystawie, która ma się odbyć jesienią. Nie miałem jeszcze wyobrażenia o tym, co wydarzy się kilka miesięcy później – 1 września. Przygotowania trwały i trwały. W sierpniu na mieście pojawiły się afisze zapowiadające „Wystawę malarstwa Aborygenów, ze zbiorów Margo Birnberg”. O tym, kim jest Margo i czym się zajmuje, mogliśmy przeczytać już w poprzednim numerze „Almanachu”, do którego w/w napisała artykuł mówiący o fladze aborygeńskiej „Czerwono-czarna z żółtym krążkiem”. Jako redaktor techniczny „AP” miałem więc okazję poznać Panią Margo wcześniej. Miałem więc szansę przygotować się mentalnie do wspomnianej wcześniej wystawy, a jednak wieczór ten zupełnie mnie zaskoczył.

Tuż przed godziną 18.00 dla pierwszych gości został wyświetlony film dokumentalny autorstwa Margo Birnberg opowiadający o malarstwie Lindy Syddick Napaltjarri. Moją uwagę po pierwsze przykuł fakt, że artystka maluje na siedząco, po drugie oglądając film coraz bardziej zaczęły intrygować mnie te niezrozumiałe dla mnie kształty, kolory i formy, którymi posługiwała się Linda i którymi obwieszona była cała sala kameralna.

Kilka minut po godz. 18.00 dyrektor RCK – Leszek Wyka przywitał zgromadzonych gości oraz sprawczynię całego przedsięwzięcia, która rozpoczęła opowieść o historii rdzennych mieszkańców Australii, o kolonizacji tego kontynentu, wreszcie o Aborygenach i ich malarstwie.

*„Ryty, rysunki, malowidła z czasów przedhistorycznych, wykonane przez ciemnoskórych tubylców, znajdowane na ścianach jaskiń, grot i skałach na kontynencie australijskim jak również na okolicznych wyspach, niektóre z nich datowane są na przeszło 40 000 lat. Powszechnie uznaje się je za pierwsze świadectwo świadomej radości człowieka z aktu tworzenia – pierwociny sztuki ludzkiej. Malarstwo Aborygenów australijskich, trwa w swej formie i treści niezmiennie od tysięcy lat. Jest ono równocześnie najnowszą formą sztuki malarskiej, która ponownie wybuchła na obszarach australijskich pustyni i fascynuje umysły ludzi od ostatnich 35ciu lat. Jest to paradoks nowego, rodzimego dla Australii, prądu nowej ekspresji w malarstwie światowym.”*

Mini wykład coraz bardziej wprowadzał zebranych w klimat obrazów, które przyszli zobaczyć.

*„Każdy obraz malowany współcześnie przez aborygeńskich artystów to hold oddawany przodkom i uznanie dla ich twórczej siły. Artyści zachowują kanony-prawa i treści i formy, ustalone tysiące lat temu, jednakże wyrażenie tych praw i reguł jest bardzo indywidualne. Każdy obraz, nawet jeżeli przekazuje ten sam mit jest potraktowany odrębnie. Mistrzostwo artystów polega na osobistej interpretacji w doborze kolorów i kompozycji, które najlepiej oddają esencje tego mitu.”*

Jak się okazało, Aborygeni nie znają perspektywy. Ich sposób zdobywania pożywienia (zbiactwo) sprawił, że patrząc sobie pod nogi nie szukają pożywienia na horyzoncie. Nie znają więc perspektywy, ale patrzą na wszystko jakby z góry. Malując ludzi, zwierzęta, czy dane terytoria malują je tak, jakby widzieli je z lotu ptaka. W ten sposób Europejczyk, Amerykanin, czy biały Australijczyk, może dopatrzeć się w tym malarstwie podobieństwa do kręgów zbożowych, których stworzenie przypisywane jest obcym cywilizacjom.

*„Współcześni artyści aborygeńscy, już dawno odeszli od tak zwanych tradycyjnych aborygeńskich kolorów, którymi były; czerwony, żółty, czarny i biały. Po prostu były to kolory dostępne – (dla ludzi prowadzących wędrowny tryb życia) – naturalne ochry, które można było znaleźć i użyć. Mimo tej minimalnej ilości barw artyści wirtuozi stworzyli wiele arcydzieł sztuki naskalnej, którą możemy ciągle podziwiać głównie w północnej, tropikalnej części Australii. Ludzie żyjący w pustyniach nie mieli dostępu do wielu nośnych płaszczyzn, takich na przykład jak płaszczyzny ścian skalnych, aby na nich tworzyć i pozostawić tak wiele wizerunków i symboli dla następných pokoleń – jednakże to właśnie artyści z centralnej, pustynnej Australii dominują przez ostatnie 35 lat w galeriach światowych.”*

Niewątpliwie intrygująca forma budzi ogromne zainteresowanie, czego dowodem może być fakt, iż wystawę w Raciborzu odwiedziło mnóstwo zwiedzających.

*„Początki „odrodzenia” współczesnej sztuki Aborygenów australijskich można dokładnie umiejscowić w czasie i miejscu. W 1971 roku do osiedla aborygeńskiego Papunya w Centralnej Australii przybył Geoffrey Bardon, nauczyciel z Sydney. Zainteresował się rysunkami dzieci szkolnych, a potem zwrócił się o ich wyjaśnienie do dorosłych. Zachwyciły go zdolności plastyczne tych ludzi. Zainspirował grupę starszych mężczyzn do malowania ich mitów. Wpierw powstał fresk na ścianie lokalnej szkoły, a że osada Papunya leży na szlaku mitu Miodowych Mrówek, wybrano więc ten motyw. Entuzjazm malarzy, ich praca twórcza zaczęły przynosić korzyści materialne dla malujących i ich rodzin. Pod opieką Bardona założono spółkę artystów i nadano jej nazwę Papunya Tula Artists. Ciągłe istniejąca organizacja znana jest już daleko poza granicami Australii.”*

Wieczór ten, chociaż reklamowany jako wernisaż wystawy, był również wieczorem autorskim Margo Birnberg, która właśnie na dzień wernisażu w Raciborzu (Racibórz był pierwszym z czterech goszczących tę ekspozycję miast, przed Warszawą, Strasburgiem i Paryżem) przygotowała promocję swojego tomiku wierszy zatytułowanego „*Mapa wspomnień*”. Sam tytuł tomu sugeruje jego zawartość. Autorka w swoich wierszach wspomina ludzi i miejsca, które przez lata okazały się dla niej najważniejszymi. W przygotowaniach tomiku - wyborze wierszy pomagali Autorce moi redakcyjni koledzy – dr Janusz Nowak i Marek Rapnicki. Obaj byli nie tylko obecni podczas promocji, ale również poprowadzili ten wieczór, dając szansę zebrany na zapoznanie się z Autorką i jej dziełem. Zresztą do wierszy Margo będziemy jeszcze wracać.



# REŻYSER WŚRÓD SWOICH WIDZÓW

(III DNI FILMU POLSKIEGO  
W DYSKUSYJNYM KLUBIE FILMOWYM „PULS”)

Wrzesień w Raciborskim Centrum Kultury jest od trzech lat miesiącem filmu polskiego; autorzy tego pomysłu przekornie nawiązują do starych, wręcz socrealistycznych sposobów promocji rodzimego kina nasycając je jednak nową treścią. Widzowie, na ogół bardzo młodzi, mają jedyną okazję poznać wybitne osiągnięcia polskiej kinematografii. Po wyborze z „kina moralnego niepokoju”(2004) oraz zestawu tytułów z ostatniego 50-lecia (2005) przyszedł czas na retrospektywę Krzysztofa Zanussiego. I nie byłoby może w tej propozycji nic nadzwyczajnego - reżyser jest uznanym i chętnie przypominanym twórcą - gdyby nie fakt, iż inauguracja raciborskiego przeglądu odbyła się 7 września br. przy udziale samego artysty. Krzysztof Zanussi spędził w Kinie „Przemko” dwie godziny i nie trzeba ukrywać, że były to dla uczestników wieczoru godziny niezapomniane. Reżyser jest jedną z najbardziej znanych osobowości polskiej sztuki,





jednak w bezpośrednim kontakcie ujawnił cechy, które niekoniecznie dają się odczytać z krótkich relacji telewizyjnych. Przede wszystkim okazał się osobą niezwykle komunikatywną i bezpośrednią, wciągającą swoich rozmówców, dzięki swej nieprawdopodobnej erudycji, w wir dyskusji. Po raz kolejny okazało się - przeżył to każdy, kto na uczelni spotkał się, jak to się mówi, z prawdziwymi profesorami - że ludzie naprawdę wybitni są ujmująco grzeczni, może dlatego, że nie muszą udawać kogoś kim nie są. Tak więc dyskusja, najpierw wśród młodych adeptów lokalnego dziennikarstwa, a potem z około stuosobową grupą kinomanów, raz po raz schodziła z głównego nurtu w stronę spraw świata, w którym żyjemy. Reżyser okazał się pilnym obserwatorem naszej rzeczywistości i jej przenikliwym diagnostą.

Chciałbym, jako prowadzący to spotkanie, by młodzież uniosła ze sobą przesłanie i ostrzeżenie, które, jakby niechcący, przebijają z wypowiedzi Pana Krzysztofa - o świecie skażonym natarczywą reklamą, tandetą i pseudowiedzą, przed którym można i trzeba się obronić. Myślę zresztą, że akurat uczestnicy spotkania rady reżysera przyjęli za swoje.

Krzysztof Zanussi przybył do Raciborza niemal prosto z... Odessy, a po kilku dniach był już w Italii odbierając z rąk Prezydenta najwyższe włoskie odznaczenie dla obcokrajowców; znalazł czas dla ludzi z niedużego miasta na rubieży i powiedział im - to co zawsze przekazywał w swoich filmach - że warto być człowiekiem.

# TAM, GDZIE SPOTYKA SIĘ POEZJA, MUZYKA I FOTOGRAFIA

Wyjątkowym świętem artystycznym była zorganizowana 14 maja 2006 roku w Raciborskim Centrum Kultury promocja tomu poetyckiego Marka Rapnickiego *Terytorium powiernicze* oraz wernisaż wystawy fotograficznej tego samego twórcy. Nasz kolega redakcyjny, jeden z najlepszych animatorów kultury w regionie śląskim, znów zaprezentował swoją nieprzeciętną umiejętność kreowania nastrojów nasyconych metafizyką. Wszak to On wymyślił ten wieczór, który nie był zwykłą promocją i rutynowym wernisażem. To On wymarzył sobie każdy jego szczegół. Uczestnicy spotkania, którzy szczerze wypełnili Salę Kameralną, mogli przeżyć symultaniczne wręcz doznania estetyczne: było słowo poetyckie – zarówno autorstwa głównego bohatera wieczoru, jak i ks. prof. Jerzego Szymika, który z entuzjazmem, jak zawsze, przybył do Raciborza, były fotografie – również dzieło Marka – dokumentujące Jego sentymentalną podróż przez Umbrię i Toskanię, była wreszcie muzyka w perfekcyjnym i serdecznym wykonaniu Jana Kondraka i „Federacji Bardów” - lubelskich przyjaciół sekretarza redakcji „Almanachu Prowincjonalnego”.

Była także pełna głębokich spostrzeżeń rozmowa o poezji, teologii, podróżach i pięknie życia. Znakomici interlokutorzy to Marek Rapnicki i ks. prof. Jerzy Szymik, a rolę moderatora wzięł na siebie redaktor naczelny „Almanachu” Janusz Nowak.

Mimo że spotkanie trwało długo, zdecydowana większość jego uczestników nie chciała opuszczać gościnnych i ciepłych (nie tylko z powodu wysokiej temperatury powietrza) pomieszczeń Raciborskiego Centrum Kultury, którego gospodarz, dyrektor Leszek Wyka, nie krył autentycznej satysfakcji z wielorakich dokonań podwładnego i przyjaciela.

Marek w przychyliwie szczerości zapowiadał następane podróże i wystawy oraz kolejne tomy poezji.

Trzymamy za słowo!





# SPOTKANIE PO LATACH

**N**ie wiadomo, czy kiedykolwiek na sali Biblioteki Miejsko-Powiatowej w blisko 50-tysięcznym Świdniku koło Lublina dostawiano ławki z braku siedzących miejsc. Kiedy znalazłem się wewnątrz, ujrzałem osoby w podeszłym wieku, rówieśników głównego bohatera, ale także ludzi całkiem młodych. Dla kogo przyszli? Otóż do miasta swoich lat szkolnych i studenckich zjechał Marek Rapnicki prezentując wystawę fotograficzną „Italia bliska”, a także promując swoją książkę „Terytorium powiernicze”. Spotkanie poprowadził, znany z koncertów w Raciborzu Jan Kondrak, który okazał się także znakomitym interlokutorem i – co najważniejsze – interpretatorem cudzej poezji. Dzięki poczuciu humoru i elokwencji obu panów spotkanie, choć trwało niemal trzy





godziny, nie znużyło nikogo. Nic w tym dziwnego, bo z dyskusji wynikało, że spotkać się z Rapnickim w ten ciepły październikowy wieczór przyszli starzy przyjaciele, ich dzieci, nauczyciele licealni, szkolny katecheta, koledzy z lubelskiej archeologii i wiele osób ceniących sobie sztukę. Jak łatwo zgadnąć, nie mogło zabraknąć wspomnień i serdecznych dialogów. Muzyczne przerywniki serwowali ludzie z Lubelskiej Federacji Bardów, a były to pieśni szczególnie ukochane przez poetę z Raciborza. Dodatkowym smakołykiem był mini-koncert na marimbie bardzo młodego Jacka Oleszczuka. Być może punktem kulminacyjnym wieczoru stała się pieśń zaśpiewana do słów Marka Rapnickiego, a mówiąca o mieście młodości. Wychodząc po spotkaniu nuciłem sobie jeszcze refren (w rytmie samby!): Miasto. wierne. przechowuje marzenia...

**PS. JAK DOWIEDZIAŁEM SIĘ Z TAMTEJSZYCH PLAKATÓW, CAŁA IMPREZA ODBYŁA SIĘ W RAMACH OBCHODÓW 10-LECIA ŚWIDNICKIEGO TOWARZYSTWA MUZYCZNEGO, KTÓRYCH ORGANIZATOREM BYŁ JERZY OLESZCZUK.**



# BACH W DŻINSACH NA ROGU HALICKIEJ

(O TERYTORIUM POWIERNICZYM MARKA RAPNICKIEGO)

**Na** początek zastrzeżenie. Autorze, nad wyraz szanowny, dałeś Czytelnikowi książkę jak się patrzy, ale nie opatrzyłeś jej najmniejszą nawet notką biograficzną. Rozumiem wrodzoną skromność człowieka, nie rozumiem niedopatrzenia twórcy, który rzadko, ale wyraziście pojawia się w tzw. obiegu czytelnicznym; i to nie tylko między opłotkami. (Na dowód króciutko: debiut, powielaczowy, w ramach Spotkań na KUL w Lublinie – 1979, tomiki: *Ość*, Kraków 1990, *Pieśń winnego*, Kraków 1991). Niemniej, można się domyślać, że sto dwadzieścia kilka tekstów poetyckich *Terytorium powierniczego* (opublikowane wcześniej i dotąd niepublikowane) skonfigurowało w zupełnie nową jakość.

W książce znalazła się też pokaźna garść fotografii. Liryki i zdjęcia z pewnością współgrają ze sobą. Już to dopełniają się pod względem treści, jak tekst *Stas* (Wszystkie cytaty z wierszy Rapnickiego pochodzą z tomu: Marek Rapnicki, *Terytorium powiernicze*, Kraków 2006), którego incipit mógłby być tytułem zdjęcia z poprzedniej strony: mój najlepszy wiersz włązi właśnie na magnolię (s. 41). Już to konwenują na zasadzie, powiedzmy, przekornej, kiedy słowa o schludnym mieście (*Telegram prowincjonalny*, s. 63), być może Raciborzu, zestawiono z obrazem nowoczesnej, pięknej, ale zimnej, wręcz aseptycznej małej architektury. Już to symbolizują ze sobą, jak inicjalny wers *Na Lipowej* (Ty wiesz już wszystko, Mamo. Co, komu i dlaczego?) z fotografią Matki, na której urealnijający cień rozumie się z odrealniającym światłem jakby byli jednością. Najczęściej jednak w tej książce obraz i słowo współgrają trudną do wyjaśnienia impresją, podobieństwem emocji, aurą, która w próbie intersemiotycznego przekładu straciłaby zbyt wiele. Poza tym – jak skromnie pisze Autor we wstępie – zdjęcia mają jedynie inkrustować, niczym zwiędłe liście (s. 5) mapę jego literackiej wędrówki. I niech tak będzie; ze względów metodologicznych reprodukcje te pozostaną tu niezbadaną mgławicą na obrzeżach tekstu zasadniczego. Możliwość takiego podejścia nie wyklucza Krzysztof Lisowski, który w recenzji pt. *Dwa dukty liryki* pisze, że wiersze tu pomieszczone mogą funkcjonować przecież same, same się tłumaczyć i objaśniają (*Nowe Książki*, nr 9/2006, s.72).

Na pierwszy rzut oka *Terytorium powiernicze* wygląda jak (przywołując tytuł jednego z tekstów *Ćwiczenia z Vermeera*) – zbiór ćwiczeń poetyckich z historii sztuki. Pierwszoplanowa zdaje się być postać podmiotu – znawcy, estety, który wręcz onieśmiela czytelnika potężną dawką erudycji, meandrami zainteresowań, diapazonem wrażliwości na piękno. Czegóż tu bowiem nie ma? Areopag europejskiego malarstwa, muzyka sprzed wieków i współczesna, jazzowa i rockowa, architektura. Wymieńmy przykładowe tytuły: *Marzenie Breughla*, *Velazquez*, *Słow Marcing Band*, *Na szlaku z Jethro Tull*, *Requiem* (inspirowane muzyką Branforda Marsalisa), *Aachen*. *Wtajemniczenie*, *Miedzianozłota* (o czeskiej Pradze), *Vivaldi*, *Venezia*. *Powitanie*, *Verona*. *Opoka*, *Santa Maria del Fiore*. *Ponad wszystkim* itd. Konteksty literackie, historyczne, kulturowe...

Co z tego przebogactwa wyróżnić w krótkim szkicu?

Nie budzi wątpliwości, że kompozycja, obszernej przecież, książki jest precyzyjna jak inżynierski projekt mostu nad, powiedzmy, Europą. Spaja ją isticie romantyczny topos życia jako



Antifonario

^

Liuto Veneziano 1600

^

podróży, ujęty w wyraziste ramy poetyckiej biografii ja lirycznego. Tom otwiera S.D.G. Prolog (s. 9), poetycka miniatura o narodzinach w melodii Bachowej sonaty c-moll z cytatem inskrypcji Soli Deo Gloria w tytule. Zamyka muzyka tegoż Bacha jako materia metafory powrotu i trwania (*Z Lipska wracam nad ranem*, s. 243). Budowla nie zawali się, bo przeszła pomiędzy np. Wilnem, Lublinem, Krakowem, Freiburgiem, Londynem czy Italią są stabilne, a fundamenty sięgają w głąb historii – upraszczając mocno – od rozdroży Polesia w 1939 r., przez włoski renesans, do niemieckiego średniowiecza. Ale na nic zdałyby się misterne obliczenia, gdyby nie prawda przeżyć i refleksji, wreszcie odwaga podmiotu, który nie waha się łączyć ponad czasem i przestrzenią np. trąbki Milesa Davisa, mającej przezroczystość wody / w południowych lagunach, z kassandrycznym pismem wron nad oziminą w podraciborskich Ocicach. Toż to zabieg iście barokowego konceptyzmu, a wiersz przynosi kolejne niespodzianki... (*Sketches of Spain and spring*, s. 47). Podobnie mój ulubiony *Telegram muzyczny* (s. 61): King Crimson – Bach w dzinsach – ażurowy / szczyt katedry w (...) mieście Freiburg – w klinowym piśmie sekund).

Peregrynacje podmiotu dzieją się więc wzdłuż i w głąb czasoprzestrzeni, która na oczach czytelnika jak piękny owad wtapia się w ożywczą żywicę indywidualnego przeżycia. Inaczej mówiąc, gest wewnętrzny nie jest zawieszony w próżni, nieustannie konfrontuje się ze światem zewnętrznym, szukając niejako płaszczyzny koherencji. Zdaje się, że taka strategia liryczna w Terytorium powierniczym dominuje. Przykładem *Heidelberg. Toast* (s. 85):

*Heidelberg. to brzmi jak toast za pomyślność.  
południe nad Neckarem. z zamku Wittelsbachów  
widać miasto. syte sukcesów i chwały.  
(czy jeszcze prosi o co).  
gniazda pałaców zanurzonych w zieleń.  
muzyka barw dystynkcji i pewności.  
a dla nas uniwersytet światła. cicha ścieżka  
nowiny. iglice olśnienia.*

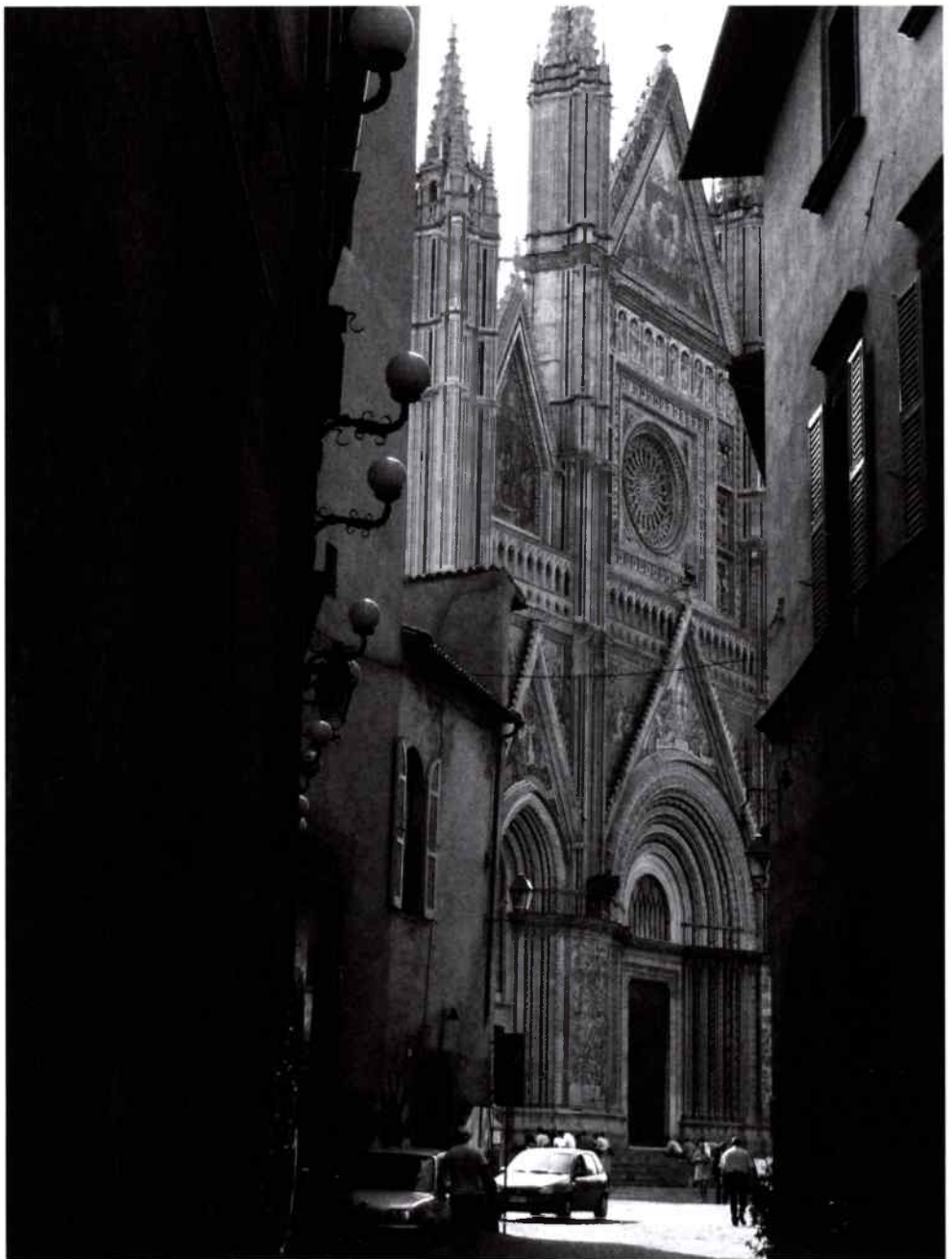
*co się należy temu miastu to lament  
nie zapomnieć modlitwy o deszcz  
w czas stokrotnego urodzaju.*

Pierwsza strofa brzmi jak uwznioślająca oktawa, w której wyraźnie wyróżniają się dwie całości czterowersowe. Punktem wyjścia jest fonetyczna impresja na temat nazwy Heidelberg, zawierająca jednocześnie zarys sytuacji lirycznej (w. 1). Drugi wers wskazuje realia, w tym usytuowanie podmiotu postrzegającego na zamku Wittelsbachów, czyli na wzgórzu, skąd rozpościera się panorama miasta. Przerzutnia między wersami 2 i 3 podkreśla słowo widać, eksponując zasadę: widzę i opisuję (jak m. in. u Adama Mickiewicza), która została rozwinięta w drugim czterowersie. Tutaj najpierw pojawia się metafora wizualna (w. 5), selektywnie wyostrzająca obraz widziany z dalekiej perspektywy i punktująca owe pałace zanurzone w zieleń jak ptasie gniazda na drzewach. Kolejny wers (6) to wyraz jawnego już zachwyty estety, który nadaje pejzażowi cech płótna impresjonisty. Służy temu kondensacja metafor, z synestezją włącznie. Dalej jednak ową błyskotliwość wrażeń i tylko wrażeń stopniowo zastępuje inny typ przeżyć. Po pierwsze, ujawnia się podmiot zbiorowy, po drugie, metafora cicha ścieżka / nowiny (w. 7) odwołuje się wyraźnie do ewangelii. Idąc tym tropem, również miasto jako uniwersytet światła (w. 8) należy kojarzyć, dzięki owemu światłu, z Pismem. Wśród olśniewających iglic budowli, górujących nad panoramą, tak naprawdę zatem interesujące są tylko iglice olśnienia (w. 8), czyli – w kontekście – sfera sacrum. Efekt wzmacnia konstrukcja poetyckiej przestrzeni: Spojrzenie podmiotu najpierw

obejmuje dolinę Neckaru, dalej wznosi się do górujących nad resztą – i widocznych z realnej perspektywy – pałaców, by ostatecznie wykreślić wektor stricte metafizyczny.

Poetycka przygoda Rapnickiego z Heidelbergiem (dosł. Góra Jadwigi – katolickiej świętej) zaczyna się od wrażenia – dźwięku, skąd przechodzi, przez realia, do estetyzujących wrażeń – obrazów, by zatrzymać się na przeżyciu – symbolu iluminacji. Rozpatrując monolog liryczny pod względem jego konstrukcji, mamy tu do czynienia ze stopniowym narastaniem znaczeń, które – w swoistej, jak się wydaje, formie – realizuje koncepcję poematu rozkwitającego Tadeusza Pei-pera.

Ale na tym nie koniec. Konsekwentnie rozwijającą się wizję poety wieńczy refleksyjna pointa, którą, zresztą, zapowiadają wersy 3,4. Otóż, miastu, sytemu sukcesów i chwały (w. 3), należy się (...) lament (w. 9). Suspens rodem z Hitchcocka? Po trosze tak, bo rzadki w liryce – panegi-



ryczny, „lekki” z natury – gatunek toastu, przekornie wykorzystano do zbudowania poetyckiej niespodzianki, tudzież wyrażenia myśli jak najbardziej poważnej. Czyżby turysta ze wschodnich prowincji zazdrościł Zachodniej Europie dostatku? Wniosek tyleż trywialny, co niezgodny z kontekstem. Zamykające wiersz wersy to – jak mówi Lisowski – inkantacje wywiedzione z czytania Biblii i - dodam - pobrzmiewające sławną Modlitwą o deszcz z Ksiąg trzecich Jana Kochanowskiego. Chodzi o dążenie do postrzegania świata jako Całości. Awers musi mieć swój rewers, światło – swój cień, a olśnienie – swój lament. Jednoznacznie poeta wpisuje się w ten sposób m. in. w filozofię chrześcijańską, wg której droga do Alleluja wiedzie przez via Dolorosa.

(W związku z powyższym, trochę na zasadzie impresji, można tu zacytować *Którego nie ma*, wiersz - aforyzm Ryszarda Krynickiego: Bój się Boga / którego nie ma / w twym sercu (Pismo, nr 3, maj 1981, s. 89).

I stąd dopiero wyłania się całościowa wizja kultury europejskiej, tak jak ją poeta widzi z tej strony żelaznej kurtyny w drugiej połowie XX stulecia – wieku totalitaryzmów i wieku konsumpcyjnego dobrobytu. Nie na darmo dla stokrotnego urodzaju (w. 11) należy prosić o deszcz.

Do owej całości, do „wszystkiego” (horyzontalnie i wertykalnie), które by można objąć jednym rzutem oka artysty, zamknąć w jedną frazę i zalać ciepłym wiecznym, powtórzmy, bursztynem indywidualnego przeżycia – do tego usilnie zdaje się dążyć podmiot *Terytorium powiernicze*. Jak w wierszu *Orvieta. Powtórka z polskiego*, gdzie wędrowcy, wiarołomni i źle ubrani (sic!), z upodobaniem do barw / cyfrowych (sic!), stoją przed katedrą, która wciąż rośnie (sic!), a kelnerka w knajpcie obok (sic!) uśmiecha się po etrusku (s. 211).

Stary Poeta twierdzi, że nie jest to możliwe. W jednym z późnych swoich tomów (Cz. Miłosz, *Piesek przydrożny*, Kraków 1997, s. 8) pisze: „Powinienem wiedzieć wszystko, co dzieje się teraz, równocześnie, w każdym punkcie ziemi, powinienem móc wnikać w umysły moich współczesnych i ludzi o kilka pokoleń późniejszych, a także tych, którzy żyli dwa tysiące i osiem tysięcy lat temu. Powinienem, i co z tego. Rzeczywiście. Ale bez dążenia do tak nakreślonej idei – czym byłaby poezja?” Rapnicki milcząco przyjmuje werdykt Mistrza, zdając się jednak pamiętać, że twórczość, w której nie chodzi o coś więcej niż ona sama, może stać się Wspólnictwem urzędowych kłamstw / Piosenką pijaków, którym za chwilę ktoś poderznie gardło... (Przedmowa, w: Cz. Miłosz, *Wiersze*, t. I, Kraków 1987, s. 151).

Gdzie zatem autor *Pieśni winnego* znajduje ocalenie? Czytajmy – jeszcze raz *Orvieta. Powtórka z polskiego*:

*coś musi być stałego...*

*ochryplym głosem*

*nauczał Księżę*

*choćby południki*

*pion i poziom*

*więc katedra wciąż rośnie (...)*

O to więc chodzi. Coś musi być stałego..., jak mówi Księżę Poetów – Zbigniew Herbert. Stare zaklęcia ludzkości, wielkie słowa Gilgamesza, Hektora, Rolanda w *Terytorium powierniczym* Marka Rapnickiego przyjmują różne kształty (architektura, muzyka, malarstwo, literatura), ale dominującym, wręcz obsesyjnym staje się katedra.

Bo w katedrze i w słowie katedra jest duch, który wznosi. Na chwilę pozwala zobaczyć w całości powierzone nam terytoria. Rzadko i niechętnie – na mgnienie wiersza.

# O IZBIE REGIONALNEJ W BORUCINIE



Pomysł założenia Izby Regionalnej w Borucinie zrodził się wówczas, gdy coraz częściej dowiadywałam się, że po śmierci jakieś starej ciotki, babci, czy sąsiadki opróżniano opuszczone przez zmarłą osobę pomieszczenia przystosowując je do wymogów współczesnych lokatorów. Niszczono wówczas, rąbano lub palono wiele tzw. starych gratów. Nadto do wsi coraz częściej poczęli przyjeżdżać koneserzy staroci i za bezcen kupowali od gospodarzy dawne sprzęty gospodarstwa domowego, stroje ludowe itp. rzeczy. Warto zwrócić uwagę, że również osoby przebywające „na stałe” w Niemczech przyjeżdżały do Borucina w odwiedziny i zabierały stąd pamiątki po rodzicach, dziadkach. Żyjąc z dala od swej małej ojczyzny z różnych powodów (sentymentalnych, komercyjnych etc.), bardziej

niż ludzie tu mieszkający cenili sobie to, co było wytworem ich przodków i śladem lokalnej kultury. W rezultacie poprzez niszczenie, sprzedaż i wywóz za granicę, bezpowrotnie zniknęło wiele wartościowych zabytków i pamiątek minionych stuleci.

Aby zapobiec dalszej ich „likwidacji”, postanowiłam założyć Izbę Regionalną. Do inicjatywy tej ze zrozumieniem podeszły miejscowe władze administracyjne. Na wielu oficjalnych spotkaniach z mieszkańcami Borucina przedstawiałam szczegółowy projekt utworzenia takiego wiejskiego muzeum. Idea ta znalazła wkrótce wielu sympatyków. Izbę ulokowano w



miejscowym Domu Kultury. Po odnowieniu udostępnionej sali, w sierpniu 1996 r. zgromadziliśmy w niej pierwsze eksponaty. Okazało się, że dzięki zapałowi wielu mieszkańców wsi wkrótce udało się wypełnić Izbę różnymi meblami i przedmiotami domowego użytku. Na ścianach urządzono galerię „swatych”, tj. obrazów religijnych, wystawę pamiątek z wojska i różnych uroczystości rodzinnych.

W celu rejestru zebranych eksponatów, założyłam tzw. księgę inwentarzową, do której wpiisywana jest regionalna i oficjalna nazwa eksponatu, nazwisko jego właściciela lub ofiarodawcy oraz data zarejestrowania: na stałe lub na czas nieokreślony. Zarówno ofiarodawcy jak i właściciele nie zostają pozbawieni prawa własności, a ich nazwiska eksponowane są na każdej notce proveniencyjnej.

Oficjalne otwarcie Izby Regionalnej nastąpiło podczas uroczystości dożynkowych 8 września 1996 r. Wstępę przeciął wówczas mgr Marcin Kandziora, ówczesny wójt gminy Krzanowice.

W tym dniu po raz pierwszy Izbę zwiedzali goście dożynek oraz mieszkańcy Borucina. Potem organizowano wycieczki szkolne w ramach realizowania programu edukacji regionalnej, przybywali dorośli mieszkańcy okolicznych wsi, goście z zagranicy, a także dziennikarze, którzy opisywali to wiejskie „muzeum” w lokalnej prasie<sup>1</sup>.

Podjęte i zareklamowane w Borucinie zbieractwo wkrótce stało się dość powszechne. Mieszkańcy nadal odwiedzali Izbę, stale wzbogacając jej zasoby. W rezultacie okazało się, że powierzone wcześniej pomieszczenie nie jest w stanie nadal spełniać swej roli, gdyż zabrakło w nim miejsca na właściwą prezentację eksponatów. W związku z tym na potrzeby tego lokalnego muzeum zaadaptowano nową, znacznie większą salę. Postawiono w niej drewniane przegrody-ściany i tym sposobem urządzono oddzielne pomieszczenia mieszkalne: pokój gościnny, sypialnię, kuchnię oraz komorę. W izbach tych umieszczono odpowiednie eksponaty, których dzięki życzliwości i ofiarności mieszkańców stale przybywa<sup>2</sup>. Aktualnie w „muzeum” mieści się ponad 500 eksponatów, które zostały odpowiednio posegregowane. Meble stanowią wyposażenie każdego z pomieszczeń. W pokoju gościnnym mieści się duży stół oraz stylowe krzesła, dwa kredensy z początku XX w., biurko i sofa. W sypialni jest łóżko „z kulami”, szafa, skrzynia na ubrania, zwana truchłą, toaletka oraz stół i krzesła. W kuchni natomiast stoi kredens, na który w Borucinie mówi się bifyj oraz szeslung, czyli leżanka, szafka z szufladami wypełnionymi pojemnikami do zmywania naczyń oraz stół i krzesła kuchenne. W komorze natomiast umieszczono nieco mniejszy - i zdaniem informatorów starszy niż „w kuchni” - kredens oraz wiele przedmiotów gospodarstwa domowego (np. młynki do kawy, cyntryfugi, tj. urządzenia służące do oddzielania śmietany od mleka, działaczki do ubijania masła, pojemniki (miaraki) na zboże), a także sprzęt rolniczy (np. cepy, grabie) i rzemieślniczy (np. maszyny do szycia, kołowrotki, grzebień do czesania wełny itd.). Wymienione eksponaty we współczesnych gospodarstwach domowych są bezużyteczne, ponieważ zastąpił je nowoczesny sprzęt. U wielu właścicieli sprzęty te wypełniały wolne miejsca na strychu lub w piwnicy i tylko ze względu np. na szacunek dla rodziców, nie zostały zniszczone:

*Keby ni fater, to tygo uż dawno ni ma, ale oni dycki godajom: „wyciepnyc eszcze dycki mozesz. Na razie to niechej, może ci se co eszcze kedy przidać”. No i tak to zostało<sup>3</sup>.*

U innych mieszkańców te sprzęty zachowały się po prostu dlatego, że było miejsce do ich przechowywania:

*My takich roztomańtych gratów mamy fol, bo to tam leży w stodole i żadnymu nie zawadza<sup>4</sup>.*

W wielu domach niszczone jednak niepotrzebne już nikomu przedmioty:

*Jake my mieli doma fajne wertiko, moc fajniejsze niż te, co tu stoi, ale co? Zawadzało! Żaden go w izbie mieć nie chcioł, to my go porombali. A jake to było zdrowe drzewo, dyć to nie szło porombać<sup>5</sup>.*

Niektórzy mieszkańcy dopiero dziś żałują, że rodzice lub dziadkowie zlikwidowali najpiękniejsze pamiątki i sprzęty:

*W domu u omy to tez wszicko wyciepowali, bo mówili, że to stare graty, A co zrobili z sypialnią? Mieli dwie, no to jedna trza było wyciepnyc. I to porombali ta fajna, z drzewa wyrzeźbiana, z kulami, bo była niemodna, a zostawili se taka zwykła, za przeproszyniem z prostych desek. A ja by teraz mogła mieć (za damo!!!) taka fajna sypialnia<sup>6</sup>.*



Jednak nie wszystko zostało zniszczone, dlatego w Izbie oprócz mebli znajduje się wiele innych przedmiotów. Na półkach ułożono książki pisane w trzech językach: polskim, niemieckim i czeskim. Są to przede wszystkim książeczki do nabożeństwa, żywoty świętych, ale są również poradniki lekarskie, pozycje z literatury pięknej i czasopisma. Inne regały wypełnione zostały kolekcją lamp naftowych, foremek do masła i ciast, żelazek od tych na węgiel drzewny po elektryczne. Na niektórych meblach ustawiono figury świętych, zdjęcia rodzinne w starych ramkach, radia *Pionier*, a nawet telewizor *Triemp 3* z lat 60. W kredensach pomieszczono szkło i ceramikę, w szafach i skrzyni tzw. wiannej mieszczą się poszczególne elementy strojów ludowych, tych zakładanych na co dzień, jak i tych ubieranych od święta. Kompletny kobiecy strój ludowy został zaprezentowany na dwóch manekinach. Składa się on z *unteroka* (halki), *mazelonki* (marszczonej spódnicy), *kocybajki* z *bletergypom* (kaftana z naszywanymi ozdobami kwiatowymi) i *szatki ze szczapcami* (chusty z frędzlami). Ze stroju męskiego pozyskano jedynie gerok, czyli czarny surdut, który mężczyźni zakładali jeszcze przed drugą wojną światową z okazji ślubu lub innych wielkich uroczystości. Interesująca jest również stale wzbogacana galeria obrazów religijnych, pamiątek z wojska (np. z 1906 r., z pierwszej wojny światowej) oraz pamiątek uroczystości rodzinnych (takich, jak ślub, I Komunia św. itp.). Na szczególną uwagę zasługuje dobrze zachowany w szklanym obramowaniu, zasuszony wianek mirtowy panny młodej wraz z *wuniaczką* (czyli ozdobą ślubną pana młodego umieszczaną w prawej klapie marynarki). Wewnątrz wianka umieszczono niewielką poduszeczkę w kształcie serca, na której wydrukowano imiona i nazwiska nowożeńców oraz datę ich ślubu.

Śpośród eksponowanych przedmiotów, niektóre jak np. drewniana „pralka”, „grzebień” do czesania wełny czy *lesiczka* (czyli drewniane urządzenie służące do oddzielania twarogu od serwatki) zadziwiają nawet najstarszych ludzi zwiedzających Izbę. Jak się okazuje nawet oni nie potrafią ustalić przeznaczenia niektórych eksponatów. Pokolenie średnie z nieskrywaną satysfakcją rozpoznaje przedmioty, które jeszcze „niedawno” stanowiły wyposażenie domu ich dziadków. Potwierdzają ich znajomość, omawiają sposoby ich wykorzystania, przywołują związane z nimi wspomnienia. Natomiast dzieci i młodzież szkolna z „zapartym tchem” ogląda „stare graty” i słucha wyjaśnień dotyczących kultury materialnej ich przodków.

#### PRZYPISY

1. Zob. np.: MaJ, Ze strychu na wystawę, „Nowiny” 1996, nr 39, s. 1 i 12; W. Dobrowolski, Graty nie poszły na straty, „Schlesisches Wochenblatt” 1996, nr 42; G. Wawoczny, Buruckie muzeum, „Nowiny Raciborskie. Tygodnik” 1997, nr 2.
2. Na nową ekspozycję zwróciła uwagę prasa miejscowa: G. Wawoczny, Wertiko, befjy i bonclok, „Nowiny Raciborskie. Tygodnik” 1997, nr 38.
3. Inf.: W. F., ur. w 1959 r., zapis w 1996 r.
4. Inf.: M. M., ur. w 1952 r., zapis, w 1996 r.
5. Inf.: H. S., ur. w 1939 r., zapis w 1996 r.
6. Inf.: H. P., ur. w 1979 r., zapis, w 1998 r.

**PSUNANIC**

WYSOKIM FALOM POŚWIĘCAM

o jejku haiku!

od słowa do słowa  
biegają poeci

oddają myśli na jałowy teren  
myślą że znaczą

o jejku haiku!

znów ich zmyła fala  
ziarnko po ziarnku

kamień na kamieniu  
tu gdzie kiedyś plaża

o jejku haiku!

czas odciska łapę  
w alei gwiazd

**JACEK MOLEDA**

# IM DALEJ W LAS, TYM WIĘCEJ NAS



**M**ój przyjaciel z Gdańska, poeta Artur Nowaczewski, przeszedł kiedyś 100 km w ciągu jednej doby. Nie mam zamiaru ścigać się z Arturem (jego tempo jest takie, że po kilkudziesięciu metrach wspólnego marszu dostaję zadyszki), ale jednego się od niego nauczyłem: człowiek, który chodzi, wie o świecie – a także o sobie samym – więcej, niż ten, który spędza życie przed ekranem.

Niby banalne, a jednak przeżyłem coś w rodzaju szoku, kiedy pierwsze promienie wiosennego słońca wyciągnęły mnie na zewnątrz kawalerki, której w ciągu tej paskudnej zimy prawie w ogóle nie opuszczałem (nie liczę oczywiście koniecznych wyjść do pracy i po zakupy). Odkryłem bowiem, że tuż za drogą szybkiego ruchu, skąd codziennie ucieka mi autobus, jest zupełnie inny świat, pachnący żywicą, mokrą ziemią i kilkoma innymi rzeczami, których jeszcze nie umiem nazwać. Że można wejść w las, chodzić po nim cały dzień i zapomnieć o świecie, ale nie o Bożym, tylko tym ludzkim właśnie, tak bardzo krzątającym się wokół spraw nieważnych. Czasami dochodziły mnie z oddali odgłosy tego świata, ale im dalej w las, tym bardziej ten świat stawał się tamtym, a tamten – tym. Brnąłem więc przez topniejący śnieg, błoto, przeskakiwałem kałuże i byłem szczęśliwy, że dotykam prawdziwego życia, o którym przez zimę jakby trochę zapominałem.

Najpierw przebiegł mi drogę bażant. Jest dobrze – pomyślałem – ciekawe, co będzie dalej. Dalej były dzikie kaczki i umykająca w oddali sarna. Czy ja na pewno jestem w Katowicach? – zastanawiałem się. Zaraz jednak przypomniało mi się spotkanie z panem Jarkiem, wielkim miłośnikiem tego miasta, który mówił, że 57 procent obszaru Katowic stanowią tereny zielone. Zdaje się, że pod tym względem dorównuje nam jedynie Szczecin. Kiedy mieszkałem na pograniczu Dębu i Józefowca, jakoś nie chciało mi się tego weryfikować. Wystarczył mi pobliski park (chorzowski zresztą). Dziś – z lekkim niepokojem – stwierdzam, że ulubionym miejscem spacerów mieszkańców Józefowca staje się Silesia City Center. Nie mam nic przeciwko tej instytucji, ale za każdym razem, kiedy po godzinie wędrówki między wystawami ekskluzywnych sklepów docieram wreszcie na Plac Tropikalny, zaczynam się obawiać, czy nie odbije mi palma.

Więc ja od tej palmy, od tego sztucznego raj, uciekam między brzozy, buki, sosny. Wsiadam w 296 i dalej – na ostatni przystanek, a potem znów: w las wchodzenie, pomału, ostrożnie. I coraz głębiej w zieleń, dotykać kory drzew, być haratanym przez gałęzie, przeskakiwać przewrócone przez burzę pnie.

Tak docieram do zapomnianej stacji w samym środku lasu. Większość torów już rozkradziono, a peron zarósł trawą. KATOWICE MURCKI – głosi napis nad drzwiami budynku pamiętającego czasy Bismarcka, a dziś zabitego deskami. Do centrum Murcek stąd jednak daleko. Na stacji panuje cisza, czuję lekki powiew wiatru, gdzieś w oddali stuka dzięcioł. Nachodzi mnie dziwna ochota, żeby postać sobie na tym peronie i poczekać. Na co? Nie wiem. Może chcę być z tymi, którzy w tym samym miejscu ponad sto lat temu też czekali. Pan w meloniku był tu pół godziny przed przyjazdem pociągu z Bytomia do Dziedzic koło Pszczyny. Miała nim jechać piękna młoda dama. Wyjął z kieszeni marynarki zegarek na łańcuszku. Czas włókł się niemiłosiernie.

Te wszystkie sentymentalne obrazki przychodziły mi do głowy na zapomnianej stacji w Emanuelssegen (tak kiedyś nazywały się Murcki). Próbowałem o tym opowiedzieć znajomym, niestety nie interesowało ich to zbyt. – Każdy ma jakiegoś bżika – wzruszyła tylko ramionami Elżbieta od Klawiszy. Postanowiłem więc, że napiszę wiersz, ale wyszedł jakiś potworek. Cóż było robić – wróciłem do kawalerki i zająłem się terażniejszością, czyli sprzątaniami. Z tych prozaicznych czynności wyrwał mnie jednak telefon od Anny, która uparcie poszukuje odpowiedzi na pytanie, kim jest. Byłem trochę zły, więc odpowiedziałem, żeby poszła do lasu. Tam się wyleczy ze swoich egzystencjalnych problemów. O dziwo, potraktowała moją poradę poważnie. Kiedy następnym razem mnie odwiedziła, w jej kręcone włosy wplątany był mały listek. Wyjąłem go ostrożnie. – Żeby lepiej zrozumieć siebie, trzeba na chwilę zapomnieć o sobie – powiedziała w progu. A ja pomyślałem, że jej poszukiwania mają jednak sens.



# „NIEBIESKA PIOSENKA”



**T**ak jak obiecałam w moim pierwszym fragmencie dziennika, chcę się dzielić z Wami również moimi bardzo osobistymi przeżyciami. Należę do osób, które łatwo czytać, których emocje widać jak na dłoni. Nie potrafię udawać czy też ukrywać swoich prawdziwych poglądów, mówię to, co myślę i bliskie mi osoby wiedzą, że zawsze mogą liczyć na szczerość z mojej strony.

Właściwie od razu, gdy tylko usiadłam do pisania kolejnego almanachowego fragmentu wiedziałam, że napiszę o tym, co jest dla mnie osobiste i intymne, ale czym chcę się podzielić, bo nie potrafię pisać o czymkolwiek innym, gdy tyle we mnie emocji, które przeżywa się tylko raz w życiu. Emocji związanych z Miłością. Z Miłością, która zawiodła mnie do ołtarza i pozwoliła na zawarcie Sakramentu Małżeństwa z moim Piotrem. I bynajmniej nie „w końcu”, czy też „kiedy się trzeba było zdecydować”, ale po prostu teraz, we właściwym czasie, z potrzeby serca, w wyniku w pełni dojrzałej decyzji, która nie ma dla mnie nic wspólnego z wiekiem czy też konwenansami. I tak trudno czasami to wytłumaczyć, w świecie gdzie wszystko się kalkuluje, gdzie często robi się to, co wypada. Czasami przytakuję, nie da się przecież wyłuskać przed każdym swoich uczuć, powodów swoich decyzji w kilka sekund. I tak nadszedł ten dzień, tak długo przez nas wyczekiwany, do którego bardzo długo się przygotowaliśmy. Nie tylko organizacyjnie, ale i duchowo.

Piątek zacinął deszczem i przygniótł mnie burzą, ale około godziny 19.00 pomiędzy ciemnymi kłębamii chmur zobaczyłam przedzierający się zachód słońca. Mimo że prowadziłam samochód, chwyciłam aparat fotograficzny i jedną ręką nie patrząc gdzie jadę, zrobiłam zdjęcie mojego promyka nadziei. Zawsze twierdziłam, że nadzieja nie jest matką głupich. Wczesnym rankiem 26 sierpnia 2006 roku jechaliśmy po zalanych słońcem ulicach na spowiedź świętą. Później szybko znaleźliśmy się na parkingu przed Henklem, bo w zagonieniu ostatnich dni nie zdążyliśmy przetańczyć walca angielskiego, którego przygotowaliśmy na pierwszy taniec... walc sączył się z samochodowego odtwarzacza CD, a my wirowaliśmy po całym parkingu. Kierowcy wyjeżdżających w trasę TIR-ów byli bardzo zdziwieni. Z uśmiechem wspominam nas tańczących, to były ostatnie chwile spokoju przed przygotowaniem, ostatnie bliskie sam na sam.

Sakrament Małżeństwa przed Bogiem i prośba o Jego łaskę to niesamowite przeżycie. Najważniejsze przeżycie tego dnia. Nawet w najśmielszych marzeniach nie myślałam, że to takie piękne. Doszliśmy z Piotrem do wniosku, że to chwila absolutnie magiczna, wyjątkowa, której nic nie zastąpi. Ściskaliśmy się bardzo mocno za ręce, gdy mówiliśmy przysięgę. Czułam, jakby wokół nikogo nie było, widziałam tylko jego oczy i czułam wagę wypowiedzianych słów. Zaraz po przysiędze, gdy spojrzałam na Piotra, zobaczyłam, że jest wzruszony, a on wyszeptał: „To najwspanialsza chwila w moim życiu”. Od tego momentu najważniejsze, co pamiętam, to zalewające uczucie szczęścia i uśmiech, który nawet na chwilę nie chciał uciec z naszych twarzy. Promienieliśmy. Czułam, że jesteśmy tak silni i tak niezniszczalni, że absolutnie nic nie jest w stanie odebrać nam tej aury.

Jeszcze przed ślubem przypominałam sobie pewną ważną rozmowę z Kasią, koleżanką z liceum, która tak jak ja studiowała w Krakowie i czasami spotykałyśmy się w piątki w autobusie,

który o 14.10 wyjeżdżał z Krakowa do Raciborza. Kiedyś spędziłyśmy cztery godziny drogi na rozmowie o małżeństwie- Kasia była już wtedy mężatką. Jako studentka teologii powiedziała mi bardzo wiele ważnych rzeczy. Uświadomiła mi, że to narzeczeni udzielają sobie nawzajem Sakramentu i wątpliwości co do jego nierozzerwalności, dopuszczanie możliwości zmian, niweczą jego skuteczność. Trzeba więc mocno wierzyć w to, że się uda, bo tylko wtedy z Sakramentu płynie łaska, tak potrzebna w chwilach słabości i życiowych zawirowań. Bez niej jesteśmy tylko ludźmi, którzy się ranią, którzy mogą się pogubić. Widziałam w Kasi, że jest obdarzona jakąś dodatkową siłą, że kiedy mówiła mi: „Marzena, warto, to wspaniałe dzielić życie z drugą osobą” było jasne, że to nie tylko papierek, jak mówią niektórzy. Że to naprawdę jedność. I że słowa Jana Pawła II: „Odtąd dwoje, choć jeszcze nie jedno, odtąd jedno, choć nadal dwoje” mają głęboki sens. Ja się o tym przekonałam. I to coś rozpira mnie i wypełnia od środka. Uczucie, jakiego wcześniej nie czułam, poczucie niewytłumaczalnej jedności, pewności, ciepła, czegoś bliskiego, co mnie uszczęśliwia. I chciałabym to powiedzieć całemu światu. Dużo rozmawialiśmy o tym z Piotrem, że zrodziło się w nas coś nowego, innego, piękniejszego. To oczywiście nie oznacza, że żyjemy w idylli, to coś jest w nas, gdy wtulamy się na dobranoc, ale też, gdy się sprzeczamy, mamy różne zdania. Wiemy, że udane życie zależy tylko od nas. Tylko my i nikt inny decyduje o tym, jak przeżyjemy swoje życie, jak ukształtujemy nasze małżeństwo. My z Piotrem wierzymy, że to nowa, wspólna siła. Ważne jest dla nas wspomnienie udanego wesela, na którym się świetnie bawiliśmy, ale to, co jest najważniejsze to siła i aura, jaką poczuliśmy od momentu ślubu i które nadal są w nas. I błagam, gdy o tym mówię, nie traktujcie mnie jak niepoprawnej idealistki z przymrużeniem oka. Mam nadzieję, że wieku 27 lat nie jestem za młoda, aby cokolwiek wiedzieć, ani też za stara, aby być naiwną. Ja po prostu tak czuję i wierzę, że tak będzie zawsze. To jest jak fundament domu. Oczywiście mam świadomość, że wszystko w nas i wokół nas będzie się zmieniać. Wygląd, natężenie naszych uczuć, namiętność, częstotliwość okazywanych czułości, długość przeprowadzanych rozmów, cierpliwość Piotra, gdy robi ze mną zakupy i tysiące innych rzeczy- wiem, ale to nie znaczy, że staniemy się dla siebie nudni, letni, przyzwyczajeni i właściwie zbędni. Jestem pewna, że tylko od dwojga ludzi zależy czy tak się stanie. Wiele osób pyta mnie: „No i jak w nowym stanie?” Za każdym razem żywiłowo opowiadałam o tym, jak czujemy się szczęśliwi, kiedy dostrzegłam, że właściwie nie o taką odpowiedź chodziło. Ponieważ zaraz po tym słyszałam szereg narzekań i przestroż, że po dwóch, pięciu lub siedmiu latach wszystko się zmieni, że to się dopiero okaże, że nie mam się zbytnio nastawiać, że niedługo się sobą znudzimy. Tymczasem ja jeszcze nigdy w życiu się nie nudziłam, kompletnie nie wiem, jak mogłoby do tego dojść? Dlaczego więc miałabym się znudzić człowiekiem, którego kocham? Przecież w każdym momencie życia przeżywa się inny etap, zawsze coś się wokół dzieje, zmienia. Te reakcje dały mi do myślenia. Przypomniały mi się wszystkie przestrogi przed małżeństwem, narzekania, że to ryzykowne. Wtedy nie poddawałam się, ale pytałam Piotra, -a jeśli to wszystko prawda?- jeśli to wszystko się zmienia po ślubie?- jeśli się nie uda? Zawsze niestrudzenie zaprzeczał. Nie można się dać zwariować! Dlaczego wszyscy musimy narzekać? A może chodzi o rachunek zysków i strat, może nawet ci, którzy narzekają byłiby mniej szczęśliwi samotnie? Człowiek nie może być sam, człowiek nie jest samotną wyspą, potrzebuje przystani, czyichś ramion, rodziny. Bynajmniej nasz związek nie był wolny od burz, rozstań i powrotów i wiem, że nie będzie łatwo, ale wystarczy uświadomić sobie znaczenie przysięgi, na dobre i na złe. Odtąd wszystkie sztormy trzeba przetrwać w imię czegoś ważniejszego, a nie zwijać zagle.

Kiedyś znalazłam zapiski mojego taty na skrawku papieru w rocznicę ślubu rodziców i dziś wiem, że taka jest prawda. „Wesele weselem, ale to życie? Różnie mówili, ale to ludzie słabi, bez charakteru, oni sami się boją własnego cienia. Małżeństwo to jest dawanie, a nie branie. Ja to zawsze widziałem w moich rodzicach”. Te same myśli, te same refleksje jak dziś moje. Przy takim założeniu przestaje istnieć wiele problemów, które zazwyczaj zaczynają się od: Bo ja tobie, bo ty



mi...Dawanie, a nie branie. To właśnie Małżeństwo przynosi poczucie wspólnoty i dopiero teraz w pełni dobitnie zrozumiałam te słowa. Dawanie, a nie branie. Tego muszę się uczyć codziennie, wciąż od nowa.

Te wszystkie emocjonalne określenia to nie są dla mnie jakies trywialne pojęcia, dla mnie Miłość nie jest tylko słowem, którego się dziś nadużywa, które się wyśmiewa, kompromituje. Dla mnie to wszystko wiele znaczy, znaczy naprawdę, w pełni, głęboko. Miłość nie zależy od czasów, od tego czy jest modna i czy jej chcemy, po prostu jest, przychodzi, obdarza nas swoją siłą. O tym napisałam tekst piosenki, że warto w nią wierzyć. Wyobraziłam sobie samotnych ludzi w tłumie (a raczej przypominałam chwile, kiedy chodzę ulicami Warszawy), którzy wciąż gdzieś biegną. Wielu szuka miłości, czasami jej nie zauważając, atakowani hasłami z tabloidów, nie wierzą, że jest możliwa. Napisałam o tym, że jedyne, co warto, to kochać, wbrew temu, co krzyczy świat i co się sprzedaje. „Jeśli miłość masz, nic Ci nie potrzeba. Jednak nie masz nic, gdy nie masz jej”. I jako się to wszystko ze sobą niesamowicie łączy. Po nagraniu piosenki zadzwoniłam do reżysera teledysków Pawła Bogoczka, który stworzył wiele nagrodzonych i znanych teledysków. Od samego początku poczułam pozytywną energię. Omawialiśmy wstępne kwestie, Paweł jeszcze nie wiedział, że wychodzę za mąż. Nagle oświadczył mi, że chce żebyśmy nakręcili zdjęcia w sukni ślubnej. Przeżyłam szok! Później poznał Piotra i zobaczył nasze zdjęcia ze ślubu, po kilku dniach poinformował mnie, że chce Piotra wciągnąć do zdjęć. Przed chwilą mi napisał: „Chcę zobaczyć zakochaną kobietę...chcę dwoje kochających się ludzi, wyznania, szczerości...To stąd ten z pozoru kiczowaty pomysł, aby zaprosić Ciebie z mężem do realizacji klipu w strojach weselnych. Z drugiej zaś strony, wyglądaliście tak pięknie”. Paweł, zobaczysz taka kobietę, a dla nas to będzie niesamowita przygoda na całe życie nawet, jak nie znajdę wydawcy, a teledysk zobaczy ograniczona ilość osób!

Skąd tytuł mojego dziennika? „Niebieską piosenkę” usłyszałam pierwszy raz na warsztatach z Elą Zapendowską wiele lat temu i zakochałam się od pierwszego słyszenia. Napisana w 1985 roku przez Grzegorza Tomczaka- barda, poetę, kompozytora mówi w skrócie o tym wszystkim, o czym chciałam Wam powiedzieć. Mówi o tym, że nie tylko „dopóki śmierć nas nie rozdzieli”. To była moja dedykacja, którą zaśpiewałam Piotrowi:

*Kto wstawi się za nami  
u Pana, co drogami  
krętymi każe iść?  
Kto nas usprawiedliwi,  
gdy Pan się będzie dziwił,  
że to już właśnie my?  
Ja wstawię się za tobą  
i z podniesioną głową  
dziękować będę, że  
Pan dał mi właśnie ciebie  
w radości i w potrzebie,  
na lepsze i na złe.  
A ty choć powiedz słowo,  
że zawsze byłam z tobą,  
bo chciałam tak i już.  
I razem chleb jedliśmy  
i równym krokiem szliśmy  
wśród wichrów, pośród burz.  
Ty wciąż mnie ratowałeś,  
za rękę mnie trzymałeś,  
gdy z drogi chciałam zejść.  
I tej - otuchy krople,  
gdy oczy miałam mokre,  
nie raz musiałeś jeść.  
I tak będziemy stali,  
aż w tej niebieskiej sali  
do walca zaczną grać.  
Ja wtedy z pierwszym taktem  
poproszę cię i raptem –  
Zaczniemy wirować,  
wolniutko walcować,  
i kręcąc się kręcić,  
na palcach, na pięcie,  
troszeczkę bezmyślnie,  
jak wiosną przebiśnieg.  
Ja nieco szalona,  
cóż, żona, to żona,  
i w mojej twa ręka,  
niebieska piosenka  
za serca nas chwyta,  
niebieska muzyka.*

# CZESKI DOMECEK



**G**dyby nie barokowa fasada Lorety\* i słynne, dźwięczne dla uszu, dzwonki loretańskie, wyśpiewujące regularnie *Tysiąc razy pozdrawiamy Ciebie*, moglibyśmy łatwo ten zakątek między Hradczanami, Pogorzelcem i Nowym Światem pominąć. Leży trochę na uboczu, a olbrzymi Pałac Czerniński przesłania tam wszystko swoim opasłym cieniem. Dekadencki pisarz Jiří Karásek ze Lvovic pisał kiedyś o różowej poświacie, która rozlewa się po Lorecie o zmroku, zaś malarz Jan Zrzavý w mistycznym uniesieniu mawiał: „Tyle jest na tej Lorecie nieba, taki spokój i światło, że zupełnie urzekło mnie piękno tego miejsca”.

Ale jesteśmy w Pradze, gdzie wszystko co liryczne osnute jest ciemnym wirem dramatów. W bezpośrednim sąsiedztwie Lorety, tuż za murem, na terenie byłego sądu wojskowego i więzienia z czasów totalitaryzmu znajduje się „Domeczek”. Mówi się Domeczek i od razu chciałoby się rymować samymi zdrobnieniami: domeczek - dzwoneczek - z kominkiem zabawka - milutka pułapka... Milutki piętrowy domeczek jest jednak domem grozy, potworną katownią z czasów, gdy nad Pragą powiewała swastyka, a potem czerwona flaga.

Jest czerwcowe popołudnie tego roku, otwierają się pancerne drzwi i wchodzi przez nie wysoki szczupły mężczyzna, o błękitnych oczach, twarzy poranej zmarszczkami, siwych włosach z lekką grzywką, rok urodzenia 1918, rodem z Moraw, stałe miejsce zamieszkania Wielka Brytania. Przyleciał odwiedzić po raz ostatni swoją starą ojczyznę. Otakar Černý, pułkownik w stanie spoczynku, przedwojenny lotnik, który uciekł z Protektoratu, żeby walczyć z nazistami w szeregach brytyjskiego lotnictwa. Rok 1941, naziści triumfalnie kroczą przez Europę, a Černý jako radiotelegrafista 311. czechosłowackiej jednostki bombardującej lata sobie nad Trzecią Rzeszą: cel Berlin, Hannover, Hamburg, Brema. Pechowy stał się dla niego szesnasty lot bojowy – jego załoga musiała wyskakiwać z trafionego samolotu i Černý dostał się do niewoli. Z niemieckich obozów jenieckich udało mu się uciec dwa razy przez wykopany tunel. W roku 1944 został eskortowany do Pragi – właśnie na hradczański Domeczek.

Przemierzam z Otakarem Černým cały teren. Wysoki mur dookoła, wejście na dawny dziedziniec więzienny, gdzie teraz stoją zmontowane garaże, potem kilka schodów i wreszcie na podwyższonym asfaltowym placu piętrowy budynek tak zwanego Domeczku. Dziś obiekt ten jest własnością ministerstwa spraw wewnętrznych i mają w nim siedzibę jednostki specjalne. „Tutaj wozili mnie do Peczarni (praski posterunek gestapo, nazwa pochodzi od byłego Banku Petschki – przyp. tłum.) na przesłuchania, tu był wielki plac, po którym chodziliśmy w kółko w milczeniu” - pan Černý wskazuje na załom i wyjaśnia towarzyszącej mu Angielce, jak razem z innymi lotnikami czeskimi został wówczas skazany na karę śmierci, ale naziści w końcu nie odważyli się go zlikwidować.

Zatrzymujemy się w cieniu pod kasztanami – pan Černý wbija wzrok w ziemię, jakby szukał dawnych śladów w betonowym pyle. I nagle od strony Lorety dolatują delikatne dzwonki loretańskie – *Tysiąc razy pozdrawiamy Ciebie...* Małomówny lotnik nagle dodaje: „Te dzwony były dla nas jak głos z innego świata. Także dziewięć lat później...” Otakar Černý został bowiem

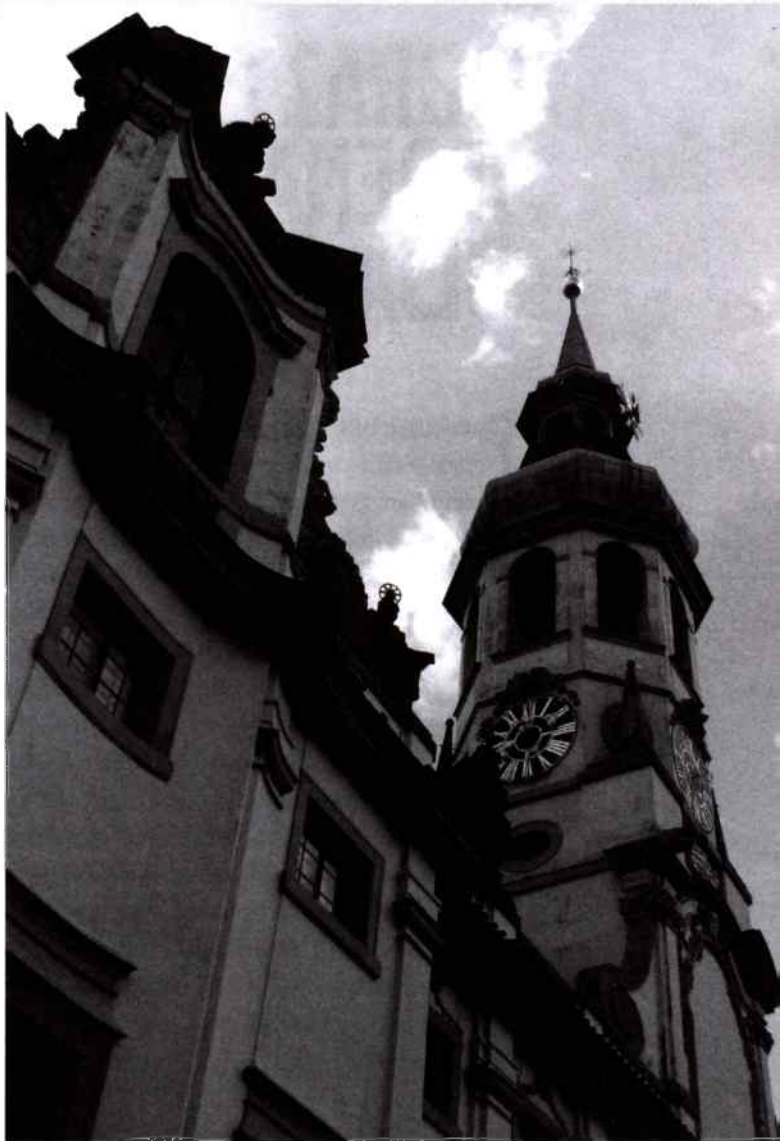
po roku 1948 – właśnie wtedy urodził mu się syn – aresztowany, i w jednym z pierwszych sfirowanych procesów skazany na trzy i pół roku. A przesłuchiwany był znowu w hradeckim Domeczku, gdzie tym razem rządziło OBZ - wojskowe służby informacyjne ministerstwa obrony narodowej, czyli wojskowa odmiana StB (służby bezpieczeństwa), na czele z dowódcą Perglem i sadystycznym śledczym w bryczesach o przezwisku Sucha Lipa. Jako więzień Domeczek był idealnym miejscem do pilnowania i utajnienia wszelakich dźwięków, zwłaszcza wrzasku strażników i jęku poniewieranych. Wchodzimy z panem Černým do podziemnego korytarza – wysokie stropy, lodówka, w dawnej wąskiej celi dziś kuchenka, nieco dalej biuro lub pokój mieszkalny. Otakar Černý sprawdza podłogi: „Tutaj gdzieś powinien być jeszcze mój pilnik, który przynieśli mi w bucie moi przyjaciele. Ale nie użyłem go, tylko wetknąłem w dziurę w podłodze. Czekałem, aż żona wyjedzie z synem do Wielkiej Brytanii. Gdzie ten pilnik może być?”

Otakarowi Černému – staremu doświadczonemu uciekinierowi – udało się w roku 1950 zwać z bolszewickiego obozu w Dolnym Jirzetinie; z ojczyzny, dla której nastawiał karku, uciekł do Niemiec, które w czasie wojny bombardował. Jeden z wielu paradoksów jego biografii.

Osiemdziesięciosześcioletni wysoki szczupły mężczyzna o wystających kościach policzkowych wychodzi przez bramę w murze okalającym Domeczek i wolno kroczy po kocich łbach ulicy Kapucyńskiej. Odwraca się i robi zdjęcie. „Do albumu dla wnuków...” Wstępuje jeszcze do Lorety, której nigdy nie widział, ale tysiąc razy ją słyszał.

Z CZESKIEGO PRZEŁOŻYŁ ANDRZEJ BABUCHOWSKI

\* Loreta – kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Loretańskiej na Hradczanach



# OBRAZ JEDENASTY: DEJA-VU



Pamiętając zniszczone miasto z początku lat pięćdziesiątych, często zastanawiałem się jak wyglądało ono kiedyś, przed wojną. Jak wyglądały ulice, parki, jak wyglądali mieszkańcy. Oczywiście urbanistycznie po 1945 roku nic się nie zmieniło, a widząc ruiny można się było wiele domyślić. Dopiero niedawne publikacje upowszechniające archiwalne zdjęcia Raciborza sprawiły, że wszystko to, co dotychczas było tworem wyobraźni stało się widzialną rzeczywistością, naprawdę nabrało koloru, zapachu, życia, ... I wielkie dzięki za to! Wieczorami, przed snem często wracam na utrwalone w kolorze sepii ulice Mojego Miasta. Wpatrując się w detale, doznaję uczucia jakbym już kiedyś tamtędy wędrował, jakbym już kiedyś to widział, ale inaczej, ... . Czyste „deja-vu”..., na pozór? Nie rozróżniam szczegółów fasad, zlewają się w jedno, ale mam przed oczami ciągi częściowo już rozebranych do wysokiego parteru ruin. Grube ciężkie mury zagłębionych w chodnikach suterren, ukryte w ciemnych sieniach nierzadko marmurowe schody, wypalone oczodoły okien, śmierdzące stęchlizną i uryną piwnice; takimi pozostały w zakamarkach mojej pamięci dzisiejsze ulice Mickiewicza, Podwale, Opawska, Nowa, Odrzańska, oraz Rynek, zaś kompleks Placu Długosza, sympatycznie opisany w poprzednim numerze „Almanachu” przez p. Newerłę, to już tylko „morze” ustawionych w przymy szarych cegieł, których przeznaczeniem, zdaniem „złośliwych”, miała być odbudowa Stolicy.

# OBRAZ, DWUNASTY: KOŚCIÓŁ

Jak było naprawdę, nie będę dochodził, tak jak i nie będę badał co się stało z „cegłą klinkierówką” wraz ze stalową konstrukcją dachu z rozebranego na początku lat sześćdziesiątych, stojącego u zbiegu ulic Wileńskiej i Ogrodowej ewangelickiego kościoła. Wiem tylko tyle, że przez piętnaście lat po wojnie, kościół ten w dobrej formie stał i z powodu zaniedbań konserwatorskich niszczał. Władze najmniej przejmowały się stanem obiektu, gdyż jako symbol kultu religijnego, a na dodatek przypominającego czasy niemieckie, był w samym centrum miasta przysłowiową „solą w oku”. Wyłamane drzwi, wybijane systematycznie w oknach szyby, rozkradane rury miedziane, rynny, grzejniki, to codzienność obiektu.

W tej sytuacji zrozumiałem było, że policzalna na przysłowiowych „palcach”, grupka racjonalistów wyznania ewangelicko - augsburskiego, tym bardziej nie była w stanie niczemu zaradzić. „A dzieci, jak to dzieci, ... (o przepraszam, młodzież)”, najpierw z ciekawości a później z potrzeby ukrycia się na czas doświadczeń nikotynowych, korzystała z uchylonych drzwi.

Przez dym pierwszego papierosa, oprócz kolegów, widzę wewnątrz idealnie okrągłej hali głównej z szerokim na kilka metrów krużgankowym balkonem. Ławek już nie było, pewnie posłużyły wcześniej w celach opałowych. Wyblakłe, jasnozielone, pastelowe farby pokrywały ściany i drewnianą konstrukcję balkonu. Deprymująca była panująca tam cisza, a odbijane echem stąpania potęgowały jeszcze bardziej wrażenie niezwykłości miejsca. Zdziwił nas brak jakichkolwiek malowideł i nieobecność choćby resztek ołtarza, bez czego trudno było dwunastoletkom wyobrazić sobie religijny charakter budowli. „Widocznie ewangelicy tak mieli”.

Z badania ciemnych piwnic szybko zrezygnowaliśmy, zaś widoku miasta z wysokości zwieńczonych cebulowymi hełmami dzwonnicy broniliśmy u wejścia na dole solidne sztaby, co skutecznie zniechęcało do zdobywania szczytu szturmem także silniejszych od nas.

Wznoszone równocześnie z kościołem a stojące do dziś, należące do kompleksu sakralnego: dom pastora (obecnie USC) oraz dom parafialny (Izba Rzemieślnicza) mogą zaświadczyć o ówczesnej sztuce budowlanej. Jaka szkoda, że nie udało się tej tradycji jakości podtrzymać, stawiając na placu po kościele budynek szkoły muzycznej i niech to będzie na razie puenta tego „obrazu”.

P.s. W czasach „przodującego na świecie ustroju” nasi sąsiedzi zza „ściany wschodniej” w przypadku obiektów sakralnych starali się przynajmniej na swój sposób, praktycznie podchodzić do zagadnienia i po zużyciu na podpałkę sprzętów ruchomych (chyba norma w naszej „strefie”), same kościoły zamieniali najczęściej na magazyny, przez co niechcący ratowali je przed całkowitym unicestwieniem.

# GENIUS LOCI



Nigdy nie lubiłem monokultury – tej narodowej, tej europejskiej, a nawet świerka. Nie dziwota więc, że koniec końców zagnało mnie, choć na śmiesznie krótko, w Bieszczady. Monokultura tym okolicom nie grozi, a biorąc pod uwagę występujący tam poniekąd brak dorobku materialnego, kultura występuje tam tylko w formie czystej, bo spirytualnej.

Bieszczady, to takie wypiętrzone Dzikie Pola, do których, notabene, stamtąd jakby całkiem blisko, a z których wszędzie indziej daleko. Na nich skrzyżowały się szlaki ludów i narodów, pozostawiając po sobie zadziwiająco niewielką liczbą artefaktów.

Dla jednych, taki Dzikie Zachód utraconego Wschodu, miejsce gdzie można zrobić jeszcze użytek z kowbojskiego kapelusza i przegonić nim bydło bezpardonowo defilujące przed naszym, w tej konfrontacji niewielkim, symbolem Cywilizowanego Zachodu - samochodem terenowym. (To w końcu jedyna okazja w roku, by ten, kupiony żonie na imieniny, rolniczy pojazd rekreacyjny, wykazał się innymi umiejętnościami niż przywożenie zakupów z marketu, albo odwożenie dzieci do przedszkola, albo dumne stanie na wjeździe –

toż tradycja chłopska zobowiązuje!).

Dla drugich, zwłaszcza tych, którzy weszli właśnie w kolejny etap życia, który zgodnie z treścią pewnego okrutnego dowcipu, można by nazwać „dobrze wyglądasz”, Bieszczady są miejscem, na które patrzyli ongiś przez okulary à la Cybulski. Nic dziwnego, że trawa na połoninach nie wydaje im się już tak zielona jak wtedy, gdy ześlizgiwali się po nich w deszczu ochraniając swoją ukochaną i jej tapirowane włosy prawdziwym włoskim ortalionowym płaszczem. Tylko autobusy PKS są jakby te same, a dziś kursują nawet z samej stolicy!

Tłumom jednych i drugich pionierów z cokołu w Jabłonnej spokojnie przygląda się generał Świerczewski, świadom faktu, że ze względu na krwawą i bolesną historię tej ziemi stać tam zawsze będzie, bo jest dla nich tym, kim Custer dla Amerykanów i żadna lustracja go nie obejmie.

Tak zupełnie poważnie Bieszczady nie są przyrodniczym parkiem rozrywki, jak inne turystyczne rejony Polski. To historyczny cmentarz jednych a zarazem Ziemia Obiecana drugich. Miejsce odludne, gdzie drzewa umierają stojąc, zwierzęta przychodzą złożyć swoje kości, a ludzie zacząć wszystko od nowa. Miejsce gdzie rozliczne gatunki od zawsze potrafiły żyć obok siebie, a ludzie jakoś nie. Bieszczady przyciągają swoją przerażającą historią, znaczoną nieco inaczej niż do tego przywykliśmy.

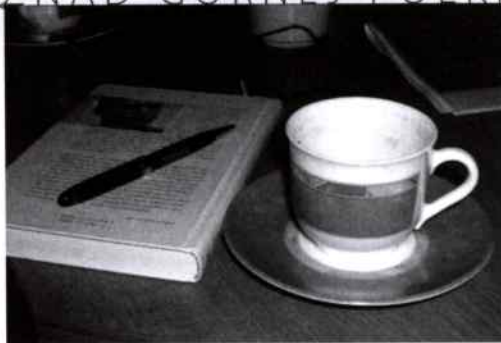
A przywykliśmy do materialnych struktur przestrzennych, do miejsc, w których spętany genius loci dotyczy budynków i ich skupisk, stanowiąc zaprawę pomiędzy kolejnymi cegiełkami dziejów. Jesteśmy w końcu spadkobiercami kultury rzymskiej słynącej z budowli – kamiennych murów, duktów brukowanych i wodnych, będących szkieletem i arteriami Imperium. Zapyta ktoś, a kultura, a rzymskie prawo? Kultura, aż nazbyt grecka, prawodawstwo rzeczywiście rozwinęło się wspaniale, by chronić kościec i układ krążenia Monstrum. Niezwiązany materialnie duch miejsca unosił się wówczas gdzieś poza limes, w pieśniach barbarzyńców. Potem były jeszcze imperia z cegły z drogami z żelaza, one też przyzwyczyły nas, że duch miejsca jest bytem architektonicznym.

Dla tych, którzy nie wierzą, że można zamknąć byty niezależne w trzech wymiarach są właśnie takie miejsca jak Bieszczady. Niektórym trudno przywyknąć do myśli, że można obyć się bez struktur przestrzennych, wzniesionych ludzką ręką. Tacy jeżdżą swoimi jeepami, jak wozami bojowymi upadłych imperiów od cerkiewki do cerkiewki, nie zważając na fakt, że w większości przypadków zmieniły się pokrycie dachu i wyznaczenie, i że duch tych miejsc jest już na poły wolny, bo nie w kamień wpisany czy cegłę, tylko w martwe, ale jednak, drewno.

Duch Bieszczadów jest duchem okrutnym i swobodnym. Przypisanym do miejsc, na których jedynym śladem zabudowań jest zdziczała jabłoń. Przychodzi czasem z wiatrem i świszczy swoje dumki, że aż ciarki przechodzą i strach się pytać, zresztą zwykle nie ma kogo, co takiego tu kiedyś się wydarzyło.

Tam, gdzie dokoła nic, tylko bezkresne wzgórza i lasy, i żadnych ludzkich artefaktów, trzeba znów stać się barbarzyńcą, by w pełni poczuć ducha miejsca kultury – na powrót niematerialnej.





WSPANIAŁA, CIEPŁA JESIEŃ ZAOWOCOWAŁA KILKOMA KSIĄŻKAMI POETYCKIMI, KTÓRE ZNACZNIE ROZSZERZYŁY RAMY DZIAŁU RECENZJI, WYDAWAŁO NAM SIĘ JEDNAK, ŻE NIE SPO-SÓB POMINĄĆ TYCH TOMÓW. TAK WIĘC DO OMÓWIEŃ WYDANYCH WCZEŚNIEJ WIERSZY J.M. RYMKIEWICZA, M. RÓŻYCKIEGO I P. SZEWCZA DOSZŁY WRAŻENIA PO LEKTURZE KSIĄŻEK J. SZUBERA I CZ. MIŁOSZA. WIERZYMY, IŻ PREZENTOWANA TU BARDZO RÓŻNORODNA DAWKA POEZJI PRZYDA SIĘ CZYTELNIKOWI W DŁUGIE LISTOPADOWE WIECZORY.

## Monika Janowska

### „POŁOWA PRAWDY, KTÓRĄ WIDAĆ” - KILKA REFLEKSJI O TOMIKU WIERSZY JAROSŁAWA MARKA RYMKIEWICZA „DO WIDZENIA GAWRONY”

Czytając ostatnie wiersze Jarosława Marka Rymkiewicza, dostrzegamy, że poetycki świat tego twórcy zamknął się w bliskim mu Milanówku. Właściwie autor nie opuszcza go, poetycko zadomawiając się tam już na dobre. Tomik „Zachód słońca w Milanówku” – nagrodzony w 2002 roku Nagrodą Nike – otworzył przed czytelnikami nowe przestrzenie wypełnione po brzegi „milanowskim” sensem. Miasteczko – symbol tego, co kiedyś było piękne, pełne wigoru, a teraz ...półżywe - resztką sił manifestuje przejawy swojej egzystencji.

Rzeczywistość, zamieszkałą przez różne istnienia, odnajdujemy w utworach zamieszczonych w najnowszym tomiku J.M.Rymkiewicza „Do widzenia gawrony”. Jest to zbiór 40 utworów, przy czym cztery ostatnie dołączone zostały jako osobny rozdział.

Świat, do którego zaprasza poeta, znany jest podmiotowi tak dobrze, że nie ma mowy tutaj o anonimowości. Każdy gatunek nazwany zostaje po imieniu, bez uogólnień, bez uproszczeń. Tworzą one wspólną rzeczywistość, poddaną tym samym prawom, które rządzą życiem wszystkich bez wyjątku. Niemożność uniknięcia ich konsekwencji przekonuje o bezsilności okaleczonych istot, a cichych obserwatorów uczy pokory. Rozkładające się ciała kretów, gawronów, dzieciół, kotów, półżywe żaby i obumierające rośliny, które uśmierci ostatecznie zima, zapewniają horyzont tego świata. Człowiek nie stanowi tu żadnego wyjątku. Oglądamy więc obnażone trupy, zgwałcone dziewczyny, straszących szpetotą wisielców.

Wielość i różnorodność przejawów życia, jakie spotykamy, pozwala na domysły, że ten ogród niegdyś pysznił się nadzwyczajną urodą. Kiedyś, bo teraz jego czas dobiega kresu, dlatego w prawie każdym utworze napotykamy śmierć, brzydotę, krew, łzy, zgniliznę i żałobne dzwony.

Utwór „Niezapbudki” nieprzypadkowo otwiera ostatni tomik Rymkiewicza. Niezapominajka – jeśli czytać etymologię nazwy – „nie zapomina”. Pamięć zaś chroni przed nicością, która pochłania wszystko i wszystkich, przybierając przy tym różne kształty. Jest więc – zdaniem pod-

miotu lirycznego – „rodzajem drugiej strony”, bywa, „dziurawym workiem”, czasem można z niej wypić krew, innym razem zaś wyposażona zostaje w „czarne skrzydła jak czarna godzina rozstania”. Drogi do niej zostały wyraźnie naznaczone: „Z nicości do nicości to są ze trzy skoki// Dwa przez ogród a trzeci to już przez obłoki”. NICOŚĆ jest przed wszystkim i u samego kresu wszystkiego. Nawet poezja przestała pełnić swoją ocalającą rolę, „a czym jest poezja, która nie ocala?” Stąd diagnoza twórcy: „Poezjo! ja pamiętam że ty jesteś po nic”. Pomimo tak zdecydowanych słów, lektura utworów pozwoli jednak na stwierdzenie, że prawda o rzeczywistości nie jest tak jednobarwna i oczywista, jak mogłoby się to wydawać.

Skoro samo istnienie poezji straciło sens, może więc zastanowić się nad rolą składników wierszotwórczych, wyeksponowanych ponad miarę. Być może mają wbrew wszystkiemu pokazać, że klasyczny porządek gdzieś istnieje, a to, czego na co dzień doświadczamy, jest połową prawdy. Rym – dostrzegalny wyznacznik wiersza - pyszni się w każdym utworze, mocno akcentując nie bogactwo odniesień ale samo występowanie współbrzmienia. Często jest ono zbyt natrętne, by nie rzec – banalne i infantylne w doborze. Wyraźne „mocowanie się” z długością wersów, aby zachować zasadę ich równości, daje do myślenia. Czyżby klasyka wiersza na pozór? Nie sądzę jednak, że cokolwiek w tomie Rymkiewicza jest dziełem przypadku. Skoro pomiędzy wersami można doszukać się nadziei, wspomniana nicość nie przestaje być bezdenną pustką. Czytając tytułowy utwór odnajdujemy symptomy, symbolicznego „zataczania się” czasu. Jeśli zaś założymy, że wszystko się cyklicznie odnawia, mamy do czynienia z ideą wiecznego powrotu. Pustka nie ma prawa się w nią wedrzeć. Powtarzalność w dziejach daje szansę na wieczne istnienie..., a gawrony potwierdzając uczestnictwo w rytmie powrotów, co rok przylatują do miejsc nigdy opuszczonych:

*„Do widzenia-ja nie wiem co z tego wynika  
Gawrony! że tam też będzie też rodzaj karmnika*

*Do widzenia sikorki z orszaku dzięcioła  
To co jest to ma wszędzie kolisty kształt koła*

*To co tu krąży wokół tak jak wy krążycie  
I nie ma na to nazwy ale to jest życie”*

Symbol koła i kolistości pojawia się wielokrotnie również w utworze „My jedziemy do Brwinowa”, gdzie cykliczność owa pojawia się na pierwszym planie: „My jedziemy, to jest wieczne i nie mija/My jedziemy Jesse Majka czarna Nija”. Aż osiem razy w tym tekście poeta powtarza jak zakłęcie: „My jedziemy”, by podkreślić, zasugerowaną w pierwszej strofie, prawdę „bo się z nami toczy tutaj wielkie koło”.

Refleksji o bycie czy bytowaniu odszukać możemy w pięknym liryku „Ogród w Milanówku-lipcowy wierszyk dla Anielki Rymkiewiczówny”. W wierszu tym, różniącym się aurą od pozostałych utworów, ciepły nastrój tworzą liczne zdrobnienia. Na świat jednak spoglądamy przez lzy i dzięki temu zamazaniu paradoksalnie rzeczywistość widać wyraźniej. Tajemnica, która drzemie u podstaw wspomnianego fenomenu, ma swoje korzenie w filozofii Martina Heideggera, na co w przypisach do wiersza wskazuje Rymkiewicz. Podpowiedź ta jednak nie jest ostatecznym opowiedzeniem się po stronie filozofii nicości. Nadzieja raz obudzona nie poddaje się szybkiemu unicestwieniu. W utworze „Mały pejzaż czerwcowy” podmiot twierdzi: „Z całej wszechrzeczy widzisz tu jedną połowę”. Skoro wszystko widzimy w połowie, druga część też musi istnieć. Nicość zaś przestaje straszyć brakiem sensu i być może nawet pozwoli na to, by w niej zamieszkać.

Tomik "Do widzenia gawrony" Jarosława Marka Rymkiewicza to sposób na oswojenie tajemnicy istnienia. Poeta staje wobec niej bezradny, ale podejmuje próby zgłębienia jej pokładów. Proces ten prawdopodobnie będzie trwał, bo ostatecznych odpowiedzi po tej stronie nie można udzielić. Sądzę, że właściwą refleksją, w której można zamknąć wrażenia po lekturze książki są słowa Oscara Wilde'a: "Nie bój się cieni. One świadczą o tym, że gdzieś jest światło".

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ, DO WIDZENIA GAWRONY, SIC!, WARSZAWA 2006.

## Janusz Nowak

### NIEPOKOJĄCY UROK KOLONII

**T**omasz Różycki, jeden z najwybitniejszych poetów młodego pokolenia (rocznik 1970), znów przekazał czytelnikom książkę niezwykłą. Po uhonorowanym Nagrodą Kościelskich poemacie *Dwanaście stacji* (2004) otrzymaliśmy tomik zawierający siedemdziesiąt siedem sonetów. Różycki zatem zwrócił się w stronę tradycji poetyckiej naznaczonej nazwiskami Dantego (sonety ze zbioru *Życie nowe*), Petrarcki (olbrzymi zbiór sonetów w *Canzoniere*), Szekspira, Mickiewicza i wielu innych twórców różnych epok. Sonet – forma trudna i wymagająca sporych umiejętności – zawsze był wyzwaniem dla poetów. Z jednej strony zaleca się ten gatunek swoją precyzyjną konstrukcją, zawartością, dyscypliną formalną, z drugiej natomiast ekscytuje tajemniczością emanującą z czteremastu linijek tekstu.

Sonet Różyckiego można za Staffem nazwać „szalonymi”, ponieważ ich tytuły, oscylujące wokół morskich podróży, tropikalnych wysp i starych map, wciągają w oniryczny wir, w którym różne rzeczywistości – współczesna i dawna, swojska i egzotyczna, znana i nieznana, związana z dzieciństwem i z wiekiem dojrzałym, męska i kobieca, jasna i ciemna, klasyczna i romantyczna – mieszają się jak w narkotycznym kalejdoskopie. Poeta uwodzi czytelników, wprowadza ich w tropikalne odrętwienie, czaruje. Wszystko to po to, aby powiedzieć kilka arcyważnych słów o istocie poezji. Bowiem w najgłębszej warstwie Kolonie są książką o sztuce poetyckiej, swoistą „kolonialną” poetyką normatywną.

*„Kiedy zacząłem pisać, nie wiedziałem jeszcze,  
co ze mną zrobią wiersze, że się przez nie stanę  
jakimś dziwnym upiorem, wiecznie niewyspanym,  
o przezroczywej skórze...”*

Tym spostrzeżeniem rozpoczyna się tom Różyckiego, to pierwsze w nim słowa. Poezja jako czynność „upiorna”, jako anektowanie coraz szerszych terytoriów, kolonizowanie ich. Przy czym twórca nie jest do końca suwerenny w tym działaniu, przeciwnie, wylaniające się zza horyzontu obszary obejmują nad nim władzę, otumaniają go, zmuszają do ogarniania, porządkowania, dyscyplinowania, a jednocześnie prowokują jakiś nadrealistyczny anarchizm, pączkowanie form życia. Jawią się jako duszna i pełna zasadzek dżungla.

Poezja Tomasza Różyckiego nie pozostawia czytelnika obojętnym. Przyzywa jak zapach starych kolonialnych sklepów. Mamy nadzieję, że zew poezji autora *Świata i Antyświata* objawi się na kartach „Almanachu Prowincjonalnego” i to już w następnym numerze naszego periodyku.

TOMASZ RÓŻYCKI, KOLONIE, WYDAWNICTWO ZNAK, KRAKÓW 2006.

## Marek Rapnicki

### „SZEWC W BRAMIE”

„... wiem, że są tacy którzy mnie teraz rozumieją do nich kieruję  
moje usprawiedliwienie”

Rozumiem Cię, Drogą Piotrze, rozumiem Cię jak jasny gwint! Wyczuwam tę niezgodę na zapuszkowanie w sztywnych klatkach: tutaj marynowane, tu małosolne, tam w mundurkach (klasycyzujących), a tam jeszcze – w sosie własnym, prozatorskim (na sztuki)! Tę niechęć do przywiązania (nas) do kaloryfera formy, ten – kurcze – zew świata, który wzywa i skłania do poszukiwań formy “bardziej pojemnej”. Bo co to by była za jazda – ludkowie! - gdyby, wiedzieć do końca wszystko – każdą komórkę, każdą głoskę nazwać i wyjaśnić jej pochodzenie i sens.

Ale na szczęście: oprócz ornitologów są i ptacy, którzy wieczorami, a czasem nad ranem, wyfruwają z klatek artystycznego konwenansu, znaczą – ściemy...

Uff! Trochę zagalopowałem się, ale to wina tych pulsujących, ruchliwych, nieufryzowanych wersów, z których składają się utwory Piotra Szewca, które sprawiają, że niemal od początku czujemy się, jak by nas nagle wyrzucono o dziesiątej wieczór na Piccadilly Circus, albo – powiedzmy – na rogu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej. Jeszcze mam w uszach dźwięki Pink Floyd, jeszcze się kołaczę w głowie wspomnienie “starej budy”, a zmysły przepelnia woń od Zamojszczyzny, a tu już – ludzka ciżba, gwar, targowisko świętych i przeklętych. Życie!

Rzecz jasna, autor na wstępie mruga do nas okiem, że nie wie. On dobrze wie, że od czasów Walta Whitmana, Eliota, Perse’a, a może dużo wcześniej, poecie wolno bardzo wiele, prawie wszystko. Nie wolno mu tylko udawać, że pisze poezję, bo się właśnie sznurem lirycznych chwytów przytroczył do formy, powszechnie uznawanej za poetycką. Więc (nie zaczyna się zdania od więc) płynie ta opowieść - pretekstu dostarcza wspomnienie, poprzednie dokonania literackie, grafiki ulubionych artystów - i jest to pieśń o tym, jak zagarnia nas życie, jak anektuje naszą pamięć, czepiającą się serdecznych obrazków młodości, jak się wdziera się z butami w nasze święte strefy – miłości, mowy, przejętych po ojcach obyczajów. Świat podmiotu lirycznego, bo przecież – na Boga! – nie autora wierszy to przestrzeń, gdzie jest “wszystko osobno”, gdzie tropy i drogowskazy zarasta mierzwa codziennej harówki, zgrywy, szybkiego użycia. I jest w tych opisach Piotr Szewc poetą, bo... był nim w swoich poprzednich, prozatorskich dziełach. Tak samo jak pozostają (po wsze czasy) poetami Vermeer van Delft, Bruno Schulz, Chardin, Brueghel i Tadeusz Konwicki, mistrzowie szczegółu, interpretatorzy naszej codzienności, strażnicy ciszy i snu.

Zresztą to wszystko mi się wydaje, podziwiam recenzentów wiedzących na pewno. Wydaje mi się, że *Całkiem prywatnie* jest wypowiedzią kompletną i wysoce indywidualną. I że autor, sposobem Velazqueza w *Las meniñas*, sportretował się, a raczej przekornie umieścił w bardzo szczególnym miejscu – w bramie. W punkcie, z którego widać, a może raczej słycać odgłosy Babilonu, gdzie mijają go idący na mszę i do łóżka, dziwki, kibice, żule i profesorowie; skąd łatwo zauważyć wypieki internautów i kłótnię sąsiadów na czwartym po prawej; gdzie Biblia jest na ścianach i leży na chodniku, a składa się z ulotek, agresywnych reklam, zaproszeń do wszystkiego. Tu wszędzie jest gadu-gadu (w moich czasach, Panowie i Panie, mówiło się “mowa-trawa”), tu wszystko zdarza się “poniekąd bynajmniej”.

I gdybym nawet nie spotkał się z Piotrem Szewcem w większości tych wierszy to w jednym na pewno. Bo muszą być miejsca dla dziwaków, którzy nie odróżniają prozy od poezji i do szczęścia wystarczy im ot, taki pejzaż, “nic szczególnego”, gdzie “oddycham coraz głębiej zaraz je zobaczę.”

Nie potrafię tego nazwać ani udowodnić, ale mam nieodparte odczucie, że książka Piotra Szewca zawiera w sobie poemat, rozpisany, na pozornie nie pasujące do siebie zwrotki, Dylanowski song.

To dobrze dla autora. Jeszcze lepiej dla czytelnika!

**PIOTR SZEWC, CAŁKIEM PRYWATNIE, WYDAWNICTWO LITERACKIE, KRAKÓW 2006.**

## STAŃCIE DO APELU!

Jaka obfitość wierszy tej jesieni, jakie bogactwo! Wracam z powiatu Sękowa, z zadupia aż miło, z królestwa Beskidu Niskiego, a na biurku szczołka nowej książki Janusza Szubera „Czerzeż”. Czy to może być przypadek, że autor urodził się w roku 1947, tym samym, co mój najlepszy raciborski przyjaciel i ukochanu muzyk i pieśniarz, Ian Anderson, twórca Jethro Tull?

Coraz wyraźniej widzę, że istnieje w krainie poezji grupa czcicieli czasu, autorów, dla których jakby mniej istotne są nowinki formalne, amplituda własnych doznań, otaczająca rzeczywistość, ta, która oszałamia i ta, która zniesmacza, całe to targowisko codzienności. Ich domeną jest czas, ich nadzieją **APOKATHASTASIS**, a przestrzeń znaczy o tyle, że jest „miejszem akcji” dawno spełnionych dramatów, atrybutem ciągłości istnienia, tym, co widzieli ci przed nami; dlatego też: „Piszę rzekę San i las bukowy,/Piszę góry i dębowo-ziemne wały,/ Majdan piszę, oppidum obłoków...”

W tej grupie, silnych i niepodległych drzew, prawdziwym karpackim bukiem, jawi się Janusz Szuber. „Czerzeż” stanowi kwintesencję wspomnianego myślenia o poezji. Nie przypadkiem więc autor - niczym futbolista wychodzący na czystą pozycję, „w uliczkę” - rzuca sobie już na wstępie szmaciankę zadania poetyckiego „I jakie bogate album!/ Do napisania ile postaci! Spróbuj je policzyć”. Właśnie: „do napisania ile postaci...”. Bowiem ten tom zaludnia batalion ludzi zmartwychwstałych pod piórem poety, z mocy jego czułej i uważnej pamięci. Jasne, że znajdujemy się tutaj na drodze utwardzonej stopami Czesława Miłosza i przychodzą na myśl tomy Mistrza, takie jak „Hymn o perle” i „Nieobjęta ziemia” (gdzie w pełni ucieleśniły się marzenia Noblisty o „formie bardziej pojemnej”), ale dodam zaraz, że od lat nie było w Polsce takiej książki - nie twierdzą, że jedynej i najpiękniejszej - ale właśnie TAKIEJ - w której autor, membrana stuleci, kronikarz powiatu, dopuszcza czytelnika do tajemnic rodu i okolicy, nie destylując prawdy, serwując dania śmieszne i wzniosłe, banalne i niezwykle. Wędrując za autorem zaglądamy „przez uchylone żaluzje” i widzimy (i słyszymy) rodzeństwo i kuzynów, przyjaciół „po piórze”, kolegów z dzieciństwa, protoplastów; stają przed nami „Czesław, Kazia, Zdzisław” i „rodzina sędziego Frieda”, wezwani przez Szubera do apelu. Poeta obraca w dłoniach ślubne zdjęcie rodziców, ale jego pamięć nie pomija ptaków, codziennych gości wokół domu, kwant uwagi należy się także (a czemuż by nie, skoro należał do mieszkańców naszej przeszłości) kawalkowi folii, który był „lustrzany, srebrzysty/ Na sztorc pomiędzy żółkniejącą trawą,/ Poruszany wiatrem próbował naśladować życie.”

Janusz Szuber to landlord, „pan z panów”, przedstawiciel wymierającego gatunku, władca przykuty do własnego tarasu, który wie prawie wszystko. Wiedzie nas na pokuszenie tak łatwo i bezboleśnie, bo niezwykła jest melodia jego wierszy, nie stroniąca od pastiszu, cytatu, dziadowskiej ballady, od uniwersyteckiego wykładu lub - dla odmiany - najbardziej intymnego wyznania („O tobie marzę, tobie nucę kołysankę/ Jedyne - dla jednego z wielu!”). Poeta operuje formą tak, aby nie było czuć formy; rozpędzi nas 12-zgłoskowym duktem, by nagle zmylić trop krótkim, następnym wersem; utnie żart, by za chwilę przeżegnać się na wspomnienie Katynia. Jego wypo-

wiedź jest ze wszech miar w i a r y g o d n a ; „Czerzeż posiada wigor gawędy przy ognisku, klasę dyskursu przy dębowym stole, po trzech szklanicach miodu, kiedy psy dojadają nieogryzione kości pieczystego... Są tu wiersze, które chce się czytać w kółko, takie jak „Opona i żwir”, „Wiersz” czy też cudowny „Haust powietrza”.

Nie ma co gadać - Janusz Szuber upuścił nam tutaj sporo swej serdecznej krwi, „absolwenta III A”, jak też mężczyzny zbliżającego się do sześćdziesiątki, śniącego o „hebanowych tancerkach”. Ta ofiara się opłaciła, nie powstał żaden „Lichy wiersz, Boże ratuj, oby się nie narodził”. I raźniej teraz, wiedząc, że w Sanoku wciąż bije harde i wytrwałe serce, że czuwa miłośnik prowincji, sojusznik zapomnianych outsiderów.

*kiedy kto nietutejszy  
to i nie zgodnie  
co się za owym  
brudnomlecznym*

*nic  
kryje*

W elegii p.t. „Miłosz” Janusz Szuber zaczyna: „Odchodzi Wielki Poeta...” Nie bojąc się wielkich słów powiem tak: odchodzi, lecz może odpoczywać w pokoju i - w spokoju - tam, na Skałce, gdzie pielgrzymujemy co roku, gdyż w Sanoku - klnę się na góry i doliny Rzeszowszczyzny - ma duchowego następcę, stwórcy słów i sensów, rysia, który strzeże duktów przeszłości, zbiera zioła i przyrządza mikstury, dające nasze życie wieczne, czyli trwanie w jego słowie, miłosiernie skierowanym na to wszystko, co nas, nieuważnych następców, stwarza i określa. Piszę to ja, dopuszczony do serdecznego albumu Janusza Szubera, bo wiem, gdzie oczom ukazuje się „Biecz” i „że nieobliczalne grasuje nieprzerwanie/ tuż pod powierzchnią.”

Recenent powinien zachować miarę oraz dystans, nie ulegać emocjom. Cóż począć!...

**JANUSZ SZUBER, CZERZEŻ, WYDAWNICTWO LITERACKIE, KRAKÓW 2006.**

## **DZIEWIĘĆDZIESIĘCIOLETNI POETA OGŁASZA SPOWIEDŹ**

**L**eży przede mną przyniesiona dziś z księgarni książka w atakującej wzrok obwolucie koloru... Lzabielanego barszczu czerwonego, albo - koloru spienionej krwi. Przyjdzie może czas na dokładną lekturę, dziś tylko kilka uwag, relacja „z ostatniej chwili”, by zaanonsować tomik, którego nie wolno ominąć! Składa się on z wierszy ostatnich paru lat, częściowo publikowanych w prasie oraz takich, które do druku po raz pierwszy podaje Agnieszka Kosińska, niestrudzona opiekunka spuścizny Noblisty. Nie potrafię czytać tych wierszy, a raczej wyznań, bez ścisku krtani, bowiem na każdy wers nakłada mi się wspomnienie krótkiego pobytu u Pana Czesława we wrześniu 2003 roku; wiele z utworów sygnowanych jest właśnie tą datą, a kiedy znajduję uszczegółowienie „sierpień 2003”, myślę: to takie myśli zaprzętały głowę poety, gdyśmy byli w jednym pokoju! I wraca we wspomnieniach twarz Starego Poety, zamyślona w taki sposób, jakby przenosiny „na tamtą stronę” trwały miesiącami, a nie polegały tylko na ustaniu oddechu, raz, w jednej chwili.

Nie myślę tu, broń Boże, o zaniku świadomości, lecz o tym królewskim dystansie do rzeczy świata tego, który znamionuje wiele zdań z omawianej książki. Lekcja pokory, której udziela nam Miłosz, da się zawrzeć w maksymie memento mori, znanej od stuleci, ale jej przejmujący wyraz bierze się może z faktu, iż przemawia do nas miłośnik świata, smakosz, afirmujący blaski doczesności.



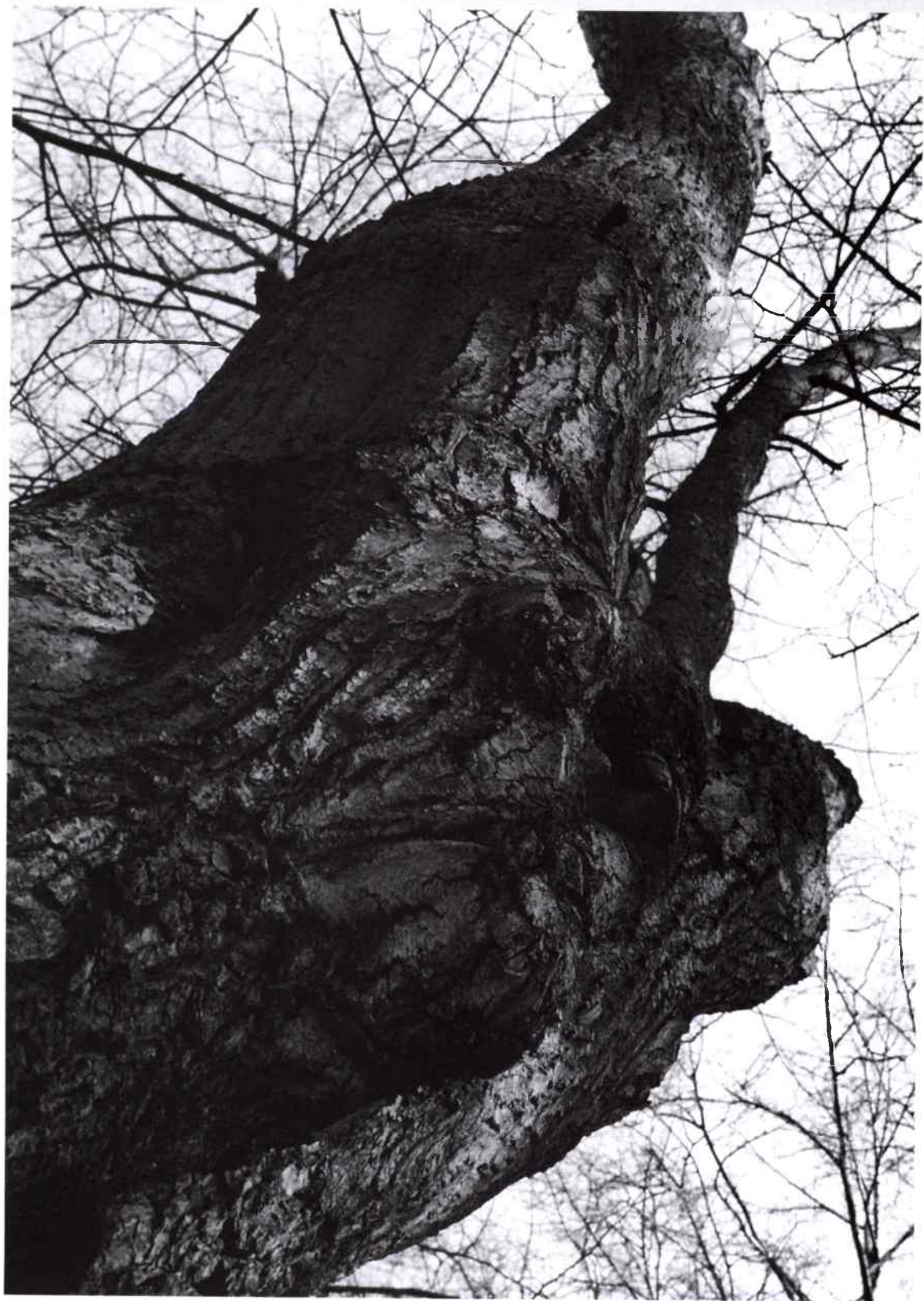
*Co nam do tego - jeżeli w naszej krainie milknie zgiełk świata*

*I wchodzimy w Inne, poza czas i przestrzeń.*

Takie wątki znamy już z dwóch poprzednich książek Czesława Miłosza, ale tu dochodzi jeszcze coś więcej - publiczne wyznanie win - Bóg jeden wie, jak wielkich i czy nie wyolbrzymionych nadwrażliwością poety; tak jak w wierszu „Dziewięćdziesięcioletni poeta podpisuje swoje książki”: „Odczuwam litość i razem obawę,/ Że może jestem taki sam jak oni,/ Że udawałem dąb, a byłem próchno./ Jaka mizeria. Ale wybaczona.”

Niektórzy powiadają, że wiersze są „nierówne” i zbyt kolokwialne. Ja twierdzę, że ten aspekt odchodzi na dalszy plan, gdyż całość tomu ma zniewalający smak ostatniego wyznania. Normalni ludzie takie rzeczy międlą w myślach albo wyznają w konfesjonałach. Mocarze czynią to wobec całego świata!

**CZESŁAW MIŁOSZ, WIERSZE OSTATNIE, WYDAWNICTWO ZNAK, KRAKÓW 2006**



# MARKU, ZOSTAJESZ Z NAMI!

*Ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy  
- śpiewales, a my wierzyliśmy Tobie, jak mało  
przyjdą dni, które Ciebie nie znają...*

## CHLEB I SÓL RYSZARD KRYNICKI

\*\*\* (INNE)..... 1

## OD REDAKCJI

W NIESPIESZNYM RYTMIE..... 3

## GABRIELA HABROM-ROKOSZ

MODUS VIVENDI ..... 4

## MAREK RAPNICKI

NIEZŁOMNY ..... 14

## FRANCISZEK STAL

POZORNIE NA WOLNOŚCI ..... 16

## KS. JERZY SZYMIK

WIERSZE PSZOWSKIE ..... 27

## GABRIELA PARDUBICKA

„ONA, MĄDRA” – ROZWAŻANIA NAD JEDNYM WIERSZEM KSIĘDZA  
JERZEGO SZYMIKA ..... 32

## ALEKSANDER OSTROWSKI

PRZY UL. CECYLII: Z WIZYTĄ W INSTYTUCIE SZTUKI PWSZ  
W RACIBORZU ..... 41

## NOWA FALA PO LATACH

### MAREK RAPNICKI

DLACZEGO ONI? ..... 47

### JULIAN KORNHAUSER

WIERSZE ..... 48

PISARZ JAKO KRYTYK LITERACKI. AUTOLUSTRACJA ..... 49

### ADAM ZAGAJEWSKI

PANI MAZOŃSKA ..... 55

### JANUSZ NOWAK

KŁOPOTY Z „BATERIĄ DZWONKÓW”, CZYLI O MINISTRANCKICH  
DOŚWIADCZENIACH ADAMA ZAGAJEWSKIEGO ..... 56

### KS. JERZY SZYMIK

ODPOWIEDZIALNOŚĆ. O SŁOWIE, O SŁOWIE, O NADZIEI ..... 61

### JERZY GIZELLA

WIERSZE ..... 69

### PWSZ W RACIBORZU

GALERIA ..... 74

### JANUSZ SZUBER

WIERSZE ..... 80

## CZESKIE SŁOWA - CZESKIE OBRAZY

### PETR HANOUSEK, LIBOR MARTINEK

„SLEZSKÉ SLUNKO” LITERATURA NA ZIEMI OPAWSKIEJ  
W LATACH 1990-2003 (KONTYNUACJA) ..... 83

### PETR BORKOVEC

WIERSZE ..... 90

### VÁCLAV BURIAN

FELIETONY OŁOMUNIECKIE  
(Z POZĄTKU LAT DZIEWIĘDZIESIĄTYCH) ..... 92

WSPOMNIENIA ..... 92

UNIERSALNY JUBILAT ..... 94

### KRZYSZTOF LISOWSKI

ODPYWAJĄC Z POROS (SZEŚĆ UJĘĆ ŚWITU) ..... 96

### KS. ALFRED M. WIERZBICKI

WIERSZE ..... 97

### PAWEŁ NEWERLA

SPACERKIEM PO STARYM RACIBORZU  
WOKÓŁ NOWEJ BRAMY ..... 99

## BENO BENCZEW

RACIBORSKI KOŚCIÓŁ W SZYFROGRAMACH  
SŁUŻBY BEZPIECZEŃSTWA Z ROKU 1985. CZĘŚĆ I ..... 104

## JAN KONDRAK

JAKO DROGA ..... 115

„KSIĘŻYC NAD GŁOWĄ JAK CZECHOWICZ” ..... 117

## NASZE DEBIUTY

### ANETA MUSIOL

EROTYK PORANNY 124

### ELŻBIETA GŁADKOWSKA

NIE BO NIE ..... 125

### KRZYSZTOF LISOWSKI

ZNIKNIĘCIE MESJASZA ..... 126

### MAREK RAPNICKI

GNIAZDA ..... 130

## Z NASZYCH MIEJSC

### LESZEK SZCZASNY

UKRAINA ..... 133

### KS. JERZY SZYMIK

WIERSZE ANGIELSKIE ..... 142

### MAREK RAPNICKI

SPÓŹNIONE BRATERSTWO BRONI ..... 144

### DAWID WACŁAWCZYK

PO CO NAM DNI RACIBORZA? ..... 148

### MICHAŁ FITA

SMAK AUSTRALII ..... 154

### MAREK RAPNICKI

REŻYSER WŚRÓD SWOICH WIDZÓW  
(III DNI FILMU POLSKIEGO  
W DYSKUSYJNYM KLUBIE FILMOWYM „PULS”) ..... 156

### RDPR

TAM, GDZIE SPOTYKA SIĘ POEZJA, MUZYKA I FOTOGRAFIA ..... 158

SPOTKANIE PO LATACH ..... 159

### HERBERT DENGEL

BACH W DŹINSACH NA ROGU HALICKIEJ  
(O TERYTORIUM POWIERNICZYM MARKA RAPNICKIEGO) ..... 161

### KORNELIA LACH

OKIEM BADACZA KULTURY  
O IZBIE REGIONALNEJ W BORUCINIE ..... 166

### JACEK MOŁĘDA

PSUNANIC ..... 169

### SZYMON BABUCHOWSKI

KAWALERKA NA GISZOWCU  
IM DALEJ W LAS, TYM WIĘCEJ NAS ..... 170

### MARZENA KORZONEK

Z DZIENNIKA  
„NIEBIESKA PIOSENKA” ..... 172

### MIŁOŚ DOLEŻAŁ

OBRAZI Z CZECH  
CZEKI DOMECEK ..... 176

### KRZYSZTOF KOMOROWSKI

OBRAZY PAMIĘCI  
OBRAZ JEDENASTY: DEJA-VU ..... 178

OBRAZ DWUNASTY: KOŚCIÓŁ ..... 179

### JACEK MOŁĘDA

MADE IN POLAND  
GENIUS LOCI ..... 180

ZNAĐ GÓRNEJ PÓŁKI ..... 182

## Rada programowa:

BOLESŁAW STACHOW, ADAM SZECÓWKA, LESZEK WYKA

## redakcja:

redaktor naczelny – JANUSZ NOWAK  
sekretarz redakcji – MAREK RAPNICKI  
redaktor techniczny – MICHAŁ FITA

## adres redakcji:

Raciborskie Centrum Kultury  
ul. Chopina 21, 47-400 Racibórz  
almanach@rck.com.pl, rck@rck.com.pl  
tel. 0 – 32 415 25 40

## stale współpracują:

VÁCLAV BURIAN (Ołomuniec), MIŁOŚ DOLEŻAŁ (Praga), SŁAWOMIR JANOWSKI, KORNELIA LACH,  
KRZYSZTOF LISOWSKI (Kraków), JOANNA MAKSYM - BENCZEW, LIBOR MARTINEK (Opawa),  
JACEK MOŁĘDA, LESZEK SZCZASNY, ks. JERZY SZYMIK (Katowice),  
DAWID WACŁAWCZYK, WOJCIECH WENCEL (Gdańsk), Ks. ALFRED M. WIERZBICKI (Lublin),  
BERNARD KNOP

## ilustracje i fotografie:

BOLESŁAW STACHOW – 55, 91, 99, 151, 154, 155, 166, 174, 180  
MAREK RAPNICKI – 1, 2, 19, 46, 47, 54, 55, 64, 68, 80, 81, 82, 92, 115, 130, 131, 144, 145, 146, 162, 164, 176, 177, 181, 182  
MICHAŁ FITA – 14, 93, 114, 156, 157, 158, 159, 188  
MAREK PLEWCZYŃSKI – 60, 175  
GABRIELA HABROM-ROKOSZ – 4, 5, 6, 7, 9, 10, 11, 12, 13, 21, 24, 37, 39, 49, 58, 71, 72, 73, 95, 97, 107, 110, 113, 116,  
122, 132, 136, 141, 147, 189  
KAROLINA STANIECZEK – 89, 91, 123, 127, 129  
ADAM ROKOSZ – 8  
JÓZEF PARDUBICKI – 27, 29  
JOANNA HELANDER – 52  
SŁAWOMIR KILANOWSKI – 190  
KRZYSZTOF LISOWSKI – 96

z arch. PWSZ w RACIBORZU – 40, 43, 44, 45, 74-79  
z arch. SZYMONA BABUCHOWSKIEGO – 170, 171  
z arch. FRANCISZKA STALA – 26  
z arch. Ks. JERZEGO SZYMIKA – 33  
z arch. KRZYSZTOFA KOMOROWSKIEGO – 178  
z arch. KORNELII LACH – 166, 168

z arch. JERZEGO GIZELLI – 69  
z arch. ANETY MUSIOL – 124  
z arch. ELŻBIETY GŁADKOWSKIEJ – 125  
z arch. MARZENY KORZONEK – 172  
z arch. PAWŁA NEWERLI – 101, 102, 103  
z arch. MARKA RAPNICKIEGO – 159, 160

## przygotowanie do druku:

Projekt okładki według własnego zdjęcia pt. „poranek Chopina” – MICHAŁ FITA

Opracowanie graficzne i skład – MAREK PLEWCZYŃSKI

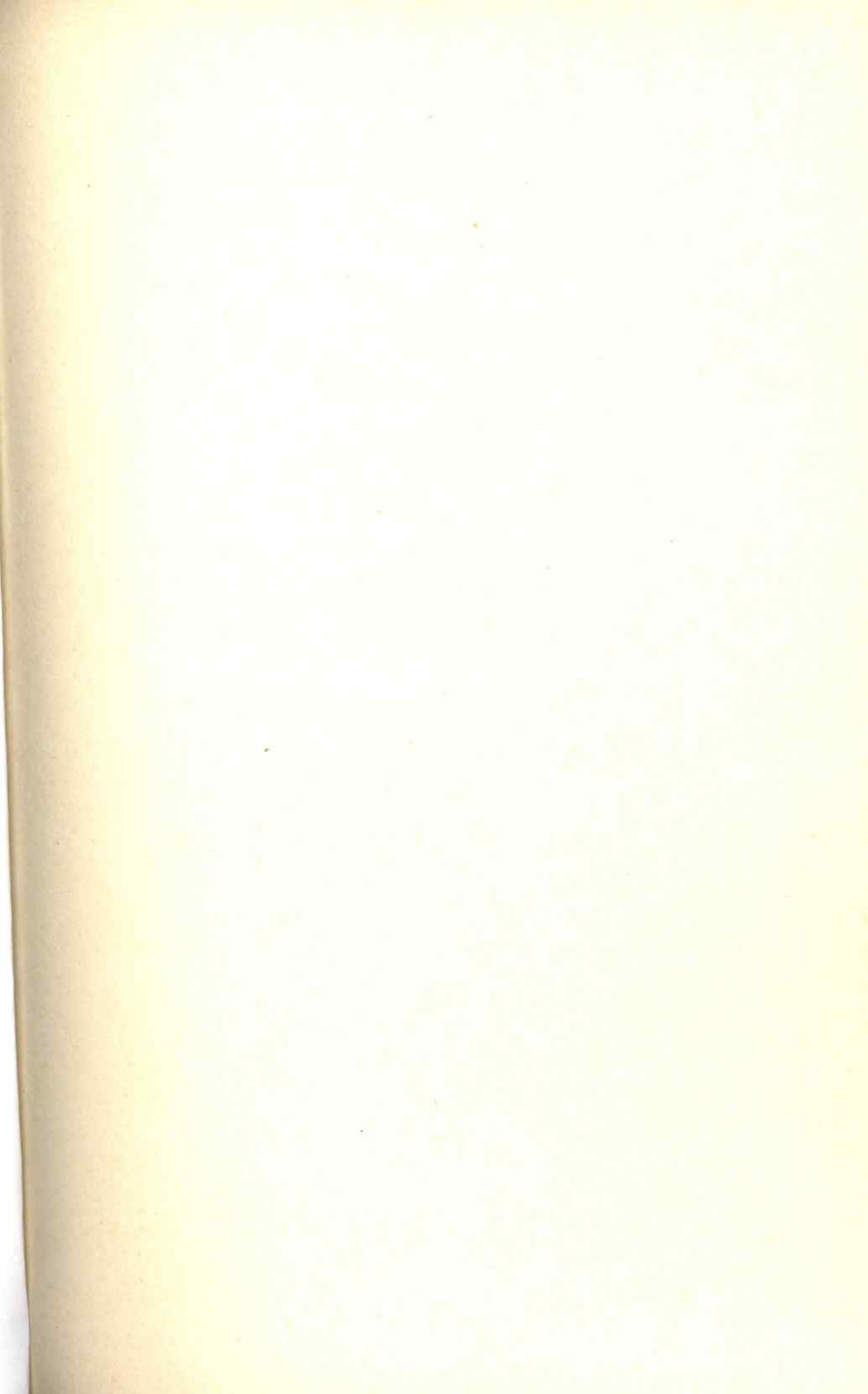
## wydawca:

Raciborskie Centrum Kultury

## druk:

Baterex s.j. ul. Rudzka 45, 47 – 400 Racibórz

ISSN 1895-636X



**W kwietniu 2007  
w następnym numerze m.in.:**

- czeskie słowa — czeskie obrazy III
- „Nowa Fala” po latach (cd.)
- piąta część wspomnień  
Franciszka Stala
- plastyka z kręgu raciborskiej PWSZ
- nasze debiuty
- wiersze, eseje, felietony, recenzje

